

CHARLES REZNIKOFF		Świadectwa w przekładzie Piotra Sommera
	5	[Jim wszedł do domu] • [W pewną ponurą niedzielę]
	7	[Był pochmurny i deszczowy dzień] [Della i Cliff tańczyli na zabawie]
	8	[W nocy maciora wypchnęła ryjem drzwi]
	9	[„Yellowstone Kit”, jak go nazywano] [Konduktor zapytał ją, dokąd jedzie]
	10	[Blunt i jego żona mieszkali na farmie]
	11	[Robił kufry i był pracowity]
	13	[Pewnej nocy w kwietniu albo w maju]
STEFAN CHWIN	15	Cedrowy las (fragment powieści)
STEFAN CHWIN	28	Czystość poranka
STEFAN CHWIN	35	Rysunki, obrazy, sny
ze STEFANEM CHWINEM rozmawia ANDRZEJ ZAWADA	51	To, co niedoczytane
GRZEGORZ WRÓBLEWSKI	94	Kominy • Płyta
	95	Próżnia • Kwiaty
ANDRZEJ SZUBA	96	Postscripta
60. ROCZNICA ŚMIERCI THOMASA STEARNSA ELIOTA		
JACEK GUTOROW	99	Nad brzegami Acheronu
MAŁGORZATA SOKORSKA	106	Mgła w Londynie. Mgła w Warszawie
PIOTR PIASZCZYŃSKI	129	27 grudnia • Noc • Hotel
	130	Sen zimowy • Jubileusz
MICHAŁ CZORYCKI	131	Surrey Hills • Kwestionariusz
	132	Figury Widmanstättena
	133	Obcięte uszy Edwarda Kelleya

#### VARIA

KAZIMIERZ BRAKONIECKI	135	Widnoksiąż (19)
STEFAN CHWIN	142	Dziennik 2025 (2)
MAREK KĘDZIERSKI	154	Marginalia (9)
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	164	Komora (14)
PIOTR SZEWC	175	Z powodu i bez powodu (77)
ARTUR SZLOSAREK	178	Notatki do zapomnianych podróży (23)
ANDRZEJ ZAWADA	183	Dziennik lektur (5)

#### RECENZJE I NOTY O KSIĄŻKACH

ARTUR SZLOSAREK	189	Liczy się światło – poza tym nic nowego
KAROL MALUSZCZAK	193	Zaniknąć i przemilczeć wszystko
ALEKSANDER FIUT	196	Życie opowiedziane
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	201	Gabinet lektury
OKIEM SKORPIONA	213	Z obory we dwory, czyli cierpienia Polski ludowej wyemancypowanej
NOTY O AUTORACH	217	
BIBLIOTEKA „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”	220	
NOWE KSIĄŻKI	224	

Przed premierą książkową prezentujemy dziesięć wierszy Charlesa Reznikoffa w przekładzie jego wiernego miłośnika i propagatora Piotra Sommera.

Stefan Chwin w zaskakujących, prowokujących i bliskich odsłonach i postaciach obecny w „Kwartalniku” od początku, tym razem w większym bloku, dopełniającym poprzednie z numerów 67 i 101, z nową prozą, rysunkami i w rozmowie z Andrzejem Zawadą, w której mówi o miejscach, przestrzeniach i drogach swojego pisarstwa.

W sześćdziesiątą rocznicę śmierci Thomasa Stearnsa Eliota publikujemy esej Jacka Gutorowa o *Wydrążonych ludziach* i szkic Małgorzaty Sokorskiej, córki Krzysztofa Boczkowskiego, poety i tłumacza autora *Ziemi jałowej*, pokazujący jego pracę translatorską i wynikające z niej inspiracje.

Przedstawiamy kolejne fragmenty coraz bardziej kamiennego i otwartego lapidarium Andrzeja Szuby oraz wiersze Grzegorza Wróblewskiego, Piotra Piaszczyńskiego i Michała Czoryckiego.

W *Variach* premierowe odcinki stałych cykli, omówienia książek, Jon Fosse w „Gabiniecie lektur” i czujny Skorpion.

Zapraszamy!

Krzysztof Myszkowski

## Przeprosiny

Redaktor Naczelny czasopisma „Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze” Krzysztof Myszkowski oraz Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu, będąca wydawcą „Kwartalnika Artystycznego”, przepraszają niniejszym Państwowy Instytut Wydawniczy z siedzibą w Warszawie – wyłącznego licencjodawcę autorskich praw majątkowych do utworu *Comment dire* autorstwa Samuela Becketta, a także Pana Antoniego Liberę – autora tłumaczenia tego utworu na język polski – za dokonane naruszenia przysługujących im autorskich praw majątkowych poprzez nieuprawnione wykorzystanie ww. utworu i jego tłumaczenia na język polski bez uprzedniego uzyskania stosownych upoważnień poprzez ich opublikowanie na łamach „Kwartalnika Artystycznego” w wydaniu nr 4/2024 (124). Redaktor Naczelny czasopisma „Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze” Krzysztof Myszkowski oraz Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu pragną wyrazić żal z powodu zaistniałych naruszeń oraz w pełni uznają prawa przysługujące zarówno Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu, jak i Panu Antoniemu Liberze.

Redaktor Naczelny czasopisma „Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze”

**Krzysztof Myszkowski**

oraz

w imieniu Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej –

Książnicy Kopernikańskiej w Toruniu

Dyrektor

**Danetta Ryszkowska-Mirowska**

CHARLES REZNIKOFF

## Świadectwa

w przekładzie Piotra Sommera

### [Jim wszedł do domu]

Jim wszedł do domu  
i wziął linki od pługa  
i poszedł do stajni  
i jedną linkę przywiązał do osła  
i wyprowadził osła  
i przytroczył osła do płotu;  
i pętlę na drugiej lince zarzucił mu na szyję  
i zaczął ciągnąć.  
Osioł zaczął przeraźliwie ryczeć.

Rano jego ciało leżało  
pięć czy sześć metrów od stajni,  
kark tuż za łbem  
był sinoczarny.

### [W pewną ponurą niedzielę]

W pewną ponurą niedzielę – cały dzień siąpił deszcz –  
zupełnie trzeźwy Patrick Conolly  
wsiadł do tramwaju.  
Przez jakiś czas jechał

nie wykazując „najmniejszych oznak niewłaściwego zachowania”,  
kiedy nagle dostał ataku  
apopleksji  
i zaczął wymiotować.

W wagonie było wielu pasażerów:  
niektórzy widząc, co się dzieje, wysiedli;  
inni krzyczeli  
żeby to on wysiadł.  
Kiedy ktoś spytał go, czy jest pijany,  
potrząsnął przecząco głową  
i powiedział  
„Wysiadę”,  
ale  
kiedy próbował się podnieść,  
upadł na płask  
i leżał bezradnie na podłodze.

Motorniczy i jeden z pasażerów  
dźwignęli go,  
wynieśli z wagonu  
i zostawili na ulicy –  
między szynami a jezdnią,  
niewiele ponad pół metra od szyn.  
Tuż po tym,  
z powodu drgawek  
jego ciało tak zmieniło pozycję  
że nogi znalazły się na jednej z szyn.  
Przechodząca kobieta  
pospieszyła mu z pomocą  
i wraz z jakimś mężczyzną  
przesunęli go na chodnik. I tam w siąpiącym deszczu  
pozostał.

## [Był pochmurny i deszczowy dzień]

Był pochmurny i deszczowy dzień,  
a ona siedziała do późna z Fullerem przy kominku  
w starym domu na wzgórzu  
jakieś pięćdziesiąt metrów od drogi.  
Między nimi stała butelka whisky  
i oboje pili już jakiś czas  
i Fuller śpiewał piosenkę „Pijaka ciężki los”.

## [Della i Cliff tańczyli na zabawie]

Della i Cliff tańczyli na zabawie  
kadryla. Chwytając Dellę za rękę  
żeby zrobić obrót  
w figurze zwanej „łańcuchem”,  
Cliff próbował zdjąć jej z palca  
pierścionek. Zdążyła palec zagiąć.  
Kiedy tańczono tę figurę jeszcze raz  
udało mu się.

Powiedziała partnerowi, że zgubiła pierścionek.  
I patrząc Cliffowi prosto w oczy,  
powiedziała do partnera i tych, którzy pomagali mu szukać,  
że nie znajdą go na podłodze:  
ktoś go ma.

Cliff to usłyszał,  
naciągnął kapelusz na twarz  
i, odwróciwszy się do Delli tyłem,  
zaczął rozmawiać ze swoją partnerką.

## [W nocy maciora wypchnęła ryjem drzwi]

W nocy maciora wypchnęła ryjem drzwi i weszła do chaty,  
a mąż i żona  
kłócili się, kto ma ją wygonić.  
Powaliła męża żelazną szuflą.  
Sięgnął po bryczesy i powiedział  
„Gdybym miał nóż, poderznąłbym ci gardło”,  
wtedy uciekła na dwór.  
Zatrzasnęła za nią drzwi  
i podparł je drągiem.

Kiedy ją znaleziono, leżała twarzą do ziemi,  
zamarznięta na śmierć. Był okropny mróz  
a tam gdzie leżała  
śnieg był głęboki na pół metra.

Wybiegła bez butów  
i prawie nieubrana. Szła na przełaj  
przez cierniste krzewy  
zostawiając na śniegu ślady krwi –  
ciernie poharały jej nogi poniżej kolan –  
a na kolcach wyrwane strzępy ubrania;  
w którymś momencie  
uderzyła kostką o krawędź leżącego pnia  
i wtedy straciła dużo krwi.

## [„Yellowstone Kit”, jak go nazywano]

„Yellowstone Kit”, jak go nazywano,  
zjawiał się w Montgomery raz na jakiś czas  
i wynajmował jakąś działkę;  
rozbijał wielki namiot  
w którym umieszczał stoisko i pewną liczbę krzeseł,  
i wieszał światło elektryczne, żeby namiot był oświetlony wieczorem.

W namiocie demonstrował kuglarskie sztuczki  
i wygłaszał pogadanki na temat zalet sprzedawanych przez siebie leków,  
i rozdawał je sam albo rozdawali jego pomocnicy,  
i podczas tych pokazów zawsze grał jakiś zespół.

## [Konduktor zapytał ją, dokąd jedzie]

Konduktor zapytał ją, dokąd jedzie.  
„Knoxville City”.  
„Trzeba było się przesiąść w Knoxville Junction”, powiedział.  
„Dlaczego nie powiedział mi pan, kiedyśmy tam byli?”  
Kazał jej wysiadać  
ale chciała dojechać do następnej stacji.

Zatrzymano pociąg  
i konduktor zapytał ją, czy wysiądzie.  
Powiedział, że jeśli nie wysiądzie,  
to ją wysadzi  
i że ma dość „przeklętych czarnuchów”.  
Rzucił jej tobolek na ziemię  
i obok położył niemowlę.  
Wtedy wysiadła, a pociąg pojechał dalej.

## [Blunt i jego żona mieszkali na farmie]

Blunt i jego żona mieszkali na farmie  
jakiś sześć mil za miastem.  
Poszło o rachunek, któremu mijał termin:  
nie miał pieniędzy, żeby zapłacić  
i poprosił, żeby sprzedała swoje krowy.

Poprosił dwa razy;  
powiedziała, że jeśli poprosi jeszcze raz  
rozwali mu siekierą łeb.  
Byli na podwórku,  
i walnął ją wiadrem.  
Potem wszedł do obory i napił bydło.  
Gdy wracał, zobaczył, że leży przy studni  
i jeszcze raz walnął ją wiadrem.

Studnia prawie do samej góry była wypełniona śniegiem,  
a na śniegu widać było krew.  
Chłopcy wzięli dwie łopaty  
i dokopali się  
do ubrania, butów, i okularów.  
Potem zobaczyli coś na kształt stopy,  
i jeden z nich sięgnął ręką i wymacał –  
pończochy na nogach pani Blunt.

## [Robił kufry i był pracowity]

Robił kufry i był pracowity,  
i dzięki temu zajęciu odłożył trochę grosza  
ale niewiele. Raz zostawił jej pieniądze na opłacenie rachunku  
ale rachunek okazał się nieco wyższy niż to, co zostawił,  
i opłaciła go. Wyrzucił ją z domu,  
choć była noc, i za nią wyrzucił jej kapelusz.

Kiedy zachorowała i nie mogła wyjść z pokoju,  
nie zawołał nikogo i zostawił ją całkiem samą;  
a na krześle tylko kawałek chleba i trochę wody,  
i powiedział, że powinna umrzeć i pójść do nieba.  
Jako lekarstwo chciała tak zwany „wyciąg z sałaty”.  
Wziął pustą butelkę niby w tym celu  
ale zamiast lekarstwa nalał brudnej wody  
z beczki przed domem.  
Kiedy wypita i stwierdziła, że bardzo jej pomogło,  
powiedział jej, skąd nabrał wody.

Wyjechał z wizytą do Kanady;  
i nawet się nie zająknął, żeby pojechała z nim  
ani dlaczego nie chce jej zabrać –  
choć bardzo chciała z nim jechać.  
Widząc jak po powrocie zbliża się do domu,  
odryglowała drzwi, żeby mógł wejść,  
ale nie przywitała się z nim i nie odezwała do niego,  
a on nie odezwał się do niej.

Jak zawsze przygotowywała mu śniadanie,  
ale nie jedli razem  
i nie odzywali się do siebie.

Którejś niedzieli wieczorem, kiedy byli razem w pokoju,  
spytała go, czy ma kiedyś zamiar z nią rozmawiać.  
Powtórzyła pytanie, a on odpowiedział  
„Kiedyś”;  
wyszedł z pokoju, wszedł do swojej sypialni, i zatrzasnął drzwi.

W końcu napisała do niego list  
i położyła obok talerza z kolacją:  
„Nasze wspólne życie było naprawdę nieszczęśliwe  
jeśli pominąć chwile, kiedy pojawiał się  
jakiś promyk nadziei.  
Nigdy nie zdołałam zbliżyć się do Ciebie na tyle  
żeby Cię zrozumieć;  
i nie mam pojęcia, co myślisz  
na temat naszej przyszłości.  
Chciałabym wiedzieć, co czujesz,  
toteż chwyciłam się tego sposobu,  
bo nie wiem czy byś się zgodził  
żebym zbliżyła się do Ciebie inaczej.  
Napisz albo odezwij się do mnie  
tak jak uważasz, że będzie najlepiej”.  
Po kolacji list zniknął  
ale nie było odpowiedzi.

Dalej żyli pod jednym dachem,  
a on nie odzywał się do niej ani słowem,  
w złości ani w gniewie.

## [Pewnej nocy w kwietniu albo w maju]

Pewnej nocy w kwietniu albo w maju  
jego córka zobaczyła, że czyjaś ręka  
wpycha do środka  
naciągniętą w oknie zasłonę  
i w nocnej koszuli pobiegła do sąsiedniego pokoju  
gdzie siedział ojciec i jego syn.  
Ojciec pobiegł z jednej strony domu  
a syn z drugiej  
i pod ławą  
w odległości około dwóch i pół metra od okna  
zobaczyli Murzyna  
który zasłaniał twarz kawałkiem deski –  
i błagał, żeby nie strzelali.

Michał Kurowski



STEFAN CHWIN

## Cedrowy las

Gdy słońce wzniosło się nad pływającym lasem, w którym ukryły „Esterę” i bażaltowa ściana urwisk ponad dżunglą stała się niemal czerwona od blasku zorzy, Inez wskazała głową wzniesienia widoczne ponad koronami wiązków: – Teraz przez tamte wzgórza.

Dżungla była tu wilgotna i ciemna, tylko gdzieniegdzie smugi światła wydobywały z ciemności jaśniejszy zarys pni, obrośniętych pędami bluszczu. Kilka ptaków zerwało się z trzepotem z krzewów jaśminowca i znikło w koronach drzew. Sanda szła pierwsza, ostrzem maczety rozchylając przed sobą mokre liście. Kiedy dotarły do skalnej pochyłości, zawalonej spróchniałymi pniami kalidońskiego dębu, zeszły do wąskiego wąwozu, z którego dna sączyła się żółtawa siarczana woda.

Rozrąbując maczetą sploty cierni, przecisnęły się przez gąszcz tulipanowca. Gdy zeszły niżej, z liści po obu stronach przejścia znikła już skrząca się rosa. Na twarzach poczuły suche tchnienie powietrza pachnącego popiołem.

W głębi rozpadliny obok wyschniętego azaliowca majaczył jakiś wielki, ciemnoróżowy kształt. Inez ostrożnie rozsunęła liście. Pośrodku miejsca otoczonego odłamami różowej skały, spoczywał olbrzymi głaz z półokrągłym wyżłobieniem na górnej powierzchni.

– Co to takiego? – mruknęła Bettina, wsuwając za pas maczetę.

Inez podeszła bliżej.

– Zaraz... Wiesz, już gdzieś widziałam podobne miejsce. Tak, w bibliotece Schwarzenberga, na starym sztychu, który tam wisiał na ścianie. Na szczycie ściętej piramidy, przed rzeźbionym ołtarzem, stał kapłan Azteków w złotym naszyjniku i w dwóch dłoniach unosił ku słońcu serce wyrwane z rozciętej piersi młodego jeńca, rozciągniętego na takim właśnie głazie...

Rozejrzały się z niepokojem. Ciemnoczerwone, połyskliwe korzenie zwalonych drzew pięły się po ścianach wąwozu ku słonecznemu światłu niczym rozgałęziająca się sieć nerwów i tętnic, tak jakby właśnie nimi miała popłynąć ku niebu krew, którą tu niegdyś przelewano.

– Arakenowie – powiedziała Sanda, obchodząc głaz dokoła – potajemnie robią takie rzeczy do dzisiaj. Hiszpanie im tego zakazują, chociaż sami – jak mówią o nich ludzie z gór Santa Cruz – piją krew zabitego Boga-człowieka i jedzą Jego ciało, żeby w ten sposób zapewnić sobie lepszą przyszłość nie tylko za życia, lecz i po śmierci. Są wśród Arakenów wciąż tacy, co wierzą, że ofiary z ludzkich serc podtrzymują słońce przy życiu. Bo jeśli słońce nie dostanie świeżego pokarmu, to zgaśnie. I wtedy oni będą musieli umrzeć, tak samo jak ich zwierzęta. Co jakiś czas z tego czy innego pueblo potajemnie porywają pięknych chłopców, których ubierają w złoty strój Boga, zaciągają do dżungli, rozkrzyżowują na głazie takim jak ten i z rozciętej nożem piersi wyciągają żywe serce, po czym unoszą je w darze ku słońcu. Potem piją ciepłą krew, która z niego wypływa, by zapewnić sobie odporność na śmierć i obfite plony dla całego plemienia. Kiedyś nawet porwali chłopca z naszego pueblo...

– Okropne – mruknęła Bettina. – Myślałam, że to już bezpowrotna przeszłość.

– Nie, nie – powiedziała Sanda. – Hiszpanie tępią takie rzeczy, jak mogą... ale to się nadal utrzymuje...

Konary drzew otaczających głaz były suche, spękana kora na gałęziach wyglądała jak łuszcząca się skóra na chorych rękach, w pniach zwalonych sosen połyskiwały ostre kawałki skryształonej żywicy, a w górze, w koronach drzew, które wyschniętymi konarami bezskutecznie szukały wilgoci, krążyło tylko migoczące rojowisko owadów. Trudno się było oprzeć wrażeniu, że śmierć zajęła to miejsce w chwili, w której ustały zakazane obrzędy i las, dotąd włączony w bosko-ludzką wymianę energii, zmienił się w spopielone cmentarzysko.

Patrząc na olbrzymi kamienny blok, opleciony bluszczem i cierniami, Inez przypomniała sobie rozmowę, którą kiedyś usłyszała w gabinecie Schwarzenberga, kiedy to odwiedził go Jordanes, człowiek z Trzeciego Wydziału, którego wiele razy wysyłano do Meksyku. Kiedy przyszedł na Rue de Sanditz 13, był już chyba po kilku kieliszkach wina.

– Te dzikie obrzędy z Zachodniego Wybrzeża – mówił Jordanes swoim powolnym, znużonym głosem – trzeba z pewnością wytępić, bo to czyste barbarzyń-

stwo. Czy jednak rozmyślał pan kiedyś, pułkowniku Schwarzenberg, nad głębszym sensem tych okrutnych zwyczajów, które wciąż utrzymują się w zapadłych kątach naszego archipelagu? Kto wie, a jeśli ukrywa się w nich jakaś trudna do pojęcia mądrość, przed którą wzdraga się dziś nasze serce?

Święta idea odnawiania życia poprzez krew... Czy zauważył pan, w ilu religiach pije się krew Boga i zjada się Jego ciało? Całkiem niedawno, kiedy byłem w Meksyku, ludzie ze szczepu Canteneros pili w mojej obecności krew z naciętej tętnicy schwytanego jelenia – którego nadal uważają za zwierzę święte – wierząc, że w ten sposób przejmują od niego uzdrawiającą moc, która odgradza ich od śmierci. Czy pan wie, że w państwie Azteków wojny prowadzono po to, by dostarczyć bogom jak najwięcej świętego pokarmu, który – jak wierzono – pozwala nam utrzymać się przy życiu?

A my myślimy, że przyczyną wojen, które prowadzimy, są polityka, pieniądze, chciwość i narodowe nienawiści... A jeśli dzisiejsze wojny są dokładnie tym samym co składanie masowych ofiar przez Azteków? Że w ten sposób ludzkość, nawet o tym nie wiedząc, składa jakiejś niewidzialnej mocy, która decyduje o naszych losach, krwawą ofiarę z milionów ludzi zabitych na polach bitew, by zapewnić sobie lepszą przyszłość? Wie pan, ja kiedyś w Madrycie zobaczyłem obraz Goyi przedstawiający Saturna pożerającego własne dzieci... Dziwny obraz. Pamięta go pan?

– Ciekawe – powiedziała Bettina – co by na takie gadanie powiedział Immanuel Kant, którego wielką myśl pilnie studiowaaliśmy w Paryżu...

Inez pokręciła głową.

– Masz rację, to gadanie było dość okropne. Ale wiesz, teraz, kiedy zobaczyłam ten głaz, przypomniało mi się, jak to któregoś dnia, kiedy byłam w Rzymie, zaprowadzono mnie do jakiegoś ogrodu, w którym w skalną ścianę była wmurowana kamienna głowa z otwartymi szeroko ustami. Powiedziano mi, że jeśli grzesznik włoży dłoń do kamiennych ust, to te usta mu ją odgryzą. Oczywiście roześmiałam się i bez wahania włożyłam rękę do czarnego, zimnego otworu, ale nagle, zupełnie nie wiedząc czemu, gwałtownie ją cofnęłam... Przeraziłam się, że ta kamienna głowa ma zupełnie gdzieś wszystkie moje grzechy i tylko żarłocznie chce napić się mojej krwi...

– Wiesz – powiedziała Bettina – nie warto zawracać sobie głowy takimi wspomnieniami. Z pewnością są w naszej psychice jakieś zadawnione strachy przed

czymś groźnym i niewiadomym, które w niespodziewanych chwilach mogą się w nas obudzić, co jednak ma z tego wynikać?

– Nie wiem, ale... muszę ci powiedzieć, że mój strach był w tamtej chwili prawdziwy. A czy coś z tego wynika? Kiedy myślę o mojej przygodzie w rzymskim ogrodzie, przypominają mi się *Zadźmieni w Jaffie*, o których Oskar mówił na „Esterze”.

Scena, przedstawiona na tym obrazie, zawsze wydawała mi się mocno nieprzyjemna, ale, co mnie niepokoiło, promieniowało z niej jakieś niewytłumaczalne, spokojne piękno. Bo czy może być coś bardziej okropnego niż epidemia dżumy? A co widzimy na obrazie Grosa? Oto młody Napoleon Bonaparte, w towarzystwie generałów Berthiera i Bessieres’a, ordynatora Daure’a i naczelnego lekarza Desgenette’a, wchodzi na dziedziniec arabskiego miasta. Powinien być przerażony tym, co widzi przed sobą, bo cały dziedziniec jest wypełniony ludźmi zarażonymi tą straszną chorobą. On tymczasem najzupełniej spokojnie zbliża się do jednego z nich, półnagiego mężczyzny o twarzy ściągniętej bólem. Przerażeni żołnierze z eskorty panicznie zasłaniają usta chustkami i starają się odciągnąć go od zarażonego, ale on bez cienia obaw ściąga rękawiczkę i gołą dłoń dotyka spuchniętej dymienicy pod pachą zarażonego, zupełnie spokojny, bezpieczny, pewny siebie, tak jakby odgradzała go od niebezpieczeństwa jakaś niewidzialna, przeźroczysta osłona, zapewniająca zupełną nietykalność...

– No cóż – mruknęła Bettina – Gros namalował ten propagandowy obraz na zamówienie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Francji, nic więc dziwnego, że przedstawił przyszłego cesarza jako półboga, któremu nic nie może zagrozić.

– Wiesz – powiedziała Inez – ale ten Jordanes miał rzeczywiście imponującą wiedzę o rzeczach, o których dzisiaj mało kto ma jakieś pojęcie. – Czy pan wie – mówił w gabinecie Schwarzenberga – że Babilończycy wierzyli, że my, ludzie, zostaliśmy ulepieni z gliny zmieszanej z domieszką boskiej krwi? W iluż to religiach bogowie oddają swoją krew, by z niej stworzyć człowieka! W iluż oddają samych siebie w ofierze dla dobra ludzi! Wedle akadyjskich mitów *Enuma elisz* i *Atrachasis* pierwszy człowiek został stworzony z krwi lub ciała bóstwa zabitego przez „Wielkich Bogów”, którzy na swoim zgromadzeniu wyznaczyli jednego spośród nich, by ten złożył w ofierze samego siebie? „Niech będzie wybrany jeden spośród nich, niech będzie zabity, aby ludzie mogli powstać. Karę nałożyli na niego, arterie krwi przecięli. Z jego krwi stworzyli ludzi”... Według kapłanów z Mezopotamii nadprzy-

rodzona siła, która promieniuje z krwi, ta sama siła, która jest w ogniu i wodzie, wraz ze Światłością przeniknęła w nas podczas pierwszej ofiary złożonej przez bogów i właśnie dlatego możemy żyć...

Czyż nie wydają się panu zastanawiające te podobieństwa? Na przykład wedle Rygwedy – mówił dalej Jordanes – wszystko, co istnieje, powstało z olbrzymiego ciała Puruszy, Męża Złożonego w Ofierze, i wszystko też trwa dzięki Słońcu i ofierze z ciała Wisznu, złożonej przez bogów. To właśnie Słońce lub Agni dało bogom wieczne życie: jasność, urodę, fizyczną moc, bo na początku i oni byli śmiertelni.

I wszędzie Wielki Boski Dawca Życia ma podwójną naturę. Stwarza życie i żeby je stworzyć, zabija. Agni, który ofiarowuje siebie, by ocalić świat, po swoim urodzeniu natychmiast pożera swoich rodziców. Bóg Indra, wzmocniony somą, świetlistym uzdrawiającym napojem Słońca, natychmiast czuje się zdolny do zniszczenia całej ziemi. Ogniste i przejrzyste krople somy, obdarzające życiem, potrafią stać się zimnymi promieniami księżyca odbitymi w wodzie...

W Indiach Matka Bogów, Kali, czteroręka matka świata, pijąca świeżą krew z czaszki, zabija własne potomstwo, aby znów móc rodzić nowe dzieci i dopiero ofiara z ludzi gasi jej pragnienie na tysiąc lat, wtedy bogini, nasycona „sokiem świata”, uspokaja się. Czy to nie Goethe pisał w *Fauście* o siedmiu straszliwych matkach, dzięki którym świat trwa w równowadze...?

Dzisiaj myślimy o tym wszystkim z przerażeniem, ale przez tysiące lat ofiary z ludzi były na ziemi rzeczą najzwyczajszą. I nie dziwiły nikogo. U Fenicjan utrzymywały się bardzo długo. Zabijano niemowlęta, a ich zwłoki, włożone do amfory, zamurowywano. Ofiara z dzieci, palonych żywcem, nazywała się „molk”. Król-ofiarnik z pomazanymi krwią rękami wchodził do świętego przybytku, następnie z barankiem i kozłem ofiarnym oraz srebrną czarą pełną wina i złotą czarą pełną miodu wstępował na szczyt wieży, po czym wznosił ręce ku Słońcu.

Przodkowie dzisiejszych Rzymian składali ofiary z ludzi bogowi Tiberinusowi i choć potem zastąpiono ten zwyczaj topieniem słomianych kukieł, tajemnicze ceremonie oczyszczenia i wzmocnienia przez krew utrzymywały się długo w związku z kultem bogini Kybele, który przywędrował z Frygii. A Scytowie czy Celtowie? Germanie określali swój związek z bogami słowem „blota” – składać ofiarę. Ofiara z krwi wzmocniała Niebo, które odwdzięczało się ludziom latami urodzaju. Bogowie chcieli ludzkiej krwi i to nawet krwi swoich własnych bożych synów.

Słyszał pan o *guerras floridas*? Gdy w piętnastym wieku klęska głodu nawiedziła Jukatan, Aztekowie uznali, że stało się tak dlatego, że Ziemia i Słońce nie były wystarczająco nakarmione „drogocennym napojem”. Aby temu zaradzić, trzy miasta: Tenochtitlan, Huexotzingo i Tlaxcala – zawarły umowę zobowiązującą je do prowadzenia między sobą „wojen kwietnych”, których celem miało być zdobywanie jak największej ilości jeńców przeznaczonych na ofiarę.

W ciągu czterech dni na szczycie kamiennej wieży Templo Mayor kapłani własnoręcznie wyrwali siedemdziesiąt tysięcy serc jeńcom zabijanym na kamieniu ofiarnym. Bo skoro Słońce umierało już kilkakrotnie i tylko ofiara bogów, którą ludzie powinni powtarzać, uratowała Ziemię, głodne Słońce, które nie napiło się krwi, w każdej chwili może przerwać swoją wędrówkę, zatrzyma się na niebie i cały świat ulegnie zniszczeniu.

A co pisał Andres de Olmos w dziele *Historia de los Mexicanos por sus pinturas*? Słońce, które dzisiaj oglądamy na niebie, jest Piątym Słońcem, umierało więc już czterokrotnie. Tamte zginęły szybko z głodu. Nowe Słońce, Serce Nieba, zawieszona w kosmicznym oceanie, powstało z boga Nanauatzin, który rzucił się w ogień, składając siebie w ofierze. W świętej opowieści z Tusco bóg Quetzalcoatl poświęca swojego boskiego syna „nieznającego matki”: wrzuca go w ogień, aby stał się Słońcem.

Dzisiaj już nie pamiętamy, jak to się odbywało. Spośród jeńców, wyróżniających się postawą i odwagą, wybierano pięknego i silnego młodzieńca, który wcielał się w postać boga przeznaczonego na śmierć. Przez rok czczono go jak bóstwo, po czym przystrojonego w pióra i złote naszyjniki, zabijano na kamieniu ofiarnym. Po obrzędzie kapłani i lud spożywali pociętą na wiele części jego figurę ulepioną z prażonej kukurydzy i miodu, mówiąc, że spożywają ciało boże. A jeśli chcieli o coś prosić Niebo, przewlekali sobie przez język sznurek z cierniami agawy, by popłynęła krew, na którą czekał bóg. Na koniec zaś, chcąc sprowadzić deszcz, w łodzi wypełnionej sercami zabitych ofiar topiono dziewczynę i chłopca, pomalowanych na biało i przybranych w czarne maski. Dopiero wtedy ustawał płacz bogini Ziemi, Manayel, która nie chciała umilknąć, dopóki nie dano jej do zjedzenia garści ludzkich serc...

– Że też ty to wszystko pamiętasz... – pokręciła głową Bettina. – Całe szczęście – dodała twardo – że wszystkie te straszne rzeczy ludzkość ma już daleko za sobą. Błogosławiony niech będzie nasz Immanuel Kant, który biednemu światu

przyniósł uzdrawiające światło oświecenia. Z pewnością te dawne opowieści mają pewną wartość literacką, ale powiedzmy jasno – trudno o coś bardziej okropnego niż krwawe zabobony, których skutkiem były masowe morderstwa. Powinniśmy je traktować tak, jak na to zasługują.

A skąd to wszystko? A z ludzkiej rozpacz i bezzasadnej nadziei, że ofiarą krwi można wkupić się w łaskę jakichś potężnych, niewidzialnych mocy. W iluż religiach mowa jest o tym, jak to ludzie oddają bóstwu na ofiarę własne dzieci, wierząc, że Bóg właśnie tego pragnie. Czyż dla dobra ludzkości sam nie wysłał na śmierć własnego dziecka – dając nam wzór, jak mamy postępować? Im człowiek bardziej cywilizowany, tym bardziej są mu obce te krwawe legendy, które sobie opowiadali nasi przodkowie.

– Tylko dlaczego ludzkość trzyma się ich od tysięcy lat?

– Żadne ofiarowanie ludzkiej krwi nie zmieni niczego w naszej sytuacji, ale ludzka rozpacz jest silniejsza niż cokolwiek. Nikt nam nie pomoże, nawet gdybyśmy wyrwali siedemdziesiąt tysięcy serc i uroczyście złożyli je w ofierze. A na dodatek ileż to razy narody, które uważały się za współników Boga, zabijały miliony ludzi z powodu innego koloru skóry, oczu czy włosów, wierząc, że składając Przeznaczeniu taką masową ofiarę, poprawią swój marny los...

– Pewnie masz rację – powiedziała Inez. – Jeśli jednak w tych opowieściach kryje się – jak mówił Jordanes – jakaś trudna prawda, której nie potrafimy zrozumieć, bo wzdraga się przed nią nasz nowoczesny umysł?

– Jaka niby prawda? – Bettina tylko machnęła ręką, wspinając się po stromym zboczu.

Po krótkim postoju ruszyły dalej. Chwytając za wystające korzenie, wspinały się po pochyłej ścianie urwiska, by jak najszybciej oddalić się od tego mrocznego miejsca z różowawym głazem pośrodku, z którego wiele razy musiała spływać krew. Wyschnięta ziemia osuwała się spod nóg niczym zwały popiołu. Dopiero gdy klucząc wśród splątanych cierni i starych pni, rozsypujących się jak spróchniałe kości, wydostały się z krętej rozpadliny na skraj dżungli, za żywą zielenią drzew zabłysło słońce. Co za ulga dla skołatanych serc...

Inez rozłożyła mapę.

– Musimy dojść do tamtej przełęczy – wskazała dłonią niedalekie wzgórze. Czują wciąż w sobie dogasanie ciemnych obrazów, o których mówił Jordanes.

Bettina położyła jej rękę na ramieniu.

– Dojdziemy przed zachodem?

Inez odetchnęła głęboko.

– Może... Wiesz, ciągle myślę o *Zadżumionych w Jaffie*.

– Daj sobie z tym spokój.

– Pewnie masz rację. Teraz mamy co innego na głowie. Najważniejsze żebyśmy znalazły tę przeklętą kolonię karną.

Po trawiastych zboczach wspięły się na płaskowyż. Według mapy teren nie był zamieszkany, około południa ujrzały jednak coś, co wzbudziło ich niepokój.

Na łące, na którą zeszyły z cyprysowego wzgórza, dostrzegły stado bażantów. Podeszły bliżej, ale ptaki, wydziobujące z ziemi nasiona gardenii, zupełnie zignorowały ich obecność, tylko samiec z długim, cętkowanym ogonem obojętnie rzucił okiem w ich stronę.

Inez wiedziała, jak są płochliwe. Widziała, jak na polach obok hacjendy Artayosa uciekały w wysoką trawę, gdy tylko usłyszały turkot przejeżdżającego wozu, tymczasem tutaj stado spokojnie wędrowało wśród kęp krwawnika, wydziobując jak gdyby nigdy nic ziarna z ziemi! Sanda klasnęła, ale ptaki nawet nie ruszyły się ze swojego żerowiska pod wielką akacją!

Pomarańczowy gaj, do którego weszły, podobny był do dziczałego ogrodu, zarośniętego wysoką trawą i kępami szkarłatnicy. Drzewa rosły tutaj równymi rzędami w gęstwinie krwawników. Więc mapa Pundado nie mówiła prawdy? Ktoś tu jednak mieszka?

Podeszły bliżej. Sanda podniosła z trawy pomarańczę, rozdarła paznokciami skórkę i zlizowała z palców słodki sok, wypływający z zadraśniętego miąższu. Nigdy jeszcze nie widziała tak pięknych owoców, chociaż drzewa nie wyglądały na pielęgnowane. Cienka skórka o białym podbiciu bez trudu odchodziła od słodkiego miąższu. Inez rozejrzała się dokoła, ale wszędzie owoce wyglądały tak, jakby drzewa pochłonięte pragnieniem rodzenia zapomniały o umiarze, sącząc uparcie słodki sok w złociste kule, pod których obfitością ugięły się gałęzie.

Dopiero na końcu pomarańczowego gaju ujrzały winnicę otoczoną cedrami. Inez i Bettina, przyczaiwszy się za krzewem gardenii, spojrzyły w głąb winnicy, ale nie zobaczyły nikogo.

Wyraźnie czuły czyjąś obecność. Wiedziały, że jeśli trafią na „czarnych” z El Huaz, którzy mogli się gdzieś tutaj kręcić, nie mają zbyt wielu szans, ale jeszcze straszniejsze były ich psy, wielkie białawe bestie, prawie pozbawione sierści, używane do tropienia Indian, tresowane tak, by kąsać twarze uciekających ludzi.

Teraz, pochylone, sunęły obok siebie. Bettina obserwowała prawą stronę, Inez lewą, Sanda osłaniała całą grupę. W napięciu wypatrywały wśród liści niewidzialnego wroga. Ale nic się nie poruszyło. A jednak czuły, że gdzieś tu, za którymś ze szpalerów, ktoś jest.

Stąpały ostrożnie, tak by pod nogą nie trzasnęła nawet najmniejsza gałązka. Rozsuwając liściaste pędy, zaglądały w ciemne nisze między szpalerami, potem, zaczepiając głową o ciężkie kiście żółtych winogron, przeszły pod zrujnowanym łukiem splecionym z bambusowych łodyg i zbliżyły się do wysokiego szpaleru, który przegradzał winnicę ścianą gęstego listowia. Inez podeszła do szpaleru, zza liści dobiegł jakiś szelest...

Wstrzymały oddech.

Za zaroślami coś poruszyło się, trzasnęła gałązka, potem zaszeleściły liście... Teraz nie mogły się już cofnąć. Każdy ruch zdradziłby ich obecność. Stały nieruchomo, licząc tylko na jedno: że może niebezpieczeństwo oddali się...

Po chwili za zasłoną liści trzasnęła gałązka, zaświstał piasek jakby pod czyjąś stopą, coś jasnego przesunęło się w prześwitach między pnączami...

Inez powolutku rozgarnęła liście...

Za szpalerem winorośli ujrzała młodego mężczyznę, leżącego na ścieżce z rękami pod głową obok śniadoskórej dziewczyny z gałązką bluszczu wplecioną we włosy. Dziewczyna, nie odrywając oczu od jego pięknej twarzy, po której wędrowały plamki słonecznego światła, przesiane przez gąszcz winogronowych liści, lekko uniósłszy się na łokciu, wyciągniętą ręką podała mu żółte winogrono, on jednak, drzemiąc z przymkniętymi powiekami, zdawał się nie dostrzegać jej gestu. Dopiero po dłuższej chwili spojrzął na nią z łagodnie drwiącym półuśmiechem, delikatnie wyjął żółty owoc ze złotych palców, po czym ścisnął go tak mocno, że sok prysnął na jej opalone ramię. Dziewczyna przymknęła oczy, odrzucając w tył swoje ciemne, lśniące włosy, wtedy on, zgarniając wargami kropelki soku toczące się po jej ramieniu, powoli przewrócił ją na wznak. Ciasno

objęci potoczyli się po suchej ziemi, rozgniatając nagimi plecami winogrona rozsypane na ścieżce...

Inez cofnęła głowę. Za zasłoną liści słychać było przyspieszone oddechy. Dziwny, bolesny lęk o Joachima przeniknął ją nagle do głębi.

To, co zobaczyła na ścieżce, wyglądało jak scena ze starej holenderskiej Biblii, którą kiedyś znalazła w bibliotece Schwarzenberga. Na starym sztychu kilku młodzieńców w białych szatach schodziło ze wzgórza nad czarną rzekę ku nagim dziewczętom, które właśnie wyszły z wody i rogowymi grzebykami rozczesywały mokre włosy. Ciała młodych mężczyzn schodzących po zboczach były piękne i mocne. Otaczała je świetlista mgiełka i na pierwszy rzut oka mogło się wydać, że to kilku aniołów, otoczonych obłokiem aureoli, schodzi ku rzece, by obmyć nogi po długiej wędrówce.

Kiedyś zapytała Schwarzenberga, co oznacza ta dziwna scena.

– To scena z Księgi Rodzaju – odpowiedział – choć nie wszyscy uznają ją za zgodną z Pismem. Przedstawia czas, w którym aniołowie boży zstępowali z Nieba na Ziemię, by połączyć się z ziemskimi kobietami. Biblia tak o tym mówi: „Synowie Boga widząc, że córki człowiecze są piękne, brali je sobie za żony, wszystkie, jakie im się tylko podobały”. „A w owych czasach, a także później, gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły”. – Ciekawe, panno Inez – Schwarzenberg się wtedy uśmiechnął – jak mogłyby wyglądać dzieci, które się rodziły z takiego ziemsko-niebieskiego połączenia kobiecych ciał z zachwycającymi ciałami aniołów, ale, niestety, żaden malarz nie pokusił się, by namalować te zapewne nadzwyczajnej piękności hybrydy, które przychodziły na świat z cielesnej miłości, łączącej Niebo i Ziemię. Ciekawe też, jaki był skład morfologiczny krwi tych wspólnych, półbożych mieszańców.

– A jeśli i dzisiaj – mówił dalej Schwarzenberg – mogą żyć wśród nas potomkowie tych dzieci, zrodzonych z bosko-ziemskich związków – ukryci wśród nas ludzie piękni, pełni niezwykłej mocy? Dlaczego mamy to wykluczyć? I czy przypadkiem pani nie jest jedną z takich istot, kiedy na scenie królewskiej opery w El Ebro śpiewa pani fado tak, jak tylko pani to potrafi? Na naszym archipelagu wielu Indian wierzy do dzisiaj, że ludzie piękni i silni – tak piękni i silni jak pani – zostali zrodzeni ze związków kobiet z wysłańcami niebios i krew, która krąży w ich żyłach, jest zupełnie inna niż krew zwykłych ludzi. Kto wie, może ta bosko-ludzka krew kryje w sobie tajemnicę niezwykłej odporności niektórych z nas na choroby i śmierć...

Teraz, stojąc przy szpalerze winorośli, zza którego dobiegały przyspieszone oddechy, Inez poczuła się tak, jakby ujrzała przed sobą taką właśnie niebiańsko-ziemską parę, o której mówiły biblijne opowieści, tylko nie wiedziała, kto tutaj jest boski, a kto ziemski – chłopak leżący na ścieżce czy dziewczyna, która podała mu w palcach żółte winogrono.

Piękno tych dwojga było tak czyste i mocne, poruszenia ich ramion tak szlachetne, miłosna czułość tak żarliwa, że byłoby grzechem burzyć słoneczny spokój tych dwojga ciał, pełnych zdrowia i siły, okrutnych i świętych, które zapominając o całym świecie, cieszyły się sobą w świetle dnia... Gdy Bettina i Sanda chciały zajrzeć na drugą stronę szpaleru, ze zniecierpliwieniem dała znak, by szły dalej. Nie chciała burzyć tajemnicy, która w niej powoli dogasała złotawym obrazem dwojga splecionych ciał. Widziała kiedyś podobne ciała na nieprzyzwoitych, kolorowych rycinach francuskich z XVIII wieku, które zakazywał oglądać Kościół.

Bettina, zniecierpliwiona jej zachowaniem, przez moment chciała zawrócić, ale gdy z głębi cedrowego lasu doleciało drobne stukotanie, przyciały się za szpalerem. Po chwili pomiędzy wachlarzowatych liści tulipanowca wybiegło z lasu białe spłoszone kozłę z rogami oplatanymi gałązką kolczastego głogu, które na ich widok przystanęło z ciekawością i powoli, nie spiesząc się, zawróciło z powrotem pomiędzy drzewa. Z cyprysów, pod którymi zniknęło, z trzepotem wzbiła się ponad winnicę chmura dzikich gołębi. Sanda uśmiechnęła się do siebie, kręcąc tylko głową.

Weszły do lasu. W powietrzu unosił się słaby zapach palonego jałowca, zwole niły więc i wsłuchane w odległe stukotania, dobiegające z głębi listowia, brnęły po mchu w coraz ciemniejszy gąszcz strofantu, mięty i krwawników pod rozłożyste korony czerwonych wiązków, gdzie panował mrok z rzadka tylko rozpraszany smugą słonecznego światła. Kolczasta płatanina szkarłatnie żarłocznie oplatała czarne pnie cyprysów. Mijając kłębowiska cierni, Inez miała wrażenie, że wchodzi na stare cmentarzysko, chociaż nie było tu żadnych grobów, tylko co kilka kroków z czerwonej ziemi wystawały przechylone białe głazy, pokryte siecią pęknięć podobnych do znaków na ścianach świątyni w Asco. Na dnie przeźroczystych sadzawek, które świeciły w gąszczu krwawników, widać było płaskie kamienie podobne do wypolerowanych tarcz z zatartym wizerunkiem słońca. Wśród wodorostów białeły kolczaste muszle, które ludzie znajdują na brzegach oceanu. Gdzieś w górze krzyknął jakiś spłoszony ptak... Coś znowu poruszyło się za cyprysami...

Chciały cofnąć się za jeden z białych głazów, ale po prawej i lewej stronie, w zielonym półmroku cyprysowych zarośli dostrzegły zbliżające się, błyskające ognie.

Między drzewami, na niedużej polanie, mignęło kilka ciemnych sylwetek. Wokół ogniska, które płonęło w głębi lasu, przebiegali mężczyźni z gałązkami bluszczu i piórami wplecionymi we włosy, potrząsając grzechotkami, wydawali dźwięki podobne do krzyków pawia. Iglowie czarnego jałowca, rzucane w żar, zapalało się nad ogniskiem białym obłokiem pachnącego dymu. Wśród tańczących par krążyły obnażone dziewczęta, ścigane przez okrytego kozłą skórą chłopca z długimi rogami na głowie. Miedzianym mieczem o szerokim ostrzu zadawał ciosy niewidzialnym istotom, które mogły znaleźć się na jego drodze. Przy samym zaś płonącym stosie, pod kalidońskimi dębami, starzec z długim piórem wetkniętym we włosy nacinał zakrzywionym nożykiem tętnicę na szyi białego kozłęcia, puszczając obfity strumień krwi do kubków, które mu podstawiali ludzie siedzący obok ognia.

Cofnęły się w gąszcz jaśminowca, ale już po kilku krokach zagubiły się w zaroślach, pełnych ptasich nawoływań i odgłosów trzaskającego ognia.

Wbiegłszy między wachlarzowate liście, Inez wpadła na mężczyznę z bambusowym fletem w dłoni, który wybuchnął śmiechem na jej widok, błyskając w mroku białymi zębami. Odepchnęła go od siebie i znów wbiegła w gąszcz. Słyszcząc za sobą zdyszany oddech, kluczyła w zaroślach, ale pędził za nią, chwytając rozcapierzonymi palcami za płócienną suknię i byłby z niej zdarł ubranie, gdyby nie runął na ziemię, zaplątawszy się w pędach bluszczu.

Sanda, przeslizgując się pod gałęziami, potknęła się o śpiącego chłopaka, który budząc się, chwycił ją za rękę i pociągnął ku sobie. Uderzyła go dłońmi w pierś, uskakując między drzewa. Usłyszała za sobą śmiech. Chłopak zerwał się i pobiegł za nią, zataczając się wśród pni, tylko oczy iskrzyły mu się ciemnym blaskiem. Uciekając w zarośla, nadepnęła na skórzany worek: czerwone wino opryskało kolana. Znów potknęła się, czyjeś gorące rozbiegane dłonie chwyciły ją za włosy, szarpnęła głową, wydzierając się z uścisku, ktoś, kto chwycił ją za ramiona, krzyknął głosem dzikiego ptaka, kątem oka ujrzała nad sobą ciemną twarz, błysnęły czyjeś oczy, wymknęła się spod napierającego ciała, wpełzając między gałęzie jak schwyтана jaszczurka. Puścił ją i tylko nieprzytomnymi oczami patrzył na jej zacisnięte pięści, potem machnął ręką i znów położył się na trawie, sięgnąwszy po skórzany worek. Pobiegła między drzewa, rozdeptując winogrona rozsypane na mchu.

Bettina, okrążając kępę cyprysów, oddaliła się od ogniska, ale i tu z zarośli wybiegł ku niej obnażony młodzieniec z włosami związanymi rzemieniem. Chyba szukał kogoś innego, bo zatrzymał się w pół kroku na widok nieznaney kobiety w jedwabnej sukni. Cofnęła się, ale to wystarczyło, by rzucił się za nią, roztrącając gałęzie. Musiała podciąć mu nogi, by wyślizgnąć się z uścisku. Runąwszy na wznak z opętańczym śmiechem, rzucił w nią kłocią winogron. Dostała w ramię, więc niemal instynktownie, czując, że jest silniejsza, ruszyła w jego stronę, by pokazać, kto tu ma władzę, lecz w chwili, gdy uniosła rękę, usłyszała tuż obok siebie wściekły głos Inez.

– Zwariowałaś! Daj mu spokój! Znikajmy stąd!

Odnalazły Sandę w małej kotlinie porośniętej gąszczem naparstnic. Las był pełen okrzyków i trzaskania ogni, ale nikt ich już nie ścigał. Widziały tylko, jak w głębi zarośli co jakiś czas między drzewami przebiegały dziewczęta z cierniowymi gałązkami w palcach, oplątane naszyjnikami z muszli i pędami bluszczu. Na samym skraju zarośli, z których chciały się wreszcie wydostać, Inez, Bettina i Sanda minęły grupkę dziewcząt ze śmiechem rysujących coś różową szminką na plecach nagiego mężczyzny, śpiącego w trawie z pięścią pod policzkiem. Wśród kęp paproci natrafiały teraz na uśpione pary splecione ramionami. Gdzieś zza drzew dobiegał miękki dźwięk bambusowego fletu. Ktoś sennie nucił jakąś wysoką pieśń, jakieś cienie zakotyły się wśród liści i znikły. Kiedy wychodziły z lasu, wino ciekące wąziutkim strumykiem ze skórzanych worków zawieszonych na konarze dębu opryskało im włosy.

STEFAN CHWIN

## Czystość poranka

Lęk powoli obrastał kolejne miasta, które leżały bliżej i dalej granicy, ale to, czego się spodziewano, drzemało już w podziemnych przejściach jak ciemna mgła, która gasi światła sygnałowe na kolejowych zwrotnicach i nie wróży niczego dobrego, snując się nad posadzką wyziębionych poczekalni dworcowych jak obłok łzawiącego gazu. Na dalekich przedmieściach i w centrum budowano nowe domy, coraz wyższe i smuklejsze, jakby ktoś przygotowywał losowi smaczne dania z betonu i szkła. Budziliśmy się co rano w świetle wypolerowanego nieba, które jak cicha membrana grało niespokojną pewnością, że jeśli nikt z nas nie wymówi słowa „wojna”, nic się złego nie zdarzy, a to, co potężne, będzie drzemać pod trawą ośnieżonych równin jak zakopany olbrzym w zardzewiałej zbroi. – Jeśli nie będziemy myśleć o wojnie – mówiły sobie kobiety jadące podmiejską kolejką do pracy w stoczni – wojny nie będzie. – Poranna herbata smakowała jak zawsze, chociaż przeczuwaliśmy, że może ją zastąpić zimna woda z podziemnych zapasów, które ukryto pod miastem.

Gdy zaproszono nas na przedwyborczą konwencję, kobieta, która chciała być burmistrzem, stojąc na trybunie z herbem partii postępu, obiecywała zebrany, że zmieni miasto w zielony ogród, chociaż miasto było bezbronne jak ręka pięcioletniego dziecka. – Mamy już park Wilhelma I, którego pomnik przetopiliśmy na lemie-sze, a nawet park Reagana, ale potrzebny nam do szczęścia jeszcze park Świętego Papieża, by nasze dzieci nie miały skoliozy, tylko rozwijały się poprawnie. – Nikt na wielkiej sali z rozwieszonymi nad trybuną banerami wyborczymi nie myślał o ludziach z nadmorskich blokowisk, gdzie w betonowych wieżowcach z grubej płyty były tylko płytkie piwnice, z których – gdyby domy runęły – nie było wyjścia. W szpitalu na Srebrnikach podziemne miasto schronów, zbudowane za czasów Stalina, zasypano ziemią, podziemne tunele wypełniono gruzem, a stalowe drzwi z obrotową blokadą zaspawano. Gdyby szpital stanął w ogniu, chorzy płonęliby żywcem

w białych salach z kratami w oknach, chociaż ptasie gniazda na białych brzozech z pobliskiego lasu cicho ostrzegały, że z nieba może spaść grad meteorytów, ostrych jak metaliczne kawałki lustra, w którym nigdy nie odbiło się słońce.

Jeśli wypowiadano słowo „wojna”, to czyniono to niedbale i lekceważąco, tak jakby mimowolnym zaklęciem miano wojnę od siebie oddalić za granicę lasów i nadbrzeżnych wydm. Wesołkowie, których nigdy w mieście nie brakowało, wyśpiewywali pieśni zniszczenia, które nie miało nigdy nastąpić, bo niepotrzebna panika mogłaby tylko ściągnąć nam na głowę to, co nie do wyobrażenia. O, wystarczyło ich tylko zaprosić na wesele, a już wszyscy przenosili się w zdziczałą przestrzeń pewności, która zaprzeczała wszystkiemu, co oczywiste. Bale charytatywne odbywały się jak zwykle w najwyższym wieżowcu miasta, gdzie spotykała się cała kadra medycznej akademii, by między tańcami zbierać pieniądze na nadmorskie hospicjum, w którym słowo „wojna” budziło tylko nikły uśmiech na twarzy umierających.

To, co niewypowiedziane, obrastało mury domów jak delikatna, srebrna pleśń, mnożąca się kroplami rosy na instalacjach rafinerii, wspinała się na szyby okien mroźnym ornamentem, na którym ciepłym palcem dziecko pisało słowa nie do odczytania. Jak co dzień ślaliśmy łóżka, wychodziliśmy z domu po butki do sklepu osiedlowego, który w półmroku poranka świecił czerwonym neonem, zapowiadając jutrzejsze pogorszenie pogody, chociaż pory roku obracały się nieomylnym trybem, nie naruszając kolejności tygodni i miesięcy, a na internetowych stronach mogliśmy czytać, że kiedy rozlegnie się grzmot i w rozbłysku różanej błyskawicy niebo zachwieje się w posadach, nawet oś Ziemi może się przesunąć w prawo albo w lewo, rozsypując porządek dni i nocy w bezładną konstelację godzin, której nikt już nigdy nie będzie w stanie ułożyć w żaden porządek na linii czasu.

Mądrzy ludzie, przeczuwając nadciągający wichur, który groził miastu zerwaniem dachów i telewizyjnych anten, kupowali pospiesznie domy w Hiszpanii i Portugalii, żeby – gdy coś się stanie – szybkimi odrzutowcami wydostać się poza przestrzeń starcia, licząc, że sterowane bomby nie doleczą nad brzegi Atlantyku, w piękne okolice Sinty, Porto czy Algarve.

Ale na razie nie mieliśmy powodu do zmartwień, choć wszyscy martwili się, jak to będzie z nami, kiedy zgaśnie niebieski płomyk w kuchence gazowej, ciepło przestanie płynąć w kaloryferach, a w żarówkach nie zechce zapłonąć światło wiekuiste, bo potężna pięść Boga uderzy w elektrociepłownię, a podmuch Bożej

mocy, wzniesiony rozbłyskiem, wybije wszystkie szyby na całym osiedlu, tak że mieszkania w blokach zmieniają się w otwarte na przepływ powietrza akwaria do hodowania białych ryb mrozu, w których dzieci zaczną umierać z zimna, mimo gorącej modlitwy matek.

Splłoszeni starcy gromadzili w swoich mieszkaniach wodę w plastikowych butelkach na wypadek, gdyby w kranach zabrakło wody z podmiejskich ujęć. Inni w kuchniach pod oknem gromadzili konserwy mięsne na wypadek, gdyby stanął w ogniu osiedlowy supermarket. – Tato, czyś ty zwariował? – śmieli się synowie. – Po co ci to? Żadnej wojny nie będzie. – Ja zbieram to w nadziei, że nigdy się nie przyda. Ale kiedy, nie daj Boże, się przyda, zobaczycie, będziecie do mnie przychodzić po to, co zebrałem. Oby tak się nie stało! – odpowiadali z pobłażliwym uśmiechem starzy ludzie o twarzach biblijnych patriarchów, którzy pamiętali wielką wojnę na ośnieżonych równinach między trzema morzami i wiedzieli, jak smakuje prawdziwy głód. Byli też tacy, co kupowali kilofy i łopaty na wypadek, gdyby trzeba było odgruzować mieszkanie po tym, jak bomba przebije dach. – Pamiętajcie, jak usłyszycie syrenę, zostawcie wszystkie drzwi otwarte, bo wstrząsy po wybuchach wypaczą framugi i nie będziecie mogli wydostać się z mieszkania, kiedy się zapali – dorzucali zrzędliwie starcy, wiedząc, że nikt nie traktuje poważnie ich obłąkańczego gadania. Mężczyźni po czterdziestce schodzili do piwnic z latarką, by przygotować legowiska dla swoich rodzin, nie wspominając o swoim zejściu do piekieł żonom, które nie powinny czuć niepotrzebnego lęku na zapas. W dziennikach telewizyjnych uważnie wylapywano obrazy zbombardowanych domów, by wiedzieć, jakie części mieszkania będą względnie bezpieczne. – Przede wszystkim trzeba mieć dużo paczek zapalek, bo ogień będzie najważniejszy. Na balkonie trzeba mieć grilla, gdy zabraknie prądu i gazu. I węgiel drzewny, żeby ogrzać chociaż trochę zmarznięte ręce. – Czy kupiłeś już wodoodporny śpiwór? – pytali kolegów z korporacji, którzy wybuchali śmiechem, jakby usłyszeli głupi żart wypowiedany przez telewizyjnego prezentera. Emerycy wykupywali lekarstwa, czując, że zdarzy się dzień, kiedy zapłoną apteki. Ale byli to nieliczni. Reszta wzruszeniem ramion zaklinała czas, by uwierzyć, że ma przed sobą jeszcze wiele tysięcy normalnych dni, tak jakby zniecierpliwione machnięcie ręką miało w sobie moc przemieniania biegu dziejów.

Wielka mapa świata, widziana ze sputników, uparcie wpatrujących się z wysoka w ciemne morza i rude kontynenty, rwała się w wielu miejscach. Z rozdartych

skaleczeń wyływał smolisty ogień podobny do płonącej nafty. Dymy nad Arabią zasnuwały czystość poranka. W Afryce plemiona uzbrojone w czołgi zajmowały kolejne miasta, na szczęście daleko od nas, po drugiej stronie równika, gdzie dużo więcej diamentów leżało w czerwonej ziemi niż na pustynnej północy, z rzadka nawiedzanej przez ptaki podobne do aniołów.

Polityczny cyrk kręcił się w wielkich rozświetlonych salach jak zawsze. Gadające głowy w telewizji kąsały się jak wściekłe psy, zarzucając przeciwnikom wszystko, co najgorsze. Partie polityczne szarpały się w walce o władzę, chociaż kto będzie rządził, było zupełnie obojętne wobec silnych burz magnetycznych na Słońcu, które podobno wpływają na stan nerwów całych społeczeństw, popychając oszołomionych ludzi przeciwko sobie. To, co działo się na świecie, niczym nie różniło się od tego, co działo się na byle podwórku, gdzie bandy rozeźlonych chłopaków biły się między sobą o sporne terytorium między krańcem trawnika a garażami z falistej blachy. Ludzkość krok po kroku powracała do epoki dzieciństwa. Duże dzieci przebrane za prezydentów groziły innym prezydentom, że na złość całemu światu rzucą bombę, która do gruntu odmieni losy Ziemi. W Internecie przelewały się fale kolorowej bredni, w której tonęły miliony umysłów, jakby już dawno zapomniano o ewangeliach rozsądku i umiarkowania, ciesząc się przez całe godziny migotaniem strumienia efektownych obrazków rajy i piekła. Stada ptaków zmieniały miejsca gniazdowania, przelatowały z sosen na brzozy, z buków na świerki, z klonów na jarzębiny, przeczuwając, że splanie nadmorski las, w którym żyły od stuleci, chociaż morze nie występowało z brzegów, mocno trzymając się żelaznej tafli horyzontu. – Stój i popatrz w niebo – mówiły maszty stacji nasłuchu radiowego, uspokajając tysiące matek, które jak co dzień wiozły dzieci do przedszkola w sąsiedniej dzielnicy.

W kościołach, których wieże dotykały sienie draperii nieba, napiętej jak skóra na bębnie, nic się nie zmieniało. Jak zawsze modlono się o pokój, żeby tylko, broń Boże, nie modlić się o zwycięstwo tych, na których napadnięto. Bezpiecznie wzywano do pojednania, bo przecież każda wojna kiedyś się skończy, więc nie należy zrażać do siebie żadnej z walczących stron. Machina wiary, puszczona w ruch przed tysiącami lat, obracała się wiecznym trybem, co rano msza poranna, stosowne kazanie, godzinki, byle tylko z ambony nie powiedzieć wyraźnie, która z walczących armii stoi po stronie dobra, a która po stronie zła, bo po wojnie Kościół musi mieć

swobodę działania zarówno w kraju, który został napadnięty, jak i w kraju, który napadł. Z okna w Watykanie starzec w białej szacie wzywał do przerwania ognia, nigdy nie nazywając zła po imieniu, chociaż słowa Pana, które nosił w swoim sercu, brzmiały jak dzwon nad pustynią: „Niech wasza mowa będzie tak, tak, nie, nie”. Nad placem Świętego Piotra jak białe lilie unosiły się bezpieczne wezwania do współczucia dla ofiar po obu stronach, chociaż jedni ludzie napadali na drugich ludzi, zadawali im rany i zabijali. Kościelne witraże powtarzały swoją niezmienną litanię barw w setkach odcieni, żaden jednak Michał Archanioł nie zstąpił z kamiennego postumentu na fasadzie rzymskiej Bazyliki, by pomóc ludziom w uporządkowaniu świata, chociaż podobno, jak mówi Pismo, dawniej robił to wiele razy i to na oczach walczących ze sobą narodów, które czuły, że niebo stoi za nimi.

Wiadomości o tym, co nadciąga, zaczynały nas nudzić. Bo czyż nie jest skandalem, że wojna trwać może tysiąc dni zamiast kilkunastu dni ognia i hałasu, kiedy to dramaturgia pierwszych zdarzeń o niezapomnianej świeżości ekscytuje nas jak wiecznie powracająca wiosna, chociaż rzeczą zwykłą na Ziemi były monotonne wojny, które umiały trwać lat trzydzieści, a nawet sto. Ale teraz niecierpliwiły nas monotonne wiadomości z niedalekiego frontu, więc nienawidząc ślimaczącej się wojny, śniliśmy o rozstrzygającym blitzkriegu, który jednym uderzeniem zakończy wszystko. Najpierw przyjęliśmy do siebie ludzi uciekających spod fali ognia, daliśmy im nawet własne mieszkania, dumni, że potrafimy zdobyć się na taki gest, by strudzeni mogli odetchnąć po koszmarze płonących dni i nocy, ale kiedy minęło trochę czasu, z irytacją zaczęliśmy słuchać ich obcych głosów, które zbyt głośno jak na nasze wyczucie rozbrzmiewały w autobusach i tramwajach. Ci, których obdarzyliśmy współczuciem, zaczęli grać nam na nerwach jak drzazga, która narywa pod paznokciem. Zarzuciliśmy im niewdzięczność, chcieliśmy, by jak najszybciej wynieśli się z naszych domów do dalszych krajów, gdzie nikt ich już nie chce, chociaż sami przeczuwaliśmy, że już niedługo będziemy powtarzać ich los, wynosząc się do krajów, gdzie nikt już nie będzie chciał nas.

O, miasta bezbronne i głupie, drzemiące na ośnieżonej równinie jak kolonie delikatnych koralowców. O, wieże kościołów, które zostaną skrócone jednym uderzeniem pięści, jakby chciały sięgnąć zbyt wysoko w niebo. Czegoż to nasłuchujecie dzwony jak puste muszle, z których wyparował szum morza, ciesząc ucho dziecka? W jaką to czeluść zaglądacie zegary z ratuszowych wież, na których

poobrękują patriotyczne kuranty? Cóż z tego, że zostaniecie obrócone w proch? W miejscu, w którym zamienicie się w dymiące piramidy pokruszonych cegieł, zwycięzca zbuduje nowe miasta. Przedsiębiorcy z całego świata już na to czekają. Białe domy, nowiutkie jak spod igły, w parę miesięcy wyrosną w domenie ciepłych jeszcze popiołów, a pamięć zarosnie jak posłuszna blizna na chwałę tych, którzy będą silniejsi.

A groby? A na cóż to komu niepokoić serce grobami, na miejscu których wyrosnie nowe miasto? Zamiast wolnością, której cena spadnie, będziemy cieszyć się tym, że nareszcie przywrócono niebieski płomyk w kuchni, ciepło w kaloryferach i światło w spragnionych żarówkach, które niepotrzebnie tak długo marzyły na mrozie. Życie powróci w stare koleiny pod nowym sztandarem, którego barwa będzie obojętna. Na nowych domach zawisną banery z pochwałą tych czy tamtych zwycięzców, nieważne, kto zwycięży. W podręcznikach to, co zrabowane, zmieni się w to, co wyzwolone, a to, co wyzwolone, w to, co zrabowane. Kto tam będzie pamiętał o twarzach tych, którzy zginęli, poza ojcem, matką i siostrą, która nigdy nie zapomni. Nasi synowie i bracia zamieszkają wygodnie w naszych spłoszonych rodzinnych snach, z wiecznym zakazem wstępu do naszego życia na jawie.

Nad miastami niebo się wygładzi blaskiem pokoju, nawet jeśli to będzie pokój niesprawiedliwy, który zatruje serca wszystkich. Ten, kto silniejszy, zaprowadzi porządek, a słabi będą mu posłuszni jako te owce w stadzie, wyuczone przez pasterza twardej lekcji przyrody wzmocnionej lekcją geografii. Wiatr nad ośnieżoną równiną między morzami nauczać będzie, że granice państw to tylko niewidzialne linie, które można wykreślać w dowolnym miejscu na mapach i ciałach ludzi, tylko trzeba mieć moc, która umie niszczyć i budować, choć światło spoza gwiazd, odwiedzające nas któreś nocy, gdy podejmiemy do okna i spojrzymy w górę, nigdy nie będzie miało ani nazwy, ani imienia.

Ci, którzy podnieśli rękę na zwycięzcę, zostaną ukarani. Ci, którzy z przyjaźnią zwycięzcę powitają na polnych drogach i na ulicach wielkich miast, będą mieli zapewnione wszystko. Miliony pokonanych wstąpią do partii, która będzie rządzić krajem z przyzwolenia obcych generałów. Nowe władze zwrócą się do zwycięzcy z korną prośbą, by zechciał zostawić na zawsze swoje wojska w podbitym kraju jako Zbawca, Wyzwoliciel i Opiekun. Nauczyciele w szkołach zmienią swój język, nazywając napaść na swój kraj pomocą i ochroną, na którą czekały lasy, jeziora,

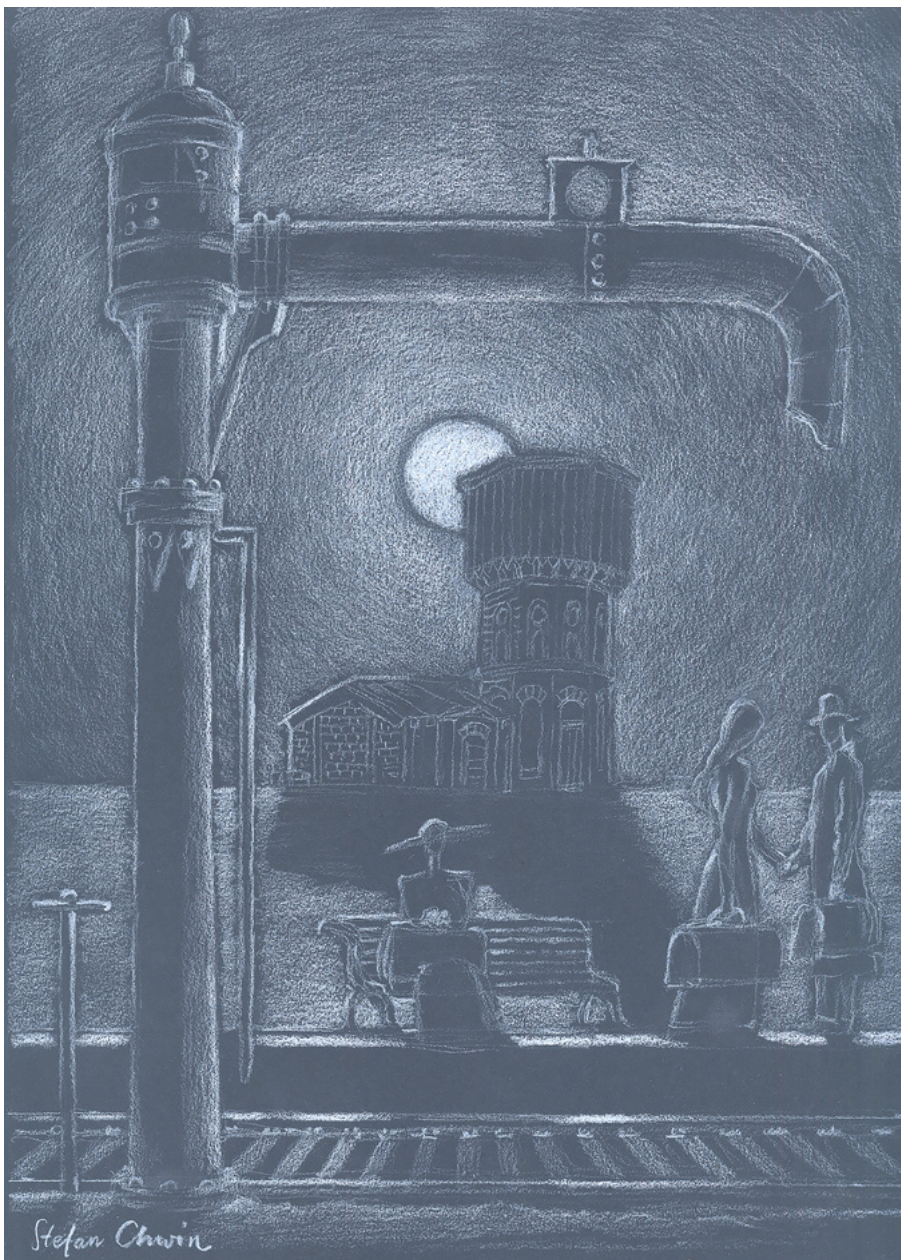
miasta, rzeki i pustkowia, spragnione ładu i porządku, którego od dawna brakowało. W kościołach będą rozbrzmiewać kazania takie jak zawsze, jakby czas zatrzymał się na progu baptysterium i przybrał barwy ochronne, które pozwalają zapomnieć o różnicy między niewolą i klęską. Po paru miesiącach nikt nie będzie pamiętał, jak było naprawdę na polach bitew i w piwnicach pod domami, które runęły, gdy nadeszła godzina. Kraje nieprzyjazne, które strzelały do zwycięzcy, na nowo otworzą ambasady w podbitym kraju. Między dawnymi wrogami rozkwitnie handel, bo nafta i uran pomimo trzęsień ziemi nie zmieniają swojego miejsca pobytu w głębi gór i będą niecierpliwie czekały na szybką przemianę w drogocenne złoto, które rozjaśnia duszę ojców i matek, zapewniając dobrobyt i mądrość wszelkiemu potomstwu.

Tylko chmury będą płynąć nad równinami jak zawsze w porannej zorzy, a Ziemia nie zatrzyma się nawet na jedną chwilę w swoim stanowczym marszu dookoła Słońca, które co wieczór będzie płonąć ze wstydu na widok Ziemi. Czyste światło poranka rozjaśni ptaki, które jak co roku zerwą się z białych brzoź i przelecą nad krajem z północy na południe, gubiąc piórka puszystego śniegu na skrzyżowaniach mórz i gór, gdzie biały jeleń przypomni, że nigdy nie był jednorożcem, choć znajdą się tacy, co zaklinać się będą, że widzieli w świerkowych lasach jego diamentowy róg, przebijający noc i zewnętrzne ciemności.

STEFAN CHWIN

Rysunki, obrazy, sny

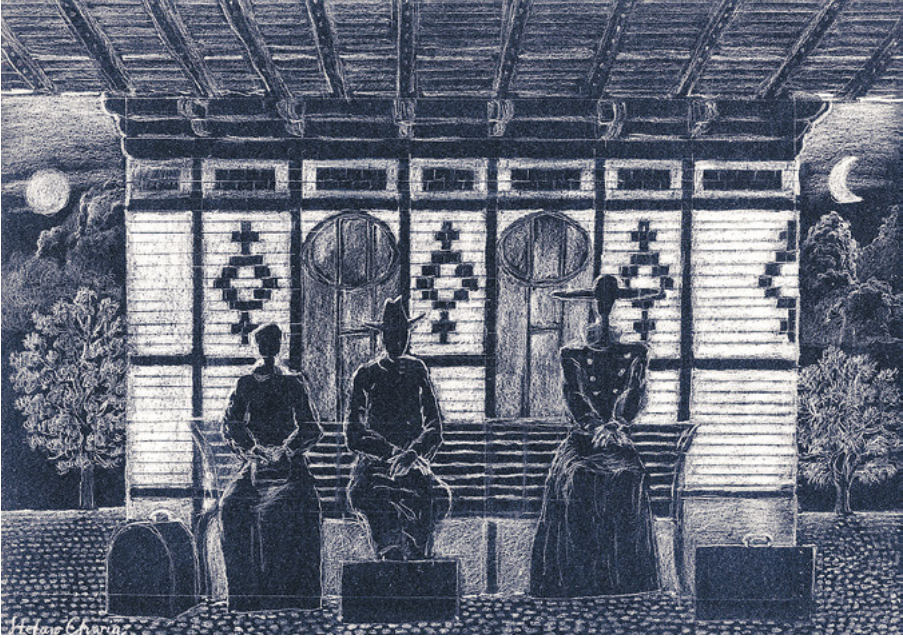




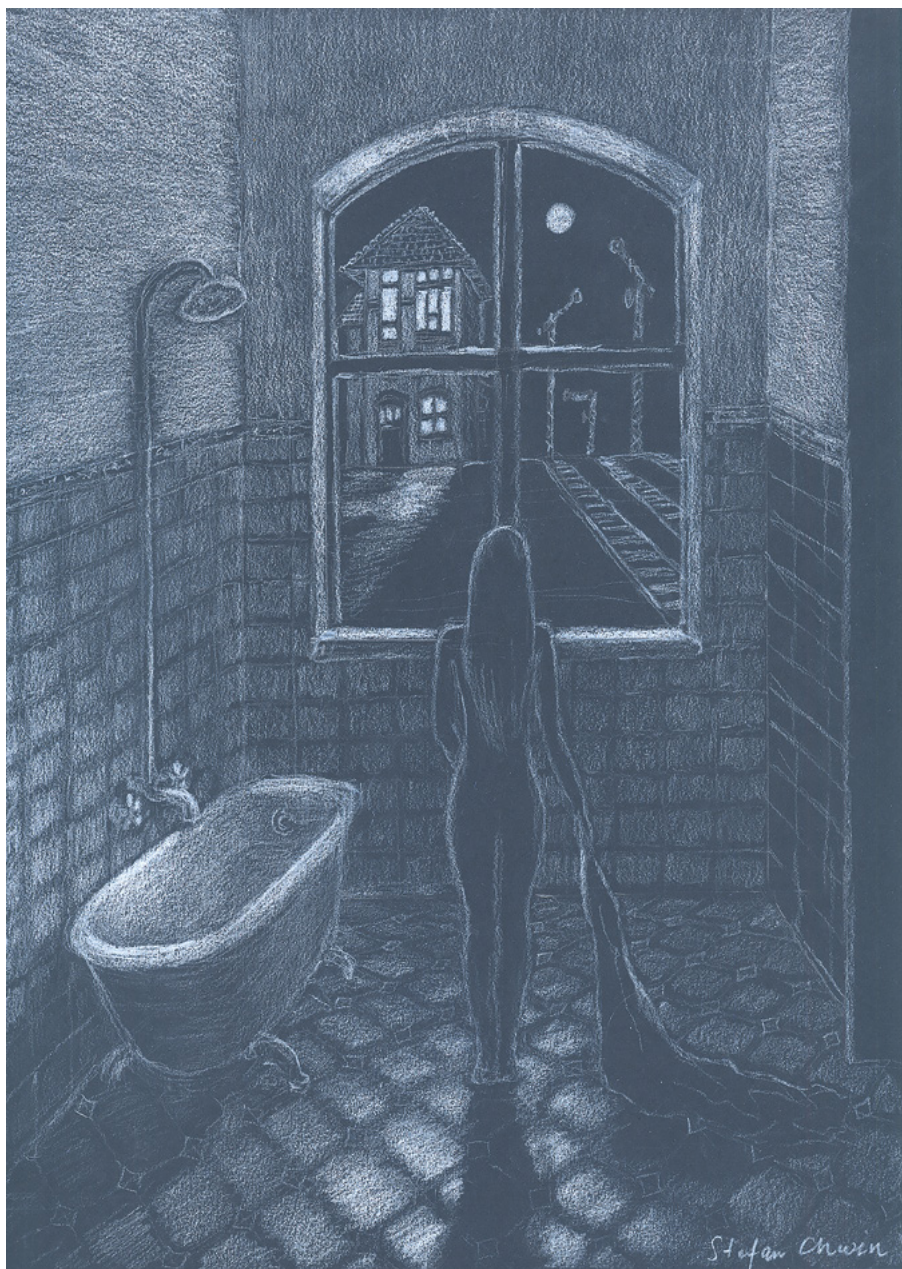
*Spotkanie, z cyklu „Nocna podróż wschodniopruską koleją”*



*W poczekalni i Przy stoliku, z cyklu „Nocna podróż wschodniopruską koleją”*



*Peron w Oliwie i Drzemka pod jabłonią, z cyklu „Nocna podróż wschodniopruską koleją”*



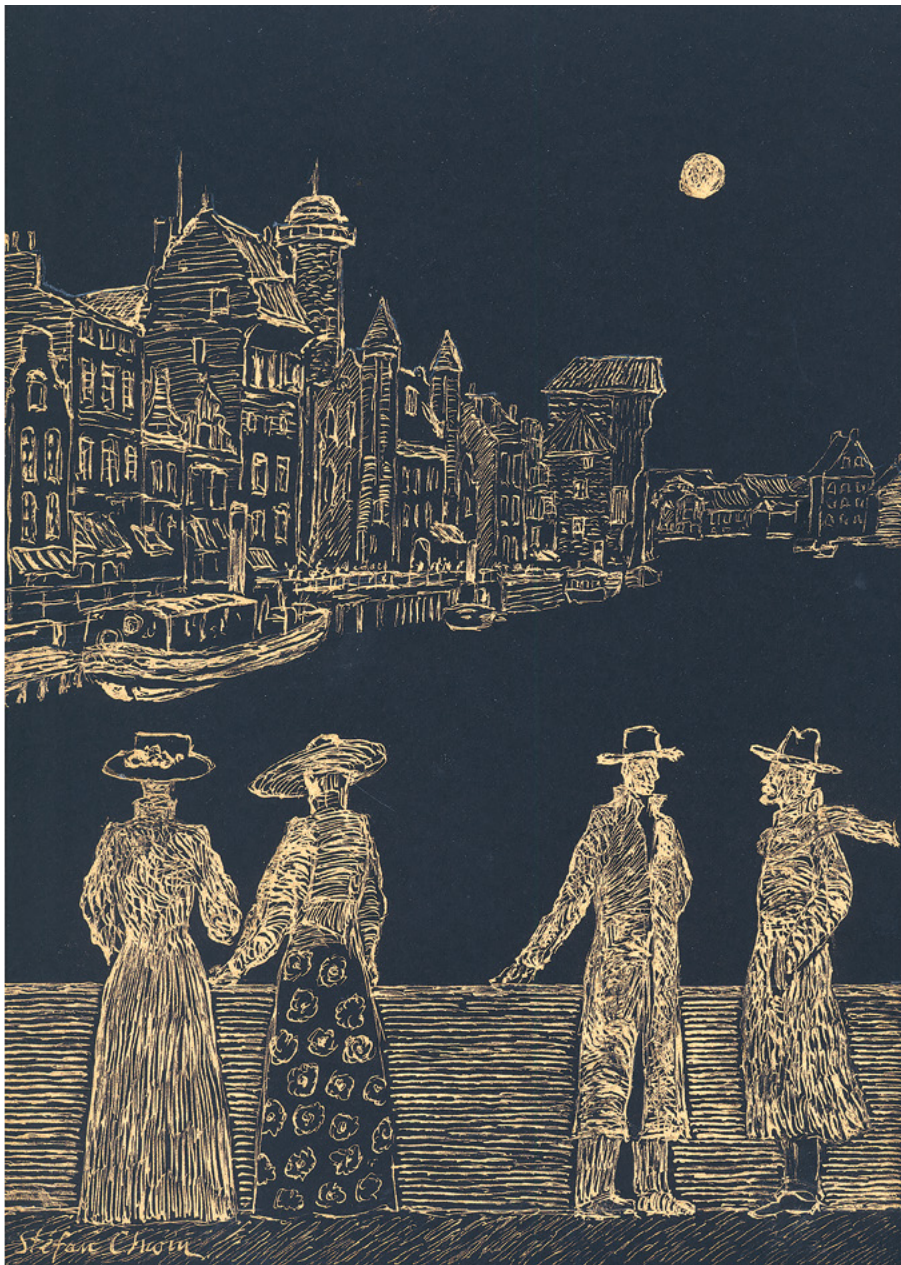
*Wenus wschodniopruska, z cyklu „Nocna podróż wschodniopruską koleją”*



Wiadukt, z cyklu „Pośmiertny spacer po Złotym Mieście”



*Świata na Mariackiej, z cyklu „Pośmiertny spacer po Złotym Mieście”*



Na Zielonym Moście, z cyklu „Pośmiertny spacer po Złotym Mieście”



*Dziewczyna z kotem, z cyklu „Pośmiertny spacer po Złotym Mieście”*



*Drzewo Ksiąg, z cyklu „Pośmiertny spacer po Złotym Mieście”*



*Bandażowanie miasta, z cyklu „Pośmiertny spacer po Złotym Mieście”*



*Ulica Piwna wieczorem, z cyklu „Pośmiertny spacer po Złotym Mieście”*



*Dwie duszyczki nad Motławą, z cyklu „Pośmiertny spacer po Złotym Mieście”*



*Don Kichot i księgi i Don Kichot i wiatrak*



Don Kichot czyta „Don Kichota”



*Stefan Chwin*

*Ekscentryk*

## To, co niedoczytane

ze Stefanem Chwinem rozmawia Andrzej Zawada

**Andrzej Zawada:** Jak to się stało, że jako jeden z pierwszych polskich pisarzy po roku 1989 napisał pan ważne teksty o doświadczeniu „poniemieckości”, czyli o polskim życiu na śladach niemieckiej kultury w zachodniej i północnej Polsce? Pańska świetna, bestsellerowa powieść *Hanemann*, która wyszła w 1995 roku, dotyczy między innymi tej kwestii. Dlaczego to doświadczenie uznał pan za istotne i warte uwagi?

**Stefan Chwin:** Powiem tak: temat „poniemieckości” stanowi jeden z wielu tematów mojej twórczości i nie jest to wcale temat najważniejszy. Temat ten odbieram jako pokoleniowy, bo na przykład moi studenci, także ci, którzy z Gdańska pochodzą, nie widzą w nim czegoś, co jest dla nich żywe i dotyka ich osobiście. My, pan i ja, należymy do pokolenia, dla którego to wszystko było bardzo ważne z powodów chronologiczno-biograficznych, bo nasze dzieciństwo przebiegało w innym mieście niż to, które my w tej chwili możemy zobaczyć. Te ślady poprzedniej cywilizacji, ale też ślady wojny, były decydujące dla naszego osobistego rozwoju duchowego. Natomiast moi studenci odbierają Gdańsk jako miasto w stu procentach polskie.

**A.Z.:** Mamy podobne doświadczenia we Wrocławiu.

**S.C.:** Dla nas te ponemieckie ślady były podłożem formacyjnego doświadczenia, dla ludzi młodych mają raczej charakter ciekawostek, że są w dzisiejszym Gdańsku jakieś dawne domy, które stanowią turystyczną atrakcję. Natomiast myśmy – ludzie w moim wieku – wychowali się w domach ponemieckich, które na początku lat pięćdziesiątych były jeszcze kompletnie wyposażone przez Niemców, którzy stąd uciekli. To wszystko istniało jeszcze w bardzo silnym natężeniu i dzia-

łało na wyobraźnię. Dzisiaj te mieszkania są w większym stopniu pod znakiem lkei niż pod znakiem rzeczy dawnych, które były dla nas naturalnymi elementami naszego środowiska kulturowego.

Mam poczucie, że myśmy zrobili jednak dobrą robotę. Myślę tutaj o innych pisarzach, także o panu i pańskim *Bresławie* oczywiście. Dzięki nam jakieś ważne doświadczenie polskie znalazło swój wyraz w literaturze. Gdyby nie my, może zostałoby ono zapomniane, a tak weszło do listy kanonicznych tematów polskiej kultury i literatury polskiej XX wieku. Dzisiaj są jeszcze Rokita i Szczerek, ale ja ich książki uważam za rodzaj dobrej literatury inercyjnej, która zajmuje się sprawami sprzed trzydziestu lat. Ten temat podtrzymuje wciąż środowisko „Gazety Wyborczej” i „Tygodnika Powszechnego”, jury nagrody Nike i Angelusa, wyraźnie na przekór tendencjom obecnego czasu.

**A.Z.:** Tak, jest jakaś grupa osób, która wciąż to traktuje jako coś ciekawego. I w dalszym ciągu takie książki powstają. Na przykład na Dolnym Śląsku, tutaj u nas, jest wśród młodych pisarzy, trzydziestoletnich, moda na powieści kryminalne osadzone w realiach tużpowojennych Dolnego Śląska, z akcją na styku – często antagonistycznym – cywilizacji niemieckiej i polskiej.

**S.C.:** Myślę, że to jest efekt zazdrości (śmiech). Oni wszyscy chcieliby być Krajewskim, który na takich kryminałach zrobił międzynarodową karierę.

**A.Z.:** Pewnie tak.

**S.C.:** U nas, w Gdańsku, też są podobne próby pisania przedwojenno-powojennych kryminałów gdańsko-pomorskich. Ale my – pan i ja – byliśmy w innej zupełnie fazie i nas żadna kryminalna historia nie interesowała.

**A.Z.:** Zupełnie nie, ponieważ chodziło o odkrywanie innej kultury, odmiennej cywilizacji, w której się znaleźliśmy. Właściwie o rozpoznanie świadomości formującej się na styku dwóch cywilizacji. Tej rodzimej polskiej i zewnętrznej, niemieckiej. Przyznawana we Wrocławiu nagroda Angelus jest wyróżnieniem dla pisarzy Europy Środkowej, więc jury, do którego należałem od początku, wybiera spośród

książek nadesłanych z ponad dwudziestu krajów i podejmujących problematykę środkowoeuropejskiej tożsamości. Ta problematyka zmienia się wraz z tożsamością, przykładem może być nagrodzona niedawno powieść Saży Stanišica *Skqd*. Autor jest uchodźcą z Bałkanów, a tę opowieść o trudnym procesie asymilacji, zresztą debiutancką, napisał już po niemiecku.

**S.C.:** Myślę, że myśmy byli odkrywcami. Bo weszliśmy na terytorium, które było strefą tabu. A w tej chwili to nie jest żadna strefa tabu. Przeciwnie, wszyscy mogą szukać tutaj, czego chcą. Ja bym nasze przedsięwzięcia łączył z przełomem politycznym, który nastąpił około 1989 roku. To, że sięgnęliśmy po taki temat, było przejawem naszego poczucia odzyskanej wolności. Czuliśmy, że wydobywamy na jaw coś, co dotąd było zakazane. Przecież nie mógłbym wydać *Hanemanna* przed 1989 rokiem.

**A.Z.:** To oczywiste.

**S.C.:** A pański *Bresław* – no to w ogóle mowy nie było o tym, żeby pan to wydał przed 1989 rokiem, prawda?

**A.Z.:** *Bresław* napisałem nieco później. Doświadczenie, które próbowaliśmy zwerbalizować, to doświadczenie znalezienia się jednocześnie w dwóch cywilizacjach i założenie, że ta cywilizacja, którą tu zastaliśmy, nie jest nam wroga, pozwalała ją potraktować jako pewien *handicap*, jako swoisty dar losu, który w jakiś sposób intryguje i wzbogaca. Prawie wszystkie pańskie i naszych kolegów książki tak to traktowały; że tu dokonujemy pewnego rozpoznania cywilizacyjnego, które jest dla nas korzystne, a nawet atrakcyjne, możemy się z niego wiele dowiedzieć i nauczyć. W momencie, kiedy to zjawisko stało się szeroko obecne, zainteresowanie ponemiecką cywilizacją, która tutaj została mocno zniszczona, zaczęło przekształcać tożsamość polską, wzbogacać ją. Czy to przyjazne dostrzeżenie dziedzictwa niemieckiego, teraz wolnego od dawnej niemieckiej ideologii, nie wpłynęło dość mocno na polską tożsamość? Jak pan sądzi?

**S.C.:** Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy wpłynęło na polską tożsamość, bo chyba trzeba by było jakieś badania socjologiczne przeprowadzić.

**A.Z.:** Wnioskuje tak, obserwując otwartość dzisiejszych Polaków na kontakty z Niemcami, łatwość podróży, brak uprzedzeń indywidualnych czy też może nawet traum, które miało pokolenie naszych rodziców.

**S.C.:** No, tutaj nie podzielam pańskiego optymizmu.

**A.Z.:** Nie?

**S.C.:** Myślę, że Polska jest bardzo podzielona.

**A.Z.:** To prawda.

**S.C.:** Ten podział dotyczy również kwestii, o której teraz mówimy. Na przykład ja miałem konflikty z moją matką, która była oburzona, że napisałem coś takiego jak *Hanemann*. Kiedy ona moją powieść przeczytała, powiedziała do mnie: – Ty piszesz za dobrze o Niemcach. Oni na to nie zasługują. – I miała pretensje do mnie, że pisząc *Hanemanna*, zrobiłem to jakby wbrew historii całej naszej rodziny. Bo nasza rodzina została przez Niemców bardzo głęboko zraniona. Podczas Powstania Warszawskiego połowa moich krewnych ze strony matki zginęła w bombardowaniach i rozstrzeliwaniach na Woli, o czym ja oczywiście wiedziałem. Więc moja matka uważała, że pisząc za dobrze o Niemcach, jakoś zdradzam moją rodzinę, tę bliższą i dalszą. Zapominam o tym, co się naprawdę z nami stało. To był jeden podział. A drugi podział jest taki, że w tej chwili w części polskiego społeczeństwa sentymenty antyniemieckie są bardzo silne.

**A.Z.:** One są podsycane.

**S.C.:** Można podsycać tylko to, co istnieje.

**A.Z.:** To także prawda.

**S.C.:** Z pewnością prawica polska to podsycza, ale podłożem tego są przekonania autentyczne, wcale nienarzucane nikomu. Przecież cały czas się mówi u nas, że

Bruksela i Berlin to właściwie to samo. Że na Niemców trzeba uważać, bo to zawsze był naród niebezpieczny i teraz też jest niebezpieczny, tylko zmienił formy działania. Ileż razy słyszymy coś takiego? Tak brzmi dyskurs nie tylko prawicy, ale na przykład dyskurs małych polskich miast, gdzie antyniemieckość jest bardziej widoczna niż na przykład w takich metropoliach jak Gdańsk, Wrocław czy Warszawa. Można przytoczyć litanię pretensji polskich do Niemców współczesnych, że oni nas wyzyskują, okradają, oszukują, trzymają z Rosją, podrzucają nam migrantów i jeszcze na dodatek zwalają na nas winę za Holokaust. Więc ja nie mam takiego optymistycznego poglądu jak pan.

Myślę, że pan patrzy na sprawy polsko-niemieckie z perspektywy środowiska uniwersyteckiego, które jest środowiskiem absolutnie wyspowym i ma niewiele wspólnego z całą resztą społeczeństwa. Studenci z pewnością bardzo chętnie jeżdżą do Niemiec na Erasmusa i nie robią z tego żadnego problemu. Ale dodajmy, że znaczna ich część głosuje na prawicę i to radykalną.

**A.Z.:** Tak, to wiemy.

**S.C.:** Więc ja nie uważam, że my, polscy pisarze, swoim pisaniem zmieniliśmy duszę narodu polskiego.

**A.Z.:** Aż takich złudzeń nie mam.

**S.C.:** To się raczej nam nie udało. Myślę, że pisząc nasze książki, my się raczej upewnialiśmy w swoim własnym stanowisku. To jedna rzecz. A druga to to, że w mojej twórczości te sprawy wyglądają na dużo bardziej skomplikowane niż o nich teraz mówimy. Mnie zawsze raził kicz pojednania. I tak naprawdę w głębi serca to ja Niemców nie lubiłem i nadal nie lubię. Przede wszystkim ze względu na opowieści mojej matki o tym, co oni robili podczas Powstania Warszawskiego. Jako sanitariuszka w powstaniu matka widziała między innymi masakrę szpitala powstańczego, więc to wszystko nie skłaniało mnie do darzenia ich sympatią. Byłem w Niemczech bardzo wiele razy, miałem chyba ze sto wizyt. I w wielu momentach trochę mnie raziło to, co się nazywa takim niemiecko-zachodnioeuropejskim paternalizmem wobec nas, ludzi ze środkowej Europy. W Hamburgu kiedyś bardzo

sympatyczni ludzie ze stowarzyszenia dążącego do pojednania zachowywali się wobec mnie nadzwyczaj opiekuńczo, żeby mnie nauczyć, co to jest prawdziwa demokracja, bo my, ludzie ze Wschodu, jesteśmy trochę tacy dzicy, jeszcze nieuforni na prawdziwych Europejczyków, i oni nas tutaj pouczą, co powinniśmy robić, żebyśmy mogli naprawdę dołączyć do cywilizowanych społeczeństw Unii Europejskiej. Oni naprawdę byli życzliwi, ale podskórnie akcentowali taką zasadniczą różnicę między nami. Mówię o tym dlatego, że moje nastawienie do Niemców było zawsze krytyczne, pełne nieufności i niepokoju. Ale inną sprawą było odniesienie do tego, co ja nazywam odniesieniem do kultury niemieckiej.

**A.Z.:** Napisał pan jednak powieść o Niemcu z Wolnego Miasta Gdańska.

**S.C.:** Właściwie nikt z krytyków nie zauważył, że Hanemann, tytułowy bohater mojej powieści, nie jest prawdziwym Niemcem. On pochodzi z Alzacji-Lotaryngii, gdzie tożsamość była chwiejna i nie do końca określona, taka francusko-niemiecka. Poza tym on nie ma żadnej rodziny. Jest zupełnie sam, jakby wziął się zupełnie znikąd. Mnie taka właśnie kreacja tej osoby była potrzebna – jako obcego wśród swoich. Kiedy moja matka przeczytała moją powieść, powiedziała do mnie: – Wiesz, ten twój Hanemann nie lubi ludzi. – Coś w tym musiało być, że ja wymyśliłem taką nieostrą postać, która lubi być sama i nie przepada za ludzkim, także niemieckim towarzystwem. Ale w recenzjach, których pojawiło się mnóstwo, nie zwrócono na to uwagi. Może Andrzej Franaszek i Jerzy Jarzębski coś tu wyczuli.

**A.Z.:** Tego zagadnienia nie wysunął pan na pierwszy plan.

**S.C.:** To prawda. Ta sprawa jest gdzieś w tle. Jeśli chodzi o Niemców, to ja ich nie lubiłem od dziecka, ale – i tu się zawiera istota sprawy – byłem pod urokiem niemieckiego piękna. Mnie zupełnie nie interesowało poszukiwanie niemieckich korzeni współczesnego Gdańska, co robiło wielu gdańskich inteligentów na początku lat dziewięćdziesiątych, przejętych kultem gdańskiego *genius loci*. Jakież dokumentowanie historii miejsc, gdańskich uliczek i budynków czy biografii sławnych gdańszczan. Tego w mojej twórczości zupełnie nie ma. Mnie fascynowała pewna odmiana piękna, której w Polsce nie było, pewna odmiana wrażliwości es-

tetycznej, religijnej, filozoficznej, malarskiej, której mi brakowało, a którą odnajdywałem właśnie w poniemieckich śladach zrujnowanego miasta oraz w książkach i malarstwie niemieckim.

**A.Z.:** Dlatego w *Hanemannie* pojawia się Heinrich von Kleist?

**S.C.:** Dlatego się zająłem Kleistem, i to nie przypadek, że on w *Hanemannie* występuje. Pisząc *Hanemanna*, miałem na uniwersytecie wykłady między innymi o Heinrichu von Kleiście i jego *Księżciu Homburgu*. To były dla mnie rzeczy rewelacyjne. Do dzisiaj zresztą jestem absolutnym admiratorem tego dramatu, który w Polsce nie cieszy się raczej wzięciem, a wart jest najwyższej uwagi. Ale, jak słyszałem, Kleist nie jest też ulubionym pisarzem Niemców, co mnie do niego jeszcze bardziej przyciągnęło.

Moje podejście do Niemców było zatem wewnętrznie sprzeczne. Z jednej strony czułem obawę i niechęć, natomiast bardzo mnie przyciągał i fascynował sam duch niemiecki, który współgrał z moimi osobistymi kłopotami duchowymi, jakie przeżywałem, przekraczając czarny rubikon czterdziestki. Dlatego w orbicie *Hanemanna* pojawia się Kleist, ale i Caspar David Friedrich i jego wspaniałe obrazy, niemieckie kino ekspresjonistyczne z lat dwudziestych i niemieckie malarstwo z tego okresu, i Leni Riefenstahl.

**A.Z.:** Tak, i ta wewnętrzna sprzeczność, o której pan mówi, w innej postaci jest obecna w części polskiej populacji. Mieszkając na Dolnym Śląsku, obserwuję to od kilku dziesięcioleci, Polakom podoba się ta materialno-estetyczna spuścizna niemiecka. Podziwiają ją i rekonstruują, także ratują, oczywiście nie zawsze. Podziwiają dawny niemiecki krajobraz. W Kotlinie Jeleniogórskiej pięknie odbudowano kilkanaście, jeśli nie więcej, poniemieckich pałaców, które na początku lat dziewięćdziesiątych były w kompletnej ruinie. Odbudowano je zresztą wspólnie z Niemcami i w dużej mierze, na początku, za niemieckie fundusze – nasi sąsiedzi byli bardzo zaangażowani w rekonstrukcję nie tylko samej architektury, ale i krajobrazu, co jest teraz przedmiotem estetycznego zadowolenia turystów i mieszkańców. Ten region, wraz z Sudetami, wyróżnia się architektonicznie i krajobrazowo, nie kryjąc zarazem odmiennej przeszłości kulturowej i historycznej:

Mówi pan o tej sprzeczności oczywiście na trochę innym poziomie, światopoglądowym i emocjonalnym. Mam podobne do pańskich doświadczenia wojenne, odziedziczone po rodzicach i po dziadkach. Te przejścia wojenne nie ominęły chyba żadnej rodziny. I oczywiście stosunek do Niemców musi być złożony. A zdarrające się komunikowanie, mniej lub bardziej uważne, mniej czy bardziej dyplomatyczne, niemieckiej wyższości cywilizacyjnej, jest przecież zauważalne. Taka złożoność emocjonalna wywołuje poznawczy rozdźwięk. Zastanawiam się, czy naprawdę doświadczenie poniemieckości, które nasze pokolenie próbowało rozpoznać i opisać, nie przekształciło się w coś, co później stało się hasłem poniekąd nawet propagandowym, jak wielokulturowość.

W pewnym momencie mówiło się o wielokulturowości Polski, zaczęto Wrocław nazywać miastem wielokulturowym, choć przejawów wielokulturowości nie widziałem za wiele. Oczywiście jest, skoro na Dolnym Śląsku pozostali autochtoni. Mieszkam we wsi, która była wsią czeską, założoną przez Czechów osiedlonych tu w XVIII wieku i nadal mamy sąsiadów czeskiego i niemieckiego pochodzenia, chociaż coraz ich mniej. Na Pomorzu czy na Dolnym Śląsku wielokulturowość jest może bardziej widoczna, choć jakby mniej eksponowana. Ostatnio mamy czas powrotu do raczej nacjonalistycznej czy plemienniej optyki. Gdańsk też przedstawiano jako miasto wielokulturowe, choć w pańskiej twórczości nie jest to pierwszoplanowa kwestia. Na przykład w niedawno wydanym *Moim Gdańsku*, ogląd – nazwijmy to tak – świata lokalnego jest znacznie bardziej pogłębiony.

**S.C.:** No więc najpierw może bym jeszcze wrócił na chwilę do tego, o czym mówiliśmy trochę wcześniej. Jeśli chodzi o moją postawę wobec śladów niemieckiej kultury, to ja z pewnością dzielę powszechny zachwyt dla dawnej niemieckiej architektury, jednak nie dostrzegam ani u innych polskich pisarzy, ani w szerszych grupach społecznych, o których pan mówi, nawet cienia zainteresowania dla spraw, które mnie jako pisarza interesowały. Na Boga Świętego, który z tych pisarzy, czy w ogóle Polaków zainteresowanych „poniemieckością”, w ogóle przejął się jakimś Kleistem, Casparem Davidem Friedrichem, niemieckim kinem ekspresjonistycznym i Leni Riefenstahl! Nikt po prostu. Niech mi pan wskaże chociaż jednego polskiego pisarza, który poszedłby tą drogą. Właściwie tylko ja przejmuję się żywiej tego rodzaju wspaniałą, piekielną mieszanką jako nurtem alternatywnym, który mógłby wzboga-

cić polską kulturę. Tylko ja wprowadziłem do polskiej literatury scenę z finału życia Kleista i połączyłem ją ze śmiercią Witkacego, bo mnie w kulturze niemieckiej fascynowały nie tylko piękne domy i miejsca ponemieckie oraz germańskie krajobrazy, lecz przede wszystkim niemiecka kultura śmierci, szczególnie ta zrodzona przez niemiecki romantyzm, bardzo odległa od polskiej kultury śmierci.

Właśnie po to było w *Hanemannie* zestawienie polskiego doświadczenia śmierci i niemieckiego doświadczenia śmierci. Przecież nikogo z polskich pisarzy i w ogóle Polaków to raczej nie obchodziło. Pisząc *Hanemanna*, wchodziłem na grunt całkowicie nierozpoznany i zarysowałem mapę zainteresowań swoją własną, wprowadzając do polskiej literatury coś, czego w niej dotąd nie było.

Następna rzecz. Mnie zupełnie nie interesowała ta sprawa, o której pan mówi, że Niemcy są lepiej zorganizowani niż my, że tacy są cywilizowani. To w ogóle stereotyp niemieckości i ja w ogóle tego nie dotykałem. Mnie nie interesowała i nie interesuje nadal doskonałość organizacyjna społeczeństwa niemieckiego, państwa, przemysłu, gospodarki i tak dalej. Wróć do kategorii, o której tutaj wspomniałem. Mnie interesuje kategoria niemieckiego piękna, daleko wykraczająca poza zachwyty dla niemieckiego krajobrazu czy urbanistyki. Ściślej: sprawa niemieckiego dążenia do piękna i niemieckiego rozumienia idealnego piękna, które powraca z niepokojącymi refleksami w niemieckiej kulturze. Na przykład sprawa piękna nazistowskiego, piękna mundurów esesmanów, piękna mundurów gestapo, które nam pokazywano, pewnie pan pamięta, w serialu *Stawka większa niż życie*.

**A.Z.:** Oczywiście, że pamiętam.

**S.C.:** Jednym z moich przeżyć formacyjnych była chwila z młodości, kiedy nagle z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że Polak Hans Kloss znacznie lepiej wygląda w mundurze nazistowskim niż w mundurze polskiego żołnierza. Że ten mundur wroga prezentuje się dużo lepiej niż nasz. Wniosek był niepokojący: że piękno może być po stronie morderców. Że nawet jeśli z powodów patriotycznych chcę siebie przekonać o pięknie polskiego munduru, to ten przeklęty mundur esesmański został jednak lepiej wymyślony pod względem estetycznym od naszych mundurów. Że on lepiej wygląda, chociaż został stworzony przez świat zła i podłości. Było tak?

**A.Z.:** Tak było, wiemy, kto projektował mundury esesmanom.

**S.C.:** Sam wielki dyktator mody Hugo Boss, który w *Ślubie* Gombrowicza występuje jako wielki dyktator mody Fior, o czym zwykle nawet się nie wspomina. A Leni Riefenstahl? Dlaczego w szkołach filmowych na całym świecie studenci uczą się na jej podłych dziełach, które gloryfikowały Hitlera i jego bandę, prawdziwego wyczucia kinematograficznego piękna? Do piękna nazistowskiego przyłożyli rękę autentyczni artyści, chociaż są tacy, którzy uważają, że to nie było żadne piękno. Mnie jako pisarza takie właśnie rzeczy interesowały, nie tylko urok poniemieckich kamienic czy odbudowanych pałaców, które stoją na poniemieckich terenach Polski. Ta właśnie estetyczna strona nazizmu była dla mnie żywym problemem mojego własnego światopoglądu estetycznego.

**A.Z.:** Wystarczyło pojechać do NRD, by zobaczyć wysoko zadarte, na wzór esesmańskich, czapki niemieckich milicjantów. Estetykę czasem trudno oddzielić od idei.

**S.C.:** Ale mnie interesowało niesłychanie dziwne połączenie niemieckiego zła z niemieckim pięknem. To jest główny problem mojej książki *Krótką historia pewnego żartu*, która była czytana przede wszystkim jako „książka o Gdańsku”, co ja przyjmowałem z mieszanymi uczuciami. Zrobiono ze mnie jakiegoś sentymentalnego miłośnika gdańskiego „heimatu”, tymczasem ja się zajmowałem naprawdę poważnymi sprawami, które wychodziły daleko poza ten temat. Cała ta książka jest polemiką ze słynnym wierszem Herberta pod tytułem *Potęga smaku*, w którym Herbert wykluczał istnienie totalitarnego piękna. Mówił: wystarczyło mieć smak, by odrzucić komunizm. Za łatwe mi się to wydało, za proste. Zająłem się sprawą uwodzenia umysłu i wyobraźni polskiego chłopca z lat pięćdziesiątych XX wieku przez piękno totalitarne w wersji niemieckiej i sowieckiej, bo miliony najzupełniej realnych ludzi zostały naprawdę uwiedzione przez to piękno. Moja książka porusza tę właśnie kwestię. Bada splątaną relację między pięknem i złem. Jest właściwie autobiograficznym traktatem kryptoestetycznym na ten temat. No, ale krytyka wepchnęła ją do tych nieszczęsnych „małych ojczyzn”, co oczywiście całkowicie tę kwestię, o której ja mówię, zamazało.

**A.Z.:** Kategoria „literatury małych ojczyzn” zdominowała przekaz i na tej półce stawiano pisarzy z Pomorza, Mazur, Dolnego i Górnego Śląska, przypisując ich twórczość do głównego tematu. Ja też zresztą byłem i wciąż w dużym stopniu jestem przekonany, że wielokulturowość jest zjawiskiem realnym i pozytywnym, że „miasta spotkań” są lepsze od miast wrogiej konfrontacji, a „pogranicza kultur” mogą sprzyjać integracji, a nie utrwalaniu stereotypów. Idea „małej ojczyzny” nie jest niczym innym jak obecna w Europie formuła lokalności, skłaniająca mieszkańców do kultywowania kulturowej oryginalności i specyfiki, zainteresowania przeszłością, ocalania jej pozostałości. To dobry sposób na budowanie wspólnoty. Fakt, że po pewnym czasie hasła „wielokulturowości” oraz „małej ojczyzny” zaczęto powielać jak reklamę turystyczną, możemy potraktować jako skutek uboczny.

**S.C.:** Tak było. Chciano skompletować stado pisarzy „małoojczyźnianych” i „wielokulturowych”, żeby pasowało do podręczników historii literatury. Więc ja mam takie poczucie, że myśmy, myślę też o panu, robili, każdy po swojemu, rzeczy pionierskie, wchodziliśmy na terytorium, które nie było zagospodarowane przez nikogo. Ale czy to była robota dobra? No, pan ma teraz pewne wątpliwości. Ja też mam pewne wątpliwości, że niestety przyłożyłem rękę do absolutnie fałszywego mitu Gdańska jako miasta wielokulturowego, ulepionego z wielu „małych ojczyzn”, które – jak uparcie powtarzano na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – w dawnym mieście nad Motławą żyły ze sobą zgodnie, ale potem coś się, niestety, popsulo, więc dzisiaj o tym dawnym Gdańsku powinniśmy marzyć ciepło, bo to był Gdańsk dokładnie taki, jak trzeba.

**A.Z.:** Ja też chętnie przyłożyłem rękę do wizerunku Wrocławia jako miasta wielokulturowego.

**S.C.:** Robiłem to z jednego powodu – moralnego, a nie poznawczego. Myśmy wtedy marzyli o wejściu do Unii Europejskiej. I ten mit wielokulturowości Gdańska właściwie miał przybliżyć Polakom, ludziom niepewnym przyszłości, tę wielonarodową, nieznaną nam bliżej konstrukcję, jaką była Unia Europejska. Jak się mówiło „Gdańsk wielokulturowy”, to rozumiano przez to, że ten dawny wielokulturowy

Gdańsk jest takim modelem i zapowiedzią Unii Europejskiej, do której będziemy wchodzić.

**A.Z.:** Prawdę powiedziawszy, w XVI, XVII wieku Gdańsk taki był.

**S.C.:** Nie był.

**A.Z.:** Gdańsk hanzeatycki, polski i pruski...

**S.C.:** To było miasto niemieckojęzyczne, z pewną ilością mniejszości. Podobnie jako Wilno było polskojęzyczne z pewną ilością mniejszości, żadne tam wielokulturowe. W Gdańsku żywioł niemiecki był dominujący. A już w XIX wieku, no to w ogóle nie ma o czym mówić. Podobnie jak w początkach XX wieku. To była dominacja żywiołu niemieckiego. Polaków było w Gdańsku przed wojną podobno mniej niż dziesięć procent. Ale ja uważam, że to, co myśmy robili, było usprawiedliwione dobrą intencją, choć równocześnie tworzyło raczej niezupełnie prawdziwy historyczny obraz miasta. Był to obraz zmytizowany, ale pisarz może sobie pozwolić na tworzenie mitów. Może zresztą jest właśnie do tego powołany. I myśmy tworzyli taki mit. A historycy są od tego, żeby te mity rozwalać. Ponieważ ja jestem z wykształcenia – i pan zresztą też – równocześnie pisarzem i historykiem, robimy mity, a potem je trochę rozmontowujemy.

**A.Z.:** Trochę musimy je podważać.

**S.C.:** Co jest, uważam, zdrowe. Dlatego, że bezkrytyczna mitologizacja jest niebezpieczna. Na szczęście nie byliśmy żadnymi fanatykami mitu wielokulturowości. W jednym z wywiadów od razu po ukazaniu się *Hanemanna* wyraziłem swój dystans wobec tego mitu, bo wtedy straszne rzeczy się działy w wielokulturowej byłej Jugosławii, gdzie w krwawej wojnie domowej „małe ojczyzny” skoczyły sobie do gardła, ale to nic nie dało, bo wciąż powtarzano, że ja jako autor *Hanemanna* jestem heroldem wielokulturowości, chociaż w mojej powieści nie ma wcale żadnego obrazu dawnego Gdańska jako jakiejś wielokulturowej Arkadii, do której bym tęsknił.

Natomiast dzisiaj mamy do czynienia z zupełną katastrofą tego mitu. I to jest katastrofa globalna. Od tego mitu odwracają się miliony ludzi. Nie jakieś tam marginesowe grupki prawicowe, tylko miliony. Hasło multi-kulti, które kiedyś było wypowiedane z entuzjazmem, funkcjonuje dzisiaj jako sformułowanie obraźliwe. Masa ludzi nawet nie chce go słyszeć. Mnie to martwi, bo uważam, że ten mit, nawet jeśli nie był do końca prawdziwy i zawierał w sobie pewne treści ryzykowne, miał jakąś moralną wartość. Był jednak wyrazem pięknego marzenia o lepszym świecie, w którym różne kultury potrafią ze sobą pokojowo współistnieć. Natomiast teraz młodzi ludzie w Polsce odwracają się od niego bardzo radykalnie. Skręt na prawo, który ma miejsce w Polsce w tej chwili, to jest też skręt przeciwko idei wielokulturowości.

**A.Z.:** Zaczynamy się czuć bezradni wobec tego zjawiska, nabrało wymiaru globalnego.

**S.C.:** Mnie to martwi, bo może prowadzić do bardzo przygnębiającego wniosku, że mimo wszelkich marzeń podstawową, najbardziej naturalną formą samorozpoznania człowieka jest nacjonalizm, to znaczy widzenie siebie przede wszystkim jako części narodu. W tej chwili to idzie przez cały świat, bo to jest trend światowy. Trudno sobie wyobrazić bardziej radykalnego i bezwzględnego nacjonalistę niż obecnego prezydenta demokratycznej Ameryki. Przecież akcja antyimigrancka, którą on tam prowadzi, jest wymierzona w ideę społeczeństwa wielokulturowego, mimo tego, że Ameryka jest naprawdę wielokulturowym społeczeństwem. Byłem tam i widziałem to na własne oczy. W porównaniu z Ameryką Polska dzisiejsza czy nasze miasta dzisiejsze nie są wielokulturowe, bo Gdańsk nie jest dzisiaj żadnym miastem wielokulturowym. Dzisiaj okazuje się, że kategorią podstawową ludzkiej autoidentyfikacji jest dla wielu ludzi na świecie przede wszystkim przynależność do narodu, a nie – jak chciało uniwersalistyczne oświecenie – przynależność do pięknie zróżnicowanej „wielkiej rodziny ludzkiej”. I w Rosji to jest, i na zachodzie Europy to się pojawia bardzo silnie, a w Ameryce to jest bzik po prostu. Wszystkie te hasła nacjonalistyczne, które słyszymy, są wymierzone przeciwko idei wielokulturowości, która zresztą w Europie się skompromitowała w straszny zupełnie sposób, kiedy się okazało, że społeczeństwo wielokulturowe złożone z tubylców

i milionów migrantów może być bombą zegarową, która co jakiś czas wybuchą. Pewnie pan zauważył, że nawet ci, którzy niedawno byli obrońcami i głosicielami idei wielokulturowości, w obecnej kampanii wyborczej mówią językiem antywielokulturowej prawicy. Wszyscy wiedzą, że każdy, kto wystąpi dzisiaj pod hasłem multi-kulti, po prostu przegra wybory – i to nie tylko w Polsce.

**A.Z.:** Tak, trudno tego nie zauważyć i nie wolno. Obserwujemy istotną zmianę społeczną, jakieś przeobrażenie w największej skali, jak to się dzieje w Ameryce, w której kategoria narodu nie jest w tej chwili wiązana z etnicznością, tylko z ideologią, czyli kluczową rolę odgrywa sama idea narodu. Ktoś, kto ma inne korzenie etniczne, wybiera sobie naród, z którym się będzie utożsamiał, a wie, że powinien utożsamiać się z takim narodem, który wydaje mu się najsilniejszy. Tak to się odbywa.

**S.C.:** Myślę, że ważniejszą sprawą jest tutaj umacnianie się kategorii twardego interesu narodowego, która u nas była podstawową kategorią światopoglądu Romana Dmowskiego. Z pewnością mamy dzisiaj do czynienia z ideologicznym rozumieniem narodu, a nie etnicznym. Na przykład Putin mówi o wielonarodowym narodzie Rosji, co jest ideologicznym paradoksem, bo naród z definicji nie może być wielonarodowy. Ale Trump podobnie rozumie kategorię narodu amerykańskiego. Nie tyle więc kryterium etniczne odgrywa dzisiaj rolę główną, ile właśnie kryterium interesu narodowego, które prowadzi do ostrej brutalizacji tożsamości narodowej, bo mówi przede wszystkim, że mamy prawo i obowiązek realizować własny, egoistyczny interes, także kosztem interesów innych narodów. To jest istota sprawy, która wstrząsa dzisiaj uniwersalnym systemem wartości, budowanych przez nurt oświecenia i – jak można sądzić – przygotowuje psychologiczny fundament do wojny między narodami na dużą skalę. Bo podobnie było przed 1939 rokiem, kiedy to Europa dostała na punkcie narodów prawdziwej wściekłości. Dzisiaj mamy do czynienia z podobnym co w latach trzydziestych narodowym jeżeniem się jeden na drugiego. A to wszystko jest całkowicie sprzeczne z tym, co my, pan i ja, robiliśmy trzydzieści lat temu.

**A.Z.:** Niestety. W związku z tym korci mnie, żeby zapytać pana, o to, co napisał pan o samobójstwie narodowym. Mam na myśli pańską znakomitą książkę

*Oddać życie za Polskę*, o samobójstwach przedstawionych w literaturze tworzącej mit samobójstwa altruistycznego, popełnianego dla dobra ojczyzny. Sądzi pan, że w obecnym powrocie do postaw nacjonalistycznych, bardzo wzmocnianych przez polityków, wrócimy do tego mitu? Bo gdy obserwujemy postawy Polaków, to owszem, chcemy być narodem, chcemy być dzielni, najważniejsi, niezwyciężeni, ale wydaje mi się, że na wojnę to nikt nie chciałby pójść albo prawie nikt, żeby oddać życie za ojczyznę.

**S.C.:** To nie jest zupełna prawda, bo jednak w Ukrainie walczą dziesiątki tysięcy polskich ochotników.

**A.Z.:** Tak, jednak mówimy o perspektywie setek tysięcy, które miałyby pójść na wojnę.

**S.C.:** Wie pan, zawsze większość nie bardzo się pali do wojny, ale jak przychodzi co do czego, to potem i tak idzie na front, bo nie ma wyjścia. Ja tę książkę napisałem w pewnym gniewie, ponieważ uświadomiłem sobie, jaką rolę odgrywają w Polsce polonistki czy w ogóle poloniści. Może nie wszyscy, ale generalnie szkolni poloniści. To znaczy, jaka rola jest zaplanowana dla pana i dla mnie. Polska szkoła działa chyba od zawsze wedle tego samego paradygmatu, żeby przygotować przede wszystkim chłopców do tego, żeby kiedy wybije godzina, z entuzjazmem przyjęli kartę mobilizacyjną i pojechali na front, z którego wrócą tylko niektórzy z nich. Cała edukacja szkolna jest tak pomyślana. To dotyczy też i innych krajów. Niech mi pan wskaże chociaż jeden system edukacji szkolnej, zatwierdzony przez państwo, w ramach którego by mówiono uczniom, że człowiek ma prawo odmówić udziału w wojnie, jeśli uznaje ją na przykład za pozbawioną sensu albo niemoralną. Taka możliwość nigdzie w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wyobraża pan sobie lekcję w szkole, na której nauczyciel wspólnie z uczniami rozważałby jako otwartą kwestię, czy człowiek ma prawo nie wziąć udziału w wojnie, jeśli uważa ją za sprzeczną z sensem i moralnością? No, przecież to jest zupełnie niemożliwe. Słyszał pan kiedyś o takiej lekcji?

**A.Z.:** Armia przestałaby działać, więc istnieć, gdyby to było realne.

**S.C.:** Z tego, co pan powiedział, wynika, że szkoła zawsze musi być podporządkowana armii, także szkolne lekcje języka polskiego powinny być jej podporządkowane. Paradoks polega na tym, że w naszym przekonaniu szkoła powinna raczej przygotowywać do życia, tymczasem w rzeczywistości ona przygotowuje człowieka do zachowań, które w sytuacji kryzysowej mają charakter samobójczy. Bo prawie każdy, kto dzisiaj idzie na front wysokotechnologicznej wojny, w istocie popełnia coś w rodzaju samobójstwa, ponieważ nader wysokie jest prawdopodobieństwo, że zostanie skutecznie zabity przez potwornie sprawną maszynę masowego zabijania. Rosjanie w Ukrainie mówią o froncie jako „miasorubce”, czyli maszynie do mielenia mięsa. W edukacji patriotycznej chodzi o to, by młodzi mężczyźni nie tylko z chęcią, ale i z entuzjazmem weszli do tej maszyny, z której tylko część wychodzi cało. Kulminacją tego rodzaju oddziaływań edukacyjnych jest uwodzenie młodych mężczyzn sugestywnymi, często artystycznie wyrafinowanymi obrazami działań *sensu stricto* samobójczych, jak na przykład staranowanie płonącym samolotem bojowym wrogiego transportu wojskowego czy uderzenie tonącą łodzią podwodną we wrogi okręt, co jest przedstawiane jako szczególny tytuł do chwały. Ta edukacja dokonuje się nie tylko w szkole, ale też w sztuce, którą szkoła wykorzystuje.

Chodzi zatem o rozbudowany system psychologicznego oddziaływania, który ma ludzi popychać w stronę dobrowolnego wyboru śmierci i okaleczeń, motywowanego wyższymi intencjami. Otóż jak przedstawia się ten system w polskiej kulturze literackiej, wydało mi się warte opisanie. Dzisiaj jednak dopisałbym do mojej książki jeszcze jeden rozdział, bo – jak myślę – zabrakło w niej porównania polskiego systemu zachęt do śmierci patriotycznej z podobnymi systemami działającymi w innych krajach. Ktoś, czytając to, co napisałem, może odnieść wrażenie, że polska kultura jest szczególnie radykalna czy aberracyjna w tym względzie, co – powiedzmy od razu – nie jest prawdą. Bo dużo bardziej radykalna w tym względzie jest na przykład zmilitaryzowana kultura Rosji, nie mówiąc już o kulturze Japonii z jej kultem kamikadze.

**A.Z.:** No tak, ale żadna zachodnia kultura europejska nie jest tak radykalna.

**S.C.:** Każda kultura kryje w zanadru ikonę samobójstwa dla dobra ojczyzny. Nawet tak łagodnie mieszczańska jak szwajcarska, kiedy na przykład przypomina

na freskach jednego z domów w Rapperswilu postać Winkelrieda, który wbił sobie wrogi włócznię w pierś, by utorować drogę swoim żołnierzom walczącym z armią cesarską. Wystarczy zaostrenie sytuacji historycznej, by uruchomił się ten paradygmat we wszystkich krajach. Podczas drugiej wojny światowej istniały pisemka dla żołnierzy Wehrmachtu na froncie wschodnim, w których barwnie przedstawiano samobójcze wyczyny bojowe, nagradzane Żelaznymi Krzyżami. A w ZSRR uprawiano kult sowieckich lotników, którzy w trafionym samolocie bojowym mieli do wyboru albo wyskoczyć na spadochronie, albo uderzyć płonąca maszyną we wrogi dworzec kolejowy, i wybierali to drugie, by przed nieuchronną śmiercią jeszcze coś zniszczyć i kogoś zabić dla dobra narodu, równocześnie ginąc w eksplozji. Sowiecka prasa to gloryfikowała. Polska kultura patriotycznej śmierci była na tym tle raczej umiarkowana, chociaż dużo mniej niż na przykład kultura czeska.

**A.Z.:** A jednak, jak pan pokazuje, w niej też są zachowania radykalne.

**S.C.:** To prawda. Mechanizm psychologicznego oddziaływania, o którym mówię, działa czasem jawnie, czasem mniej jawnie, czasem agresywnie, czasem tylko podstępnie. Ale to jest cały czas obecne. I tutaj bym jeszcze dopisał parę słów o roli naszej polonistyki, jaką ona pełni w szkolnym „wychowaniu dla śmierci”. Nie słyszałem o kimś, kto by chciał usunąć ze spisu lektur *Redutę Ordona*, w którym to dziele pojawia się archetypiczny obraz polskiego samobójstwa altruistycznego z powodów patriotycznych. Nawet ci, którzy mają nastawienie pacyfistyczne, gdy co do czego dochodzi, to jednak nie wycofują tego ze spisu. Bo jednak to jest część polskiej kultury i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Pisząc moją książkę, chwilami sądziłem, że ten system będzie słabnąc, ale teraz już nie mam tej pewności, bo sytuacja geopolityczna dość istotnie się zmienia. Gdybyśmy żyli w błogim spokoju jak dziesięć, piętnaście lat temu żyła Unia Europejska, to mit samobójczy musiałby się schować na jakiś czas i pewnie by się schował, a może i zniknął. Ale on mocno się trzyma w bardzo wielu kulturach, także w naszej.

**A.Z.:** Ponieważ jesteśmy już przy literaturze, to chciałbym jeszcze porozmawiać o pisaniu i o książkach. Od mitu samobójstwa patriotycznego jest bardzo blisko do ogólnego zagadnienia patriotyzmu, jako idei współtworzonej i podtrzymywanej

przez literaturę. Pisał pan o tym wielokrotnie, na przykład o Sienkiewiczu i jego trylogii jako „zatrutym ciasteczku”, które kryje w sobie niebezpieczne jady. Bywamy w szkole średniej. Mamy wielu znajomych polonistów. Odbywaliśmy praktyki pedagogiczne w liceum. Kontakty z edukacją licealną mieliśmy przez całe życie zawodowe. I niejednokrotnie burzyliśmy się przeciwko spisowi lektur, przeciw anachronizmom w spisie lektur, przeciw nieczytelności niektórych lektur. I może nawet uważaliśmy je za zbędne. Mówię też o sobie, bo jestem polonistą i moja córka jest polonistką, więc polonistyka jest w naszym domu obecna. Jak przedstawiałby się spis lektur Stefana Chwina dla szkoły średniej?

**S.C.:** Może najpierw powiem o czymś ogólniejszym. Pan przed chwilą wspominał z pewną nostalgią o latach błęgiego spokoju Unii Europejskiej, który uważaliśmy za wieczny, a z którego teraz się z trudem budzimy. Otóż ja uważam, że istnieją dwa paradygmaty edukacyjne. Każdy z nich wychodzi od innej hipotezy przyszłości, która stanowi jego podstawę. Wiadomo, że edukację trzeba budować ze względu na przyszłość, a ta jest nieprzewidywalna, ale w końcu musimy wybrać, czego się spodziewamy. Otóż pierwszy paradygmat to jest wychowanie do życia w pokoju. Natomiast drugi to jest wychowanie do życia w stanie wojny. I to są dwa absolutnie kolidujące ze sobą porządki edukacyjne.

**A.Z.:** Rzadko to sobie uświadamiamy, a do niedawna nawet wcale.

**S.C.:** Przez bardzo długi czas po 1989 roku była u nas bardzo silna tendencja wyrastająca z głębokiego przekonania, z którym ja się zetknąłem osobiście na Festiwalu Wolności, organizowanym w Łodzi, na który zostałem zaproszony i na którym podczas spotkania autorskiego zostałem zaatakowany przez kobiety, kiedy spokojnie zwróciłem się do publiczności z pytaniem: – Czy państwo liczą się z tym, że w Europie może być wojna? – Otóż kobiety, które tam były, wystąpiły bardzo gwałtownie przeciwko mnie, oburzone, że ja w ogóle zadaję tego rodzaju pytania. Ponieważ one uważały, że należy myśleć o przyszłości pozytywnie bez względu na to, jaka ona będzie, to znaczy zakładać, że nigdy już w Europie żadnej wojny nie będzie. I w związku z tym one swoje dzieci wychowują w taki sposób, żeby te dzieci były uformowane do życia w warunkach pokoju. Że należy je chronić przed

samą myślą, że wojna jest możliwa. Więcej: przed myślą, że przemoc jest niezbywalnym elementem życia na Ziemi, którego nie da się uniknąć. I że trzeba wychowywać dzieci w taki sposób, żeby one były całkowicie niezdolne do jakichkolwiek zachowań przemocowych, a nawet do samej myśli o możliwości użycia przemocy w trudnych sytuacjach. Żeby one dogłębnie się brzydziły samym słowem „przemoc”. Cały zestaw środków perswazji, czyli lektury wszystkie, które my zalecamy w szkole, wedle tego modelu edukacyjnego powinien kształtować w uczniach tak zwane miękkie cnoty: pojednania, porozumienia, dialogu, tolerancji, współczucia, empatii, koncyliacji oraz oczywiście sympatii dla wielokulturowości jako szanowanej i podziwianej odmienności, która pięknie wzbogaca świat.

**A.Z.:** Tak przedstawia się kanon cnót liberalno-demokratycznych.

**S.C.:** No tak, ale tutaj mamy problem, bo historia może zrobić coś zupełnie sprzecznego z tym kanonem. I co wtedy? Co się stanie z ludźmi, którzy będą wychowywani w czymś, co można by nazwać ontologiczną niezdolnością do przemocy, gdy w jakiejś chwili okaże się, że przemoc jest podstawową zasadą istnienia. A teraz mamy taką właśnie sprawę na widoku. Przywódca jednego z wielkich państw mówi, że będzie brał pod uwagę tylko tych, którzy dysponują potężną przemocą, bo tylko z takimi warto się liczyć. A tych, którzy nie dysponują potężną przemocą, ma po prostu za jakieś historyczne śmiecie, które tylko zawracają głowę swoimi pretensjami bez żadnego pokrycia w zdolności do przemocy skutecznej. Ci zaś, którzy dysponują potężną przemocą skuteczną powinni zawrzeć między sobą porozumienie, Unię Przemocowców Światowych, żeby całą resztę świata podporządkować sobie i wykorzystać bezwzględnie według twardej zasady interesu narodowego.

**A.Z.:** W takim razie, co powinniśmy mówić dzieciom?

**S.C.:** Dobre pytanie. Czy powinniśmy już w punkcie wyjścia im powiedzieć otwarcie, że cały świat opiera się na zasadzie bezwzględnej przemocy, a słabi są po prostu śmieciem w rękach potężnych przemocowców? Cóż, szkoła służy przede wszystkim do tego, żeby dzieci jak najpóźniej dowiedziały się, co to jest prawdziwe

życie. To jest jej funkcja główna: kształtować człowieka do życia w idealnym, lepszym świecie, jaki realnie nie istnieje i być może nie będzie istnieć nigdy. Nasze polonistki, o których mówimy, też są przekonane, że powinny przygotować dzieci do życia w świecie lepszym od tego, który istnieje. I że powinny je wyposażyć w cnoty, które sprawią, że oni będą lepsi, dzięki czemu sam świat będzie także lepszy jako wymarzony świat bez jakiegokolwiek przemocy.

**A.Z.:** A skoro w tej chwili nie da się uciec przed wiedzą, że nie ma świata bez przemocy, to w takim razie jak uodpornić dzieci na przemoc? I jakiego postępowania wobec przemocy je nauczyć?

**S.C.:** Ach, Boże mój, wchodzi pan na niesłychanie niebezpieczny moralnie teren, no bo tu nasuwa się kwestia odpowiedzialności. Czy powinniśmy uczyć nasze dzieci sztuki życia w realnym świecie, czy raczej sztuki życia w świecie idealnym, który dopiero powinien powstać. To jest też kwestia naszego stosunku do chrześcijaństwa, bo w tej chwili mamy w cywilizacji zachodniej naprawdę poważny kryzys chrześcijaństwa, czego dowodem jest choćby to, w jaki sposób zachowuje się prezydent Ameryki. Bo choć on nie jest katolikiem, przedstawia się jako chrześcijanin. Cała zresztą grupa współpracujących z nim osób to są chrześcijanie.

**A.Z.:** Tak się przedstawiają, niektórzy nawet z ostentacją.

**S.C.:** Ale jest rozdział między tym, co oni mówią o sobie i co robią w polityce, bo robią rzeczy głęboko sprzeczne na przykład z ideami ewangelicznego *Kazania na górze*. Po prostu ze swojego chrześcijaństwa wymazują Jezusa, który mówił: kochaj bliźniego swego jak siebie samego, a jeśli cię ktoś uderzy, nadstaw drugi policzek. Ci amerykańscy chrześcijanie uważają takie zalecenia Jezusa za niewarte uwagi. No i co wtedy pozostaje? Pozostaje coś, co ja nazywam ewolucją chrześcijaństwa w stronę Chrystusa Króla. To znaczy Jezusa z mieczem. Nawet w naszej Polsce pojawiają się ruchy domagające się intronizacji Jezusa na króla Polski, które łączą polski patriotyzm z pojęciem skutecznej mocy państwowej, wspieranej przez siły nadprzyrodzone. Otóż Chrystus prezydenta Trumpa to jest Chrystus z mieczem w ręku, co bardzo ściśle łączy się ze zwrotem nacjonalistycz-

nym, o którym mówiliśmy, bo nacjonalizmy z powodów politycznych chętnie dokonują takiej właśnie ideologicznej reorientacji chrześcijaństwa. Chrystus z mieczem to jest nie tylko Chrystus prezydenta Ameryki, to jest też Chrystus Putina, który rozpoczynając wojnę z Ukrainą, powołał się na ewangeliczną formułę, że nie ma nic piękniejszego niż oddać życie za braci swoich, uzasadniając w ten sposób inwazję na Donbas, zamieszkałą przez braci-Ukraińców rosyjskojęzycznych. Rosyjska cerkiew bardzo Putina popiera, a nawet jawnie udziela mu błogosławieństw, zapewniając, że Jezus jest po jego stronie i sprzyja „specjalnej operacji wojskowej”.

**A.Z.:** Jeden z najbardziej powtarzalnych mitów historii, powielany przez sztukę wysoką i masową.

**S.C.:** Najpotężniejszymi przemocowcami na Ziemi są więc dzisiaj ludzie, którzy przedstawiają się jako chrześcijanie. A w Rosji nikt już nikogo nie wychowuje dla życia w pokoju, tylko cały zmilitaryzowany system edukacyjny, który współdziała z chrześcijańską cerkwią, a opiera się na przekonaniu, że przemoc militarno-ekonomiczna jest fundamentem życia na Ziemi, ma wychowywać dzieci do życia w stanie permanentnej wojny, to znaczy uczyć, jak skutecznie zabijać ludzi w obronie ojczyzny oraz jak bohatercko ginąć na froncie. To jest cel główny całego systemu, który jest realizowany przez szkołę, organizacje polityczne, prawosławną cerkiew oraz zintegrowane, podporządkowane państwu media.

Po tych uwagach ogólniejszych teraz możemy przejść do głównego pytania, które pan postawił. Co robić w takiej sytuacji z kanonem lektur? Myślę, że szkoła już dawno rozwiązała ten dylemat i to na całym świecie. To znaczy, wybrała edukację hybrydową. Na jednej lekcji się mówi do uczniów, że staruszki należy czule przeprowadzać przez jezdnię, a jak ktoś idzie z białą laską, to trzeba mu pomóc. Że w ogóle trzeba być czułym dla bliźnich, szczególnie wykluczonych i niepełnosprawnych, w ogóle dla wszelkich „innych”, także dla osób o innej orientacji płciowej. Nikogo nie krzywdzić, także nie krzywdzić zwierząt oraz roślin. Nawet przez naszą noblistkę czułość jest podnoszona do rangi pojęcia kluczowego dla zbudowania lepszej cywilizacji, bo ona w swojej mowie noblowskiej wzniosłe nauczała właśnie o czułości. Ale równocześnie ci sami uczniowie, którzy mają tego

rodzaju edukację, to znaczy czytają *Sierotkę Marysię* i antyprzemocowego *Kubusia Puchatka*, uczą się też w swoim czasie na pamięć wiersza, w którym pewien poeta krzyczy: „za tę dłoń wyciągniętą nad Polską – / kula w łeb!”.

**A.Z.:** Ten cytat stał się ostatnio popularny. Choć nie wszyscy znają nazwisko autora, nie wspominając już o kontekście historycznym.

**S.C.:** A czy może być bardziej przemocowy wiersz? Ja chyba takiego nie znam. Słowa „kula w łeb” są jawnym wezwaniem do zabijania, oczywiście w szlachetnej sprawie.

**A.Z.:** To i Sienkiewicz z trylogią też się nadaje.

**S.C.:** Sienkiewicz jest po prostu idealny pod tym względem. Dlatego, że dokonuje rzeczy bardzo dla szkoły korzystnej: estetyzuje przemoc w taki sposób, że ona staje się piękna do tego stopnia, że można ją bez obaw pokazywać dzieciom. Przedstawiona jako malownicza, zręczna, a nawet żartobliwa, pociągająca, uwodzicielska, ona traci charakter przewinienia moralnego. Uzyskuje blask właśnie dlatego, że spowija ją aura estetycznej wizji. On był mistrzem pod tym względem i można podziwiać to, co zrobił z obrazami patriotycznej przemocy. W moim przekonaniu on starał się w nas, Polakach, odbudować przemocową potencję, której nam zabrakło po rozbiorach. Stworzył klasyczne archetypy polskiej przemocy patriotycznej, które Polaków zachwyciły i zachwycają nadal. Na przykład obraz Podbięty, Polaka, który ścina jednym ciosem trzy ludzkie głowy. I do tego jest jeszcze uduchowionym katolikiem, nieskończenie czystym, bo pełnym abstynentem seksualnym. Czy może być coś piękniejszego i bardziej smakowitego? Taki obraz duchowej mocy i skutecznej fizycznej przemocy, stosowanej dla dobra Ojczyzny. Ta postać budzi sympatię u czytelników Sienkiewicza do dzisiaj przecież.

**A.Z.:** Z pójściem w ślady tego dzielnego rycerza byłoby chyba gorzej...

**S.C.:** Jest jeszcze drugi taki archetyp w polskiej literaturze o podobnej sile perswazyjnej, który też bardzo pociąga Polaków. To Ursus z *Quo vadis*, którego pamię-

tają i kochają wszyscy. Wspaniały, nieskazitelny katolik, prosty wyznawca Jezusa miłosiernego, który równocześnie, jak trzeba, potrafi gołymi rękami przełamać kręgosłup żywego byka. Wszystko tu jest w pakiecie. Urzekająca estetyka szlachetnej przemocy, sentyment religijny, łagodna czułość dla dziewczyc, doskonałe umięśnienie, świetna sztuka zabijania i patriotyzm. Myślę, że tak właśnie polska szkoła realizuje to, co ja nazywam edukacją hybrydową. Daje potrawy wewnętrznie sprzeczne, ale są one tak przyrządzone, żeby można je było konsumować w każdej sytuacji historycznej, zależnie od okoliczności.

**A.Z.:** Czyli nie ma potrzeby zmieniać spisu lektur.

**S.C.:** Nie ma żadnej potrzeby niczego zmieniać.

**A.Z.:** Bo dziewiętnastowieczny kanon lektur trzyma się mocno?

**S.C.:** Oczywiście, że tak.

**A.Z.:** Nie wiem, czy to wciąż działa. Nawet przy założeniu, że uczniowie czytają lektury, a nie streszczenia.

**S.C.:** Pamiętam, że na moją chłopięcą wyobraźnię bardzo działały rzeczy Sienkiewiczowskie. Myślę, że to działa w dalszym ciągu.

**A.Z.:** Nie jestem pewien, na kogo rzeczywiście działa. Czy na dzieci, czy na starsze pokolenie, które wraca do lektur młodości?

**S.C.:** Na wszystkich, którzy oglądają telewizję. Przecież to nie przypadek, że codziennie na przynajmniej jednym kanale leci trylogia – *Ogniem i mieczem*, *Potop* czy *Pan Wołodyjowski*. Nawet jeśli uznamy, że jest to danie już mocno nieświeże, ono nadal działa. Gdyby ludzie nie chcieli tego oglądać, to by tego nie puszczano.

**A.Z.:** Ma pan rację. I *Stawkę większą niż życie* też.

**S.C.:** Dodałbym jeszcze *Czterech pancernych i psa*. Myślę, że ten paradygmat, który się uformował, jest na razie po prostu niezniszczalny. I działa. Ciągłe mocno się trzyma w polskich głowach obraz Polaków jako „pancernych” przemocowców ze stalowego czołgu, którzy zabijają zręcznie i zabawnie dla dobra Polski i na dodatek zupełnie nieważne, że pod ruską komendą.

Natomiast ja myślę jeszcze o czymś zupełnie innym. Ponieważ wchodziłem wielokrotnie w konflikt z tego rodzaju sposobem myślenia o szkole i raziło mnie „wychowywanie dla śmierci”, które tam jest mniej lub bardziej jawnie praktykowane, zamiast „wychowania dla życia”, zawsze marzyłem o szkole, która miałaby zupełnie inny cel: pomagałaby człowiekowi stać się indywidualnością. Co jest oczywiście sprzeczne z tym wszystkim, o czym mówimy w tej chwili. Chciałem, żeby szkoła dostarczała klucze do rozumienia samego siebie i najbliższych. Do rozumienia matki, do rozumienia ojca, do rozumienia braci, do rozumienia bliższych i dalszych sąsiadów, znajomych, krewnych, przyjaciół i nieprzyjaciół.

**A.Z.:** Ale w jaki sposób szkoła mogłaby to robić?

**S.C.:** W taki oto sposób, żeby ona stawiała uczniów przed koniecznością rozszyfrowywania tekstów pisanych i wypowiedzianych w różnych „językach”. Także tych niezrozumiałych dla nich. Nie jest dla mnie żadnym rozstrzygającym argumentem, że skoro jakaś lektura jest pisana językiem niezrozumiałym dla współczesnych licealistów, to należy ją wyeliminować z edukacyjnej praktyki. Ponieważ moja wizja szkoły – mówimy, przypominam, o wizji idealnej, o której czasem myślę – polega właśnie na tym, że uczeń się spotyka z językiem niezrozumiałym, bo wszyscy mówimy językami do jakiegoś stopnia niezrozumiałymi dla innych, nawet dla naszych najbliższych. Są na przykład rozmaite języki domowe, które powodują, że rozmowa nie do końca jest jasna dla jej uczestników, bo ktoś posługuje się znanym pojęciem, ale nadaje mu własne znaczenie i wtedy pojawia się hermeneutyczny kłopot do rozwiązania. Wchodzi też w grę kwestia języków pokoleniowych, pomiędzy którymi bywają bardzo istotne różnice, utrudniające wzajemną komunikację. Szkoła powinna uczyć sposobów deszyfracji rozmaitych odmian języka, a tu analiza tekstów literackich jest dobrym punktem wyjścia. Można powiedzieć, że chodziłoby o zdobywanie przez ucznia kompetencji rozumienia języków dla niego

w jakimś sensie „obcych”. Może należałoby to robić na mniejszych tekstach niż te, które są zalecane dzisiaj, bo uczniowie nie dają sobie rady na przykład z potężnymi tekstami z literatury romantycznej.

**A.Z.:** Też jestem tego zdania. By zrozumieć tekst, wczytać się w jego znaczenia, należy podejść do niego z natężoną uwagą, jak do wiersza, do poezji. Wiemy przecież, że naprawdę dobra proza mieni się znaczeniami jak tekst poetycki, a zdania mają strukturę wręcz muzyczną. By nauczyć się czytać w ten sposób, należy skupić się na małym wycinku. Jak powiedział Czesław Miłosz: „Niczego nie można poznać inaczej, jak tylko przez szczegół”.

**S.C.:** Myślę, że właśnie szkoła powinna być miejscem, gdzie uczeń konfrontuje się z różnymi językowymi „obcościami”, ucząc się je rozumieć. Chyba najwygodniej to robić na tekstach poetyckich, w nich różnice między językiem ucznia a innymi odmianami języka bywają ogromne. Albo na fragmentach prozy całkiem niewielkich, w których pojawia się na przykład język subkultur albo język archaiczny, albo zawodowy, albo polityczny, albo gwarowy, i wystarczyłoby wybrać próbki takich języków, żeby iść tym torem, chociaż zauważam u wielu nauczycielek, że one wolą jednak dawać uczniom do czytania tylko rzeczy, które są napisane ich „zwyczajnym” językiem, to znaczy należą do tej samej „bańki” językowej, w jakiej uczniowie żyją, tak jak w bańkach językowo-poznawczych zamykają się dzisiaj użytkownicy mediów społecznościowych, odgradzając się od wszelkich przekazów, formułowanych w językach spoza bańki.

**A.Z.:** Nie jestem przeciwny lekturom pisany językiem zrozumiałym. Zaczynamy lekturę od *Elementarza*, zanim dojdziemy do *Boskiej komedii*. Gdy nasza wnuczka była mała, żeby jej towarzyszyć, przeczytałem kilka tomów *Harry’ego Pottera*, i przeczytałem z przyjemnością. Należę do tych, którzy nie krytykują tej książki, ponieważ realizuje w sposób współczesny, czyli czytelny, główne zasady i wartości dobrej literatury. Dobro, zło, prospołeczność, empatia, to wszystko tam jest umiejętnie i czytelnie przedstawione, a na dodatek świetnie przetłumaczone. Dobra, mądra lektura dla młodzieży nie wyklucza trudniejszych tekstów.

**S.C.:** Ja zaś jestem przeciwny wycofywaniu trudnych tekstów poetyckich z edukacyjnej praktyki szkoły średniej.

**A.Z.:** Ależ nie. Odciełlibyśmy się wtedy od tradycji, od przeszłości.

**S.C.:** To nie jest dla mnie argument rozstrzygający. Ważniejsze jest to, że romantyzm stworzył języki trudne dzisiaj do rozszyfrowania i właśnie na ich analizie można oprzeć kształcenie umiejętności „przekładu” językowej obcości na zrozumiałe dla uczniów pojęcia. Żeby oni poprzez analizę obcego stylu potrafili uchwycić charakterystyczny światopogląd tego czy innego człowieka. To znaczy umieli rozszyfrować, co on myśli i czuje. To jest dla mnie ważniejsze od ciągłości tradycji i tym podobnych rzeczy. Lubię czytać książki żyjących pisarzy, bo lubię się dowiadywać, kim są ludzie, którzy je napisali, jak myślą i czują. Czytam po to, by zajrzeć im do głowy, i myślę, że szkolna lektura powinna mieć cel podobny. Kształcić kompetencje rozumienia innych.

**A.Z.:** To powinno być oczywiście marzenie każdego pisarza tak samo jak pedagoga. A jaki kanon dla uniwersytetów?

**S.C.:** Wizję takiego kanonu przedstawiłem na konferencji poświęconej stuleciu Biblioteki Narodowej, na którą mnie zaproszono. Powinien to być kanon książek, które, jak to mówię, wstrząsały światem. I to niezależnie, czy to byłyby książki literackie, czy nieliterackie, żeby ludzie, którzy mają wyższe wykształcenie, dotknęli własną ręką dzieł, które budowały i wywraçały do góry nogami całą cywilizację. I uważam, że w takim kanonie powinny znaleźć się na przykład takie książki jak *Młot na czarownice*, *Protokoły mędrców Syjonu*, fragmenty Talmudu, fragmenty Koranu, *95 tez* i *O wolności chrześcijańskiej* Lutra, *Mein Kampf*, ustawy norymberskie, *Mit XX wieku* Rosenberga, esej Thoreau o obywatelskim nieposłuszeństwie, *Manifest komunistyczny*, *Umowa społeczna* Rousseau, tezy Stalina o językoznawstwie, referat Chruszczowa z 1956 roku, autobiografia Gandhiego, *Myśli nowoczesnego Polaka* Dmowskiego, marcowe przemówienia Gomułki, przemówienie Wałęsy w senacie amerykańskim czy słynne kazanie Jana Pawła II wygłoszone na placu Zwycięstwa

w Warszawie. To były teksty, na których budowano całe cywilizacje, reorientowano sposoby myślenia, inicjowano zmiany ustrojowe, wielkie wojny, rewolucje i tak dalej.

**A.Z.:** Założyciele ossolińskiej serii „Biblioteka Narodowa” tak właśnie wyobrażali sobie funkcję i pojemność tej kolekcji arcydzieł, podzielonej na dwa działy: w pierwszym literatura polska, w drugim światowa. Zaś przez arcydzieła rozumieli teksty kultury tak znaczące, jak te, o których pan mówi. Jednak nie wszystkie są arcydziełami i mają moc przetrwania. Kanon, czyli coś w rodzaju kulturowej kapsuły czasu, też podlega działaniu tego właśnie czasu. Czym są przemówienia Władysława Gomułki, drobnego aparatczyka partyjnego w jednym z krajów przyłódka Europa, wobec Talmudu czy Koranu, albo Suttanipāty? To, rzecz jasna, uwaga na marginesie. Seria „Biblioteka Narodowa” modeluje szeroki kanon nadal.

**S.C.:** Tak wyobrażam sobie tego rodzaju kanon. Bo niestety *Młot na czarownice*, chociaż może się nam to nie podobać, jest w historii świata dużo ważniejszy niż nasz wspaniały *Pan Tadeusz*. A przemówienie Gomułki z 1968 roku było ważne jako praktyczny przykład – obok ustaw norymberskich – jednego z rozwiązań „kwestii żydowskiej” w ramach wschodnioeuropejskiej, wasalnej formacji „realnego socjalizmu”. Oczywiście to nie byłby kanon dla licealistów, lecz raczej dla słuchaczy szkół doktorskich, ale taki kanon powinna wydawać „Biblioteka Narodowa”, z naukowymi wstępami, które rozbrajałyby jadowitość tych książek, o których zwykle wiele słyszymy, ale których zwykle nie mieliśmy w rękach. Bo to są książki, które nawet ludzie z tytułami profesorskimi znają tylko ze słyszenia, chociaż chętnie o nich mówią w salach wykładowych. Cała filozofia polowań na czarownice, proceder rozpoznawania, przesłuchiwania, karania czarownic, represyjne praktyki i symbole, to jest przecież uniwersalna sprawa, powracająca przez całe stulecia. No ale, mówimy w tej chwili o świecie idealnym, którego jak na razie raczej nie widać. A świat realny to jest szkolne wychowanie hybrydowe, o którym wspominaliśmy. Szkoła zawsze była, jest i będzie narzędziem państwa. Nawet gdy będziemy w niej występować jako polonistyczni fachowcy od hermeneutycznych kompetencji, funkcja indoktrynacyjna będzie dla niej kluczowa. Każda władza chce, by szkoła formowała jej przyszłych wyborców.

**A.Z.:** Brzmi to dość pesymistycznie. Ale powiedział pan wcześniej, że uniwersytet to jest jednak pewna enklawa.

**S.C.:** Powinna być.

**A.Z.:** Zgoda, powinna być. Ta enklawa jest już mniej autonomiczna, jak to się ostatnio okazywało, bo można, na przykład, z powodów politycznych wymienić rektora, co stało się na moim Uniwersytecie we Wrocławiu. Pomimo wszystko jest to nadal instytucja w miarę samorządna i kultywująca intelektualne swobody.

**S.C.:** Miejmy taką nadzieję, ale obawiam się, że państwo będzie chciało mieć uniwersytety w swojej garści zawsze. Problem jest jeszcze w tym, że samo środowisko akademickie nie ma w sobie silnej woli samostanowienia. Niestety, sprzyja temu system grantowy jako system pośredniej cenzury myśli naukowej. To jest oczywiście bardzo skomplikowany system, ale przecież polega on na eliminacji pewnych propozycji, co rozmaicie bywa uwarunkowane i uzasadniane. Wielu w tej chwili jest, jak możemy powiedzieć ironicznie, mistrzów grantowych, którzy doskonale wychwytyją oczekiwania i tendencje decydujących gremiów, co dobrze widać w humanistyce. Chodzi nie tylko o gratyfikacje finansowe, ale i awansowe.

**A.Z.:** Podobne kryzysy przechodzą również uniwersytety światowe, jednak nie wiemy, jak poważne. Ostatnio słyszymy o niebezpieczeństwach grożących uczelniom akademickim w Ameryce. Wkrótce możemy być świadkami emigracji uczonych amerykańskich do Europy.

Chętnie wróciłbym jeszcze do pańskiej twórczości.

**S.C.:** Myśmy tu już sporo mówili o moich książkach, natomiast trochę mniej o tym, że ja się w swoim pisaniu zajmuję także paroma sprawami, którymi poza mną nikt raczej się nie zajmuje, a które stanowią o specyfice mojej twórczości. Zaczynając na przykład od mojej najnowszej książki *Dziennik życia we dwoje*, którą napisałem i przeciwko duchowi obecnego czasu, i przeciwko dziennikowi Gombrowicza, w którym on potraktował dość nieprzyjemnie Ritę, prawie całkowicie wymazując ją ze swojego tekstu, co dało najzupełniej fałszywy obraz jego osoby i jego życia.

**A.Z.:** Sądzę, że to była autokreacyjna ostentacja.

**S.C.:** Obojętne, czy to była autokreacyjna ostentacja, czy nie, mnie się to nie podobało, bo niestety, każdy sukces ma dwie nogi męskie i dwie żeńskie. Oprócz tego jeszcze chodziło mi o to, że nie tylko polska literatura ma tendencję do tego, żeby przedstawiać rodzinę i małżeństwo jako źródło cierpień. I ta maniera – obecna zresztą u Gombrowicza – objęła znaczną część polskich pisarzy. Ona ma też wersję feministyczną w rodzaju literackiej martyrologii kobiet jako ofiar gnębionych w małżeństwach, w rodzinach, przez ojców, przez mężów, przez toksyczne matki. To jest fala, która idzie przez świat i żywi się, niestety, stereotypem. *Dziennik życia we dwoje* odbija od tego stereotypu i proponuje zupełnie inną perspektywę.

**A.Z.:** Perspektywę bardzo silnego, emocjonalnego związku partnerskiego.

**S.C.:** To nie jest określenie, które ja bardzo lubię.

**A.Z.:** Użyłem określenia „związek partnerski” w innym znaczeniu, niż obecnie stosowane w głównym dyskursie społecznym. Myślałem o partnerstwie w znaczeniu głębokiego porozumienia, intelektualnej i emocjonalnej jedności, która z dwojga ludzi czyni całość. Tak odczytuję opublikowany niedawno *Dziennik życia we dwoje*.

**S.C.:** Ten dziennik jest eksperymentem literackim w tym sensie, że on jest bardzo wyraźnie upowieściowiony i można go czytać jako powieść-zagadkę. On nie jest dokumentacją naszego życia, ale raczej powieściową dywagacją nad tajemnicą, którą uważam za ważną. Wszyscy teraz dywagują nad tym, dlaczego coś się nie udaje. Literaturę zalewa fala relacji z egzystencjalnych klęsk. A tu chodzi o tajemnicę, dlaczego właśnie coś się udaje. Powstaje dzisiaj sporo książek o związkach kobiety i mężczyzny, które jadą na frustracji. Napisać coś takiego znaczy wywalić z siebie frustrację, zwykle w terapeutycznym zamiarze. Ja uważam, że sztuka nie powinna być wyrzucaniem z siebie frustracji, bo to grozi emocjonalną jednostronnością i oskarżycielskim zacietrzewieniem. Te książki są pisane tak, żeby ulżyć sobie poprzez agresję wobec społeczeństwa, które jest zwykle oskarżane o wszystko. Jednym z przykładów takiej

literatury jest książka Olgi Tokarczuk o pługu, co idzie przez kości umarłych. No, to jest klasyczny przykład ekosocrealizmu, podlanego feministyczną ideologią, która tworzy fatalnie stereotypowy obraz mężczyzn, pozbawia literaturę tajemnicy i każe nam się przejmować tym, że sarenki są zabijane przez okropnych macho, którzy jeżdżą po lasach potwornymi samochodami terenowymi. Ja bym chciał, żeby Olga chociaż raz w życiu spróbowała napisać dla eksperymentu powieść pod tytułem „Rozkosz zabijania saren”. Ale ona nie napisze takiej książki nigdy, bo to się nie opłaca zupełnie w obecnej chwili. Ona płynie z nurtem telewizyjno-gazetowego mainstreamu. Jej stereotypowy macho, którego pełno w jej książkach, jest wzięty z broszurowych tekstów feministycznych, które pokazują mężczyzn jako potworów, co to nie kochają żadnych zwierzątek i oczywiście o niczym innym nie myślą, jak tylko o tym, żeby zabić, co się da. To są głupstwa po prostu, które są bardzo dobrze przyjmowane przez szereg sfrustrowanych osób, czekających na proste wyjaśnienie powodów własnej frustracji. Bo stereotypem i to grubym jest wyjaśnienie, że za wszystkim stoi patriachat. Naprawdę duża literatura wie, że problemy, które ludzie przeżywają, mają powody znacznie bardziej złożone.

**A.Z.:** O matriarchacie można by było raczej mówić, bo socjologicznie jesteśmy, powiedziałbym, bliżej matriarchatu.

Gdy mówił pan o powieści Olgi Tokarczuk, uświadomiłem sobie, że w początkowej części naszej rozmowy zapomnieliśmy o istotnym dla zagadnienia kulturowego dziedzictwa wątku twórczości tej autorki. Myślę przynajmniej o dwu powieściach: opublikowanych w początkowym okresie nurtu rozpoznawania kwestii umownie nazwanej „poniemieckością”. Pierwsza z tych powieści nosi enigmatyczny tytuł *E.E.*, druga to *Dom dzienny, dom nocny*. W obu tych książkach panuje specyficzna aura materialnego i duchowego krajobrazu, który pamięta burzliwe dzieje polsko-czesko-niemieckiego współżycia. Przez lokalność prześwituje to, co ogólnoludzkie, widoczny związek niepowtarzalności z powszechnym. W tym upatruję źródeł poczytności tej literatury. W ostatnich latach pisarka powróciła do podobnej problematyki w powieści *Empuzjon* i w zbiorze esejów *Czuły narrator*. *Empuzjon* jest powieścią podszytą ironią, a mity „maskulinistyczne” wzięto w duży nawias sceptycyzmu. Natomiast przykładem zgłębiania wielokulturowości naszej szerokości geograficznej jest erudycyjna powieść *Księgi Jakubowe*. Cenię sobie tę powieść.

Z kolei podejmowane przez Olgę Tokarczuk zagadnienie stosunku do zwierząt, i szerzej: do natury, zaprzęta również moją uwagę. Jak wspomniałem, od dwu dekad mieszkam na dolnośląskiej wsi i zgromadziłem sporo obserwacji, które rzeczywiście wywołują emocje. W naszym naturalistycznym ogrodzie znalazłem w ciągu kilku lat trzy sarny postrzelone przez „myśliwych”. Dobiegły tu, by skonać pod drzewami. Straż miejska zabierała je do utylizacji. Cielęta stoją w ciemnych oborach na metrowych postronkach, psy całymi dniami leżą w ciasnych kojcach, bo łańcuchy są niehumanitarne. Często traktuje się istoty żywe jak przedmioty, które nie czują i nie cierpią. To mroczne nawyki przodków z czasów walki o przetrwanie. Literatura zawsze zadawała pytanie, czy to, co ludzkie, nie jest nam obce.

**S.C.:** Ale dzisiaj twierdzenie, że nie należy zabijać sarenek i humanitarnie traktować zwierzęta, z którym się całkowicie zgadzam, należy do kulturowego banału, powtarzanego tysiące razy w telewizjach i Internecie! Więc powtarzanie tego raz jeszcze w literaturze jest otwieraniem otwartych drzwi! Prawdziwym problemem godnym literatury nie jest podłość mężczyzn-bydlaków, którzy zabijają sarenki i dręczą zwierzęta dlatego, że są reprezentantami podłego patriarchy, tylko pytanie metafizyczno-ontologiczne: dlaczego ludzkość musi zabijać zwierzęta? Ciekawe, że ci, którzy rozczulają się nad zabijaniem sarenek, nie rozczulają w równym stopniu nad losem świń i krów masowo mordowanych codziennie na świecie w milionowych ilościach. I zamiast rozmyślać o prawdziwym permanentnym holokaucie zwierząt, który jest nieusuwalną podstawą istnienia naszego gatunku na Ziemi, wolą pisać powieści o strasznym zabijaniu sarenek, zręcznie wymijając w ten sposób kwestię naprawdę trudną i drastyczną, jeszcze na dodatek chcąc załatwić sprawę poprzez naiwne zachęty do wegetarianizmu, bo, niestety, jest pewną przesadą liczyć na to, że pewnego dnia ludzkość zmańdrzeje i gromadnie przejdzie na wegetarianizm, zachowując przy życiu wszystkie istoty żywe, które dotąd ze smakiem pożerała.

Taka literatura opiera się na popularnym dzisiaj dogmacie, że sztuka powinna być po stronie Dobra oraz pomagać ludziom w wyzwolaniu się ze Zła i może właśnie dlatego zupełnie nie opisuje ona złożoności realnego świata, w którym żyjemy. Daje schematy, które mają nam pomóc w zbudowaniu świata lepszego. Wiadomo, że ludzie potrzebują tego rodzaju „wyzwoleńczych” czy „naprawczych”

schematów, ale pisarz nie powinien im ich dostarczać czy je potwierdzać. Ja na przykład od literatury walczącej o nawet najsłuszniejszą dobrą sprawę wolę książki, które mówią, jak szalenie trudno zrozumieć, dlaczego człowiek robi to czy tamto. Na przykład czuje rozkosz przy zabijaniu saren. Bo głędzenie o patologicznych skłonnościach myślowych jest naiwną „pocieszanką”. Czytając prozę Dostojewskiego, nie potrafię zrozumieć, kim jest niesamowita Nastazja Filipowna, którą on wymyślił, co ona robi i dlaczego. Nie wiem, co robi Stawrogin, kim on jest, dlaczego jest właśnie taki. Dobieram się do niego z jednej strony, to on wygląda tak, a z drugiej zupełnie inaczej. Właśnie tak pomyślana tajemnica przyciąga mnie do tego rodzaju literatury.

A w moim dzienniku stoję przed tajemnicą tego, dlaczego coś czasem się udaje, wbrew wszystkiemu. Bo to jest tajemnica prawdziwa. Zupełnie dla mnie niezrozumiała. Ja liczę na to, że właśnie coś takiego będzie przedmiotem namysłu przy czytaniu tego, co napisałem. Żadne kategorie ideologiczne nie pomagają nam zrozumieć ludzkiego doświadczenia, które nie mieści się w żadnych schematach. Literatura nie powinna stać ani po stronie Dobra, ani po stronie Zła, tylko po stronie Tajemnicy.

**A.Z.:** Sto lat temu Marian Zdziechowski opublikował w „Przeglądzie Współczesnym” (1928) esej *O okrucieństwie*. Pisał o stosunku do zwierząt, analizując słownik, jaki stworzył nasz język do wyrażenia tej relacji. Zacytuję mały fragment:

„Miarą stosunku człowieka do zwierząt jest język: wyraz »zwierzę« jest synonimem wszelkiej małości i nikczemności. Jak często, jak niesłusznie, jak krzywdząco zamiast »dzikość« czy »okrucieństwo« mówi się »zezwierzęcenie«. [...] Człowieka zasługującego na pogardę nazywamy bydlęciem, głupca – osłem, a pies, ten największy nieodstępny przyjaciel? Odpowiedzią na to – »psia krew«, »psia mać«, u Rosjan – »sukinsyn«; zamiast wdzięczności, wierność bierzemy za symbol najnikczemniejszej unізoności i spodlenia”.

**S.C.:** Ale Zdziechowski też należał do linii naprawiaczy, omijając prawdziwą tajemnicę naszego losu na Ziemi, bo oburzony niesprawiedliwością w moralistycznym duchu wzywał do zmian, które miały naprawić świat, ja natomiast mam na myśli to, co Nienaprawialne i Niepojęte...

**A.Z.:** Cieszy mnie jednak, że podjęliśmy ten temat, ujawniając jego ważność dla nas obu. Czy możemy zatem wrócić do pańskich dzienników? Nie mniejszym wyzwaniem jest dla pisarza takie kształtowanie odziedziczonego kulturowo języka, by „dał odpowiednie słowo” relacjom międzyludzkim.

Od dawna czytam pańskie felietony, eseje czy zbiory, które nazywa pan dziennikami, a które są wypowiedzią literacką. Rozumiem, że jest w nich fikcja i że jest w nich rzeczywistość. Nie chodzi o to, żeby je dokładnie oddzielać, ale to jest ważny i interesujący nurt pańskiej twórczości. Mnóstwo ciekawych interpretacji, ocen, opinii znalazłem w tych dziennikach, chociaż to, co pan mówi o Oldze Tokarczuk, o jej twórczości, nie jest odosobnione. Pisał pan krytycznie i o Herbercie, i o Adamie Zagajewskim. Więcej jest w pańskim pisaniu takich indywidualnych ocen przeciwnych potocznej czy powszechnej opinii. Nie ze wszystkimi gotów jestem zgodzić się w pełni, lecz biorę poprawkę na konwencję intelektualnej prowokacji. Na przykład mam odmienne zdanie o Adamie Zagajewskim, uważam jego poezję za znakomitą i ubolewam nad tym, że jej autora spotykała niechęć „branżowa” i niezrozumienie w środowisku literackim.

**S.C.:** Uważam, że piękną jest rzeczą czytać przeciwko pisarzowi, doceniając równocześnie jego wielkość. I ja tak właśnie czytam. Nie jestem czytelnikiem uległym. Moje teksty na temat Zagajewskiego na przykład czy Herberta wyrastają z przekonania, że mam do czynienia z bardzo wybitnymi osobami, ale dostrzegam też w nich pewne rzeczy, które mnie rażą albo się zderzają z moim światopoglądem. Tak rozumiem mój sposób czytania. W starciu z wybitnymi pisarzami staram się budować samego siebie. Bardzo cenilem poezję Zagajewskiego i nadal ją cenię. To był wybitny pisarz. A Herbert? Ja Olgę bardzo lubię, znamy się trzydzieści lat, ale jednak uważam, że lepiej byłoby, gdyby to Herbert dostał nagrodę, którą ona dostała. Równocześnie zauważam w jego twórczości pewne rzeczy, które mnie niepokoją, a że są one niedostrzegane przez jego wielbicieli, to jest normalne, bo jak jesteś wielbicielem, to po prostu przymykasz oczy na pewne strony czyjegoś pisarstwa. Ale ja w czytaniu cieszę się, jeśli trafiam na przeciwnika wybitnego, który budzi mój szacunek i podziw, choć równocześnie jest kimś kompletnie innym niż ja. Tak było z Różewiczem. Napisałem szereg rzeczy wobec niego krytycznych, ale nigdy nie sugerowałem, że on powinien

opuścić swoje miejsce na literackim Olimpie. Zresztą moje zaangażowanie w te opinie, o których pan tutaj mówi, świadczy o tym, że zawsze doceniam ważność spotkania z moimi adwersarzami.

**A.Z.:** Jeszcze chciałbym zapytać o pańskie relacje z twórczością i osobą Czesława Miłosza, które to kontakty były długotrwałe i wszechstronne. A także o to, w jaki sposób odczytuje pan dzieło Miłosza. Czy element konfrontacyjny, o którym pan wspominał, widoczny w recepcji twórczości Zbigniewa Herberta, Adama Zagajewskiego czy Olgi Tokarczuk, pojawiał się również w tej relacji? Ja też bardzo cenię twórczość Miłosza i nie widzę większego niż on polskiego poety w XX wieku. Autor *Ocalenia* z pewnością jest bardzo ważny dla pana, jest pan autorem tomu *Miłosz. Interpretacje i świadectwa...*

**S.C.:** Myślę, że Leśmian był jednak większy, ale oczywiście bardzo sobie cenię to, że mogłem konfrontować się na żywo z tak wybitną osobą, bo mieliśmy relacje dość bliskie. Miałem pod tym względem biografię bardzo udaną, gdy przypominam sobie, z jakimi osobami mogłem wchodzić w osobisty dialog i przyjazny spór. To, że trafiłem na Marię Janion, uważam za bardzo ważne doświadczenie intelektualne i psychologiczne. Z jednej strony bardzo ją ceniłem i szanowałem, bo wielu rzeczy mogłem się od niej nauczyć, ale równocześnie w dziennikach napisałem dość brawurową, krytyczną jej charakterystykę, która była wyrazem nie tyle jakiejś złośliwości, ile raczej niepokoju, jak autentyczna wielkość może łączyć się z pewnymi cechami osobowości, które nie muszą zachwycać. Podobnie było właśnie z Czesławem Miłoszem. Uważałem, że w paru istotnych sprawach się mylił. Na przykład kiedy dramatyczne, osobiste problemy światopoglądowe, które mocno przeżywał, przypisywał wymyślonemu przez siebie „człowiekowi współczesnej epoki, mieszkańcowi Ziemi Ulro”. Do tego dochodzi jeszcze Jan Błoński, którego sztukę interpretacji bardzo wysoko ceniłem, ale nie rozumiałem zadziwiającego splotu jego intelektualizmu i emocjonalnej religijności. Mieliśmy szereg bardzo pięknych spotkań w Żarnowcu, bo Błoński przyjeżdżał do Żarnowca na wakacje razem ze swoją żoną i potem wędrowaliśmy po lasach czy brzegiem morza, rozmawiając o wszystkim. Bardzo żałuję, że nie miałem wtedy ukrytego mikrofonu, bo on miał ogromną wiedzę o życiu literackim od podszewki. I w rozmowach był

troszkę ostrzejszy niż w swoich krytycznych tekstach, więc o różnych pisarzach wyrażał się bardzo malowniczo, dowcipnie i dosadnie, na przykład kiedy mówił o Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Iwaszkiewicz, Andrzejewskim, Gałczyńskim, Gombrowiczu, których znał osobiście. A potem Błoński któregoś dnia zadzwonił do nas, żartobliwie pytając: – Chcecie poznać wieszczka? – Kiedy odpowiedzieliśmy: – Jasne, że chcemy. – usłyszeliśmy w słuchawce: – No, to przyjeżdżajcie pojutrze do Krakowa. – Więc pojechaliśmy i poznaliśmy Miłosza, najpierw na Uniwersytecie Jagiellońskim, a potem poszliśmy z nim i paroma znajomymi na kolację do Chimery. Znowu żałuję, że nie miałem wtedy przy sobie ukrytego mikrofonu, bośmy rozmawiali o ważnych sprawach.

**A.Z.:** Podobną przygodę miałem z Tadeuszem Różewiczem, który się nie zgadzał na fotografowanie czy nagrywanie. Rozmawialiśmy – byłem w towarzystwie redaktora książek Różewicza, Jana Stolarczyka – trzy godziny na temat wczesnych, socrealistycznych wierszy poety, a na koniec on powiada: „Szkoda, że nie mieliście kamery”.

**S.C.:** W rozmowach z Miłoszem miałem takie wrażenie, że my trochę gramy na wspólnej nucie. To znaczy, że dla mnie i dla niego ważne były sprawy teologiczne, ale w sensie mocno nieortodoksyjnym, bo rozmawiając, wędrowaliśmy sobie po obrzeżach herezji. No i w moich książkach też to występuje, co mnie wyróżnia spośród polskich pisarzy, bo mało kto, albo może zupełnie nikt nie wędruje po tych terytoriach w podobny sposób jak ja. Zwykle mówię, że nie jestem żadnym pisarzem religijnym, chociaż w moich powieściach pojawiają się dość często odniesienia biblijne, tylko pisarzem teologicznym, bo można być w pewnym oddaleniu od religijnego ducha, a równocześnie fascynować się przepastnymi zagadkami myśli teologicznej, która mnie zawsze zachwycała jako niezwykle wyrafinowana konstrukcja filozoficzno-wyobraźniowa ze swoimi zapadniami i zakamarkami. Chodziło też o mój stosunek do katolicyzmu. Szczególnie w *Pannie Ferbelin*, bo ta ważna dla mnie książka dotyka samej istoty katolicyzmu. Czego oczywiście krytyka absolutnie nie zauważyła, bo nasza krytyka raczej się takimi rzeczami nie interesuje, chociaż Polska jest zanurzona w katolicyzmie głęboko i jakieś katolickie doświadczenia mamy wszyscy.

**A.Z.:** No tak, mamy. Uśmiecham się, ponieważ, jak wielu, też mam nieoczywiste zdanie o polskim katolicyzmie, o jego zewnętrzności i, powiedzmy ostrożnie, skromnej zdolności do refleksji. Jednak katolicki znaczy powszechny, zatem teologiczna wnikliwość nie musi interesować każdego, choć mechaniczna rytualizacja zachowań może irytować. Sam Kościół zdaje się nie sprzeciwiać temu zjawisku, na społeczne niedostatki swojej „owczarni” spogląda wyrozumiale. Religia w istocie jest więzią społeczną, więc jej pogłębienie intelektualne to kwestia ogólniejsza, nie tylko teologiczna. Podziwiam rozmyślania Czesława Miłosza, stanowiące istotny wątek jego poezji, wielokrotnie podejmowane w esejach, stałe próby uporządkowania fundamentalnych sprzeczności.

**S.C.:** Ale mnie zupełnie nie interesowała polemika z polskim katolicyzmem, w którą się wdawał uparcie Miłosz, wytykając mu endeckość i powierzchowność. Chodziło mi o rzeczy dużo ogólniejsze i bardziej podstawowe. Napisałem powieść *Panna Ferbelin*, powieść o kobiecie, która ratuje Jezusa od ukrzyżowania i ratuje Go na dodatek w bardzo moralnie dwuznaczny, a nawet bardzo drastyczny sposób, bo sięgając po metody terrorystyczne. Ona porywa dziecko „Piłata” i wymienia je na Jezusa, w ten sposób ocalając Go od śmierci w męczarniach. Sama jest córką stolarza, który buduje dla Jezusa krzyż. Jest to więc bardzo ryzykowna w wielu sensach historia, która wynikała z mojego zdziwienia, że w całej Ewangelii nie znalazł się nawet jeden człowiek, który by chociaż próbował czynnie pomóc Jezusowi wydostać się z więzienia przed egzekucją. W mojej powieści takim człowiekiem jest kobieta, która przypomina trochę Marię Magdalenę.

Napisałem więc apokryf ewangeliczny wyrastający z oburzenia, że nie znalazł się nawet jeden chrześcijanin (poza Piotrem), który byłby gotów czynnie walczyć o skazanego na śmierć Jezusa, chociaż potem takich chrześcijan były na świecie setki tysięcy, chętnie wznoszących miecz i przelewających krew w Jego obronie. Oczywiście chodziło także o teologiczny paradoks: czy obowiązkiem moralnym każdego chrześcijanina było ratowanie Jezusa przed okaleczeniem, torturami i śmiercią w męczarniach? Czy należało zrobić wszystko, by Go uratować od tych potworności? Czy ci, którzy Go opuścili, popełnili ciężki grzech, z którego powinni się spowiadać i za który zostaną ukarani przez Boga? I gdyby znaleźli się tacy chrześcijanie w Jerozolimie, którzy by Go ocalili, spełniając swój chrześcijański

obowiązek pomocy, co by się stało ze Zbawieniem ludzkości? Bo czy Zbawienie byłoby możliwe, gdyby Jezus ukrzyżowania uniknął? Jest to więc powieść utkana z teologicznych paradoksów, a jej akcję umieściłem w dziewiętnastowiecznym Gdańsku, łącząc wydarzenia ewangeliczne z realiami dawnego Gdańska oraz wydarzeniami z Sierpnia 1980 roku. Cóż to zresztą był za ryzykowny pomysł, z taką postmodernistyczną swobodą mieszać w jednej powieści odległe czasy i miejsca! „Jezus” w mojej powieści to człowiek, który przybył z miasta Neustadt do Gdańska i naucza, jak stworzyć lepszy świat na Ziemi, a potem staje na czele strajku w cesarskiej stoczni, za co zostaje aresztowany i skazany na śmierć, zresztą przy współudziale gdańskiego biskupa, który widzi w nim niebezpiecznego szarlatana. Prawdziwa, nieobliczalna gra teologicznej wyobraźni, układająca nową gdańską wersję starożytnej historii. Impulsem do napisania tej historii stał się dla mnie sławny obraz z XVII wieku *Grosz czynszowy* Antona Mullera, przedstawiający Jezusa na Długim Targu w Gdańsku nauczającego gdańskich mieszczan, którzy stoją razem z nim niedaleko fontanny Neptuna w strojach z epoki. Jest to więc powieść o tym, jak mogłaby wyglądać historia ewangeliczna, gdyby Jezus zjawił się w dziewiętnastowiecznym Gdańsku jako Mistrz z Neustadt. No, ale za *Pannę Ferbelin* zostałem zaatakowany przez kilku krytyków o orientacji, nazwijmy to, ateistycznej, że ja się w ogóle takimi rzeczami zajmuję.

**A.Z.:** Cóż, na krytykę zawsze można liczyć. Sam też param się tym zajęciem, choć nie pochlebiam sobie, że wszystko rozumiem. Więc zdarza mi się z wdzięcznością pomyśleć o pisarzu, który zechciał nieco mi pomóc autoobjaśnieniami.

**S.C.:** Tymczasem ta powieść była także powrotem do mojego katolickiego dzieciństwa, a może nawet jakimś bolesnym rozrachunkiem z tym dzieciństwem. Zobrazowałem w niej niepokoje, jakie wtedy przeżywałem, patrząc na wizerunki Jezusa ukrzyżowanego i dziwiąc się, że ludzie, z którymi chodzę do kościoła, najzupełniej spokojnie przyjmują do wiadomości, że nie znalazł się nikt, kto chciałby czynnie pomóc Jezusowi. Z jednej strony wypominali Jego jerozolimskim wyznawcom tchórzliwość, obojętność i nieczułość. Z drugiej mówili, że to bardzo dobrze, że nikt Mu nie pomógł, bo dzięki takiemu zachowaniu ludzi, którzy nie kiwnęli nawet palcem w Jego obronie, my będziemy mogli się radować wiecznym

szczęściem w wygodnym Niebie. Więc to w gruncie rzeczy bardzo dobrze, że nikt Mu nie pomógł, bo tylko na tym skorzystaliśmy. Pamiętam, jakie to teologiczne rozterki targały moją młodą duszą, kiedy o tym wszystkim rozmyślałem na lekcji religii w sali katechetycznej kościoła na gdańskim Przymorzu. Sam mówiłem sobie, żeby gdybym wtedy, przed wiekami, znalazł się w Jerozolimie, zrobiłbym wszystko, by uratować Jezusa przed torturami, okaleczeniem i śmiercią, tak był wspaniałą osobą. Uważałem, że każdy chrześcijanin powinien to zrobić. I nieważne, że On sam powstrzymał Piotra, kiedy ten sięgał po miecz w Jego obronie. Gotów byłem poświęcić wszystko, by Go uratować, chociaż dobrze wiedziałem, że kłóciło się to z powszechnymi opiniami. I te wszystkie niepokoje, które wtedy przeżywałem, odżyły we mnie, kiedy pisałem *Pannę Ferbelin*, wklajając się w sieci teologicznych sprzeczności i paradoksów, które rozdzierały moją uformowaną przez katolicyzm duszę, co było ryzykowne i fascynujące.

**A.Z.:** Z pewnością było fascynujące. I pewnie ryzykowne, bo apokryfy nie są szczególnie akceptowane, zwłaszcza gdy – na przykład – jest to opowieść o wybawieniu Zbawiciela od samobójstwa altruistycznego, jak w powieści *Panna Ferbelin*. Tej odmianie samobójstwa poświęcił pan wnikliwy rozdział w obszernym studium pod tytułem *Samobójstwo jako doświadczenie wyobraźni*.

**S.C.:** Oczywiście nikt w Polsce podobnej powieści nie napisał. Zajmowanie się takimi sprawami to była moja wyobraźniowo-teologiczna specjalność, daleka od kompletnej obojętności dla teologii większości Polaków, których wędrowanie wśród teologicznych paradoksów raczej po prostu nudzi. Miłosz mi zresztą mówił to samo o tej obojętności, która – jak to odczuwał – uderzała w niego samego jako autora teologicznych, nieortodoksyjnych wierszy.

A przecież ta kwestia paradoksów emocjonalno-światopoglądowych wychowania katolickiego nie była moją tylko sprawą. Tym zajmował się Jan Parandowski w *Niebie w płomieniach*, ale potem polscy pisarze machnęli ręką na te sprawy, chociaż każdy z nich chodził na lekcje religii i do kościoła, a nawet przystępował do pierwszej komunii, a potem czasem się od Kościoła oddalał. Wszyscy więc przechodziliśmy przez te same mniej więcej progi wtajemniczenia i co niedziela na mszy słuchaliśmy fragmentów Ewangelii, jakoś o tym rozmyślając. Tak to mniej więcej wy-

glądało. Ale polska literatura raczej woli nie dotykać tych skrytych pamiątek naszego dzieciństwa, które w Polsce były i chyba są nadal powszechne. Zajmuje się jakimiś frustracjami społecznymi, jakimiś kobiecymi pretensjami do systemu, jakimiś kompleksami inteligentów pochodzących z chłopów i tego typu rzeczami.

Ja zresztą napisałem też apokryf współczesno-średniowieczny, oparty na chrześcijańskiej legendzie o Świętym Aleksym, który nosi tytuł *Złoty Pelikan*. Rzecz ciekawa, że ta książka została świetnie przyjęta w kilku krajach „bezbożnej” zachodniej Europy, a z umiarkowanym entuzjazmem w katolickiej Polsce.

**A.Z.:** W pańskiej twórczości wyczuwa się zainteresowanie kwestiami, które interesowały gnostyków i Świętego Augustyna.

**S.C.:** W dziennikach prowadzę refleksję, która mnie z Miłozsem o tyle łączy, że on też się bardzo interesował herezjami gnostycznymi, które zawsze mnie ciekawiły i to nie jako źródło religijnych doznań, lecz jako źródło pomysłów literackich. I napisałem osobną książkę poświęconą tej sprawie. Nosi ona tytuł *Samobójstwo i grzech istnienia*. Pamiętam, jak, kiedy ona ukazała się w księgarniach, zaatakował mnie jeden z polskich poetów: – Co to za niedorzeczność! Jak można mówić o jakimś grzechu istnienia! Mało on się orientował w myśli gnostycznej, więc nie bardzo się zdziwiłem jego reakcją. Idea „grzechu istnienia”, mająca swój początek w herezji manichejskiej, odgrywała wielką rolę w europejskim romantyzmie, począwszy od misterium biblijnego Byrona *Kain* i jego dramatu *Manfred*.

**A.Z.:** Odnoszę wrażenie, że te studia mogły powstać między innymi z inspiracji lekturą pism Czesława Miłozsa.

**S.C.:** Moja książka o „grzechu istnienia” mówi o linii gnostycznej w literaturze europejskiej. Ściślej: o doświadczeniu gnostycznym powiązanim z europejską ideą samobójstwa. Od polemik Świętego Augustyna z manichejczykami do samobójców Dostojewskiego – Kiryłowa i Stawrogina z *Biesów* i Terentiewa z *Idioty*. Więc ta sprawa mnie bardzo interesowała. I ona powraca we wszystkich moich powieściach, przede wszystkim w *Hanemannie*. No, ale *Hanemann* został przyjęty wedle sztancy krytyczno-literackiej „małych ojczyzn” z wiadomymi konsekwen-

cjami. I tylko Jerzy Jarzębski napisał o nim ważny esej pod tytułem *Hanemann i samobójcy*. Wszyscy pchali *Hanemanna* do „literatury korzennej”, chociaż samobójstwo Kleista i Witkacego stanowi jedno z ognisk znaczeniowych tej powieści. Potem było trochę inaczej. Przemysław Czapliński, Marek Zaleski, Dariusz Nowacki dostrzegli w mojej powieści różne rzeczy, które daleko wykraczały poza tematykę lokalno-gdańską.

**A.Z.:** Myślę, że gnostyczne źródła dają się wyczuć także w pańskiej powieści *Dolina Radości*.

**S.C.:** Z pewnością są to źródła teologiczno-gnostyczne, ale w istotny sposób przeze mnie przetworzone.

*Dolina Radości* to powieść o Synu, który mocno jest podobny do Diabła i zstępuje na Ziemię po to, żeby naprawić grzech Ojca. Jakież to grzech? A grzech stworzenia świata. Bo – i tu pojawiają się odniesienia do mitów gnostycznych – Ojciec stworzył świat nieudany. Podstawowym dowodem na to, że świat stworzony jest nieudany, są ludzkie twarze, w zdecydowanej większości dalekie od ideału. Syn, który mocno jest podobny do Diabła, występuje w kulturze także jako Antychryst, ale mój Antychryst ma dobre intencje, pojawia się w Gdańsku na początku XX wieku, chce pomagać ludziom i nazywa się Eryk Stamelmann. Gdyby akcja tej powieści toczyła się dzisiaj, pewnie zostałby wziętym chirurgiem plastycznym albo specem od inżynierii genetycznej, która też chce naprawić grzech Ojca, dążąc do stworzenia człowieka nieskończenie pięknego. Ale ponieważ akcja tej powieści dzieje się przed drugą wojną i po drugiej wojnie, Syn jest tylko wirtuozem makiażu, najlepszym na świecie Makijażystą, który potrafi poprawiać ludzkie twarze z niebывалым artystycznym talentem. Z jego usług korzystają aktorki i politycy, także ci najważniejsi, którzy trzęsą całym światem, bo oni też zaglądadają do lustra i bardzo im zależy na dobrym image’u, czyli poprawieniu dzieła stworzenia na samych sobie.

Cała powieść jest monologiem szlachetnego Diabła, który występuje przeciwko Ojcu, by naprawić błędy stworzenia, monologiem Syna, zbawionego Antychrysta, przynoszącego ludziom upragniony dar. Jest to powieść o jego wyczynach, równocześnie wpisująca w historię Eryka Stamelmanna refleksję o roli artysty

w naprawianiu „źle stworzonego świata”, z całą dwuznacznością tej misji w epoce brunatnego i czerwonego totalitaryzmu, bo Eryk przeżywa swoje przygody na wielkich przestrzeniach historii od Gdańska do Berlina, od Berlina do Moskwy, od Moskwy znowu do Gdańska, świadcząc swoje usługi jako makijażysta doskonały, który potrafi nadać ludzkim twarzom dowolny kształt. W pewnych punktach on przypomina Fiora ze *Ślubu* Gombrowicza, bo właściwie ma podobną misję. Nadaje ludziom formę, o której marzą, dużo lepszą niż ta stworzona przez Ojca. Więc napisałem powieść jako monolog Diabła, mocno podobnego do Syna, tak że trudno ich chwilami odróżnić, ale nikt z recenzentów nie wpadł na to, że to właśnie jest taki monolog. Ale co zrobić?

**A.Z.:** Jestem przekonany, że krytyka powróci do tych książek i odczyta je ponownie. Obawiam się jednak, że teologia nie jest najmocniejszą stroną polskiego katolicyzmu, zaś nasza literatura w minionym stuleciu nie zdołała stworzyć odpowiedniego języka. „Katolicka” powieść Jerzego Andrzejewskiego *Ład serca*, opublikowana krótko przed drugą wojną światową, była książką bardziej psychoanalityczną niż podejmującą kwestie teologiczne. Głównie Czesław Miłosz przez całe swe długie życie pracował usilnie nad znalezieniem dla zagadnień teologicznych takiej mowy, która byłaby odpowiednio pojemna, nie poezją zanadto, ani prozą.

**S.C.:** Istnieje coś takiego jak siatki pojęciowe świadomości literackiej czytelników i krytyki literackiej. Czytając, nakładamy je na czytane teksty. Te siatki składają się w różnych momentach historii z różnych dominujących pojęć kluczowych: „wielokulturowość”, „pogranicze kultur”, „literatura małych ojczyzn”, „ekologia”, „patriarchat”, „siostrzaność”, „aborcja”, „inność”, „wykluczenie”, „orientacja seksualna”, „transzycja”, „tolerancja”, „przemocowość”, „matka toksyczna”, „eutanzja”, „uchodźcy”. I jeśli czytana książka do siatki pasuje, to wiemy co o niej myśleć i pisać, bo mamy gotowy wzór odbioru. Natomiast jak książka przechodzi przez oko tej siatki i przelatuje na drugą stronę, bo nie mieści się w ramach żadnego z dominujących pojęć kluczowych, to nie bardzo wiemy, co o niej myśleć i pisać. I wtedy czasem przypadkowo dołączamy ją do jakiegoś zjawiska, które nam się akurat nasunęło. O moich książkach pisało wielu krytyków i historyków literatury, ale myślę, że ta linia refleksji filozoficzno-egzystencjalnej i teologicznej, o której teraz mówimy, została

dostrzeżona przez nich raczej w niewielkim stopniu. Niestety, w recepcji dominuje mój zniekształcony obraz pisarza jako specjalisty od spraw polsko-niemieckich. Ale to jest normalne, bo wszyscy pisarze mają podobne przygody, że jedynie jakiś aspekt ich twórczości jest rozpoznawany przez krytykę i czytelników, a nawet akcentowany i wyolbrzymiany. Inne pozostają w cieniu.

**A.Z.:** Tym bardziej warto będzie takie książki przeczytać, odczytać wnikliwiej. Mówi się, że pisarze i ich książki idą kilka kroków przed czytelnikami, co niekoniecznie satysfakcjonuje autorów. Jednak pamiętajmy, że literatura pozostaje najdoskonalszym narzędziem poznania człowieka. Łączy w sobie środki poznawcze wielu nauk, na przykład historii, psychologii, wiedzy socjologicznej, medycyny czy nauk przyrodniczych, lecz nie ma ich ograniczeń i dysponuje możliwościami ekspresji właściwymi sztuce. To szeroko pojęta literatura utrwaliła dzieje kultury, specyficznego dzieła ludzkości. Zatem czytanie też nie jest sztuką łatwą.

Obaj wiemy, że siatki pojęciowe, wspólne czytelnikom i krytykom, są niezbędne, jak mapy dróg, które jedynie pomagają w nawigacji; bez nich błędzilibyśmy niczym w labiryncie. Jednak schematy dróg wydrukowane na mapie czy wyświetlone na ekranie nie zastąpią rzeczywistej podróży, z jej nieskończoną realnością. Jedyne co można zrobić, to nieustannie doskonalić mapy, czynić je coraz dokładniejszymi. Obaj jesteśmy również naukowcami i wiemy, że bez odpowiedniej „mapy”, czyli metodologii, nie ma rezultatu.

**S.C.:** Istnieją książki wymagające od krytyków pewnego wykształcenia, które miał na przykład Miłosz. Dla osób, które takiego wykształcenia nie posiadają, znaczna część jego twórczości jest niezrozumiała. Ja przeczytałem – w części oczywiście, bo to są dwadzieścia dwa tomy – *De Civitate Dei* Świętego Augustyna, wspaniałe dzieło, które pozostaje fundamentem chrześcijańskiego świata do dzisiaj, a które powstało na gruncie radykalnej polemiki z gnozą manichejską. Nieznajomość tej gnozy powoduje, że masa chrześcijan nie wie po prostu, skąd się wzięło to, w co wierzą oraz jak i z czego to zostało skonstruowane. Pytania gnostyczne, na które odpowiadał Święty Augustyn, były dla mnie zawsze bardzo ważne – o naturę świata, pojęcia dobra i zła czy obraz Boga, tak jak on występuje w katolicyzmie, w protestantyzmie, prawosławiu czy sektach gnostycznych między I a III wiekiem

po Chrystusie. Miałem nawet wykłady na uniwersytecie na ten temat w kontekście polskiego i niemieckiego romantyzmu. I to jest także w moich powieściach.

**A.Z.:** Wykłady dla humanistów, na polonistyce?

**S.C.:** Tak, na polonistyce. Jako fakultet. Miałem te wykłady w czasie, kiedy pisałem między innymi *Hanemanna*. Kto wie, może kiedyś powstanie praca badająca relacje między moją twórczością naukową i literacką, bo działy tu się różne rzeczy ciekawe, z których nie do końca sobie zdawałem sprawę. O gnostycznej stronie romantyzmu, o której mówiłem moim studentom, próbowała mówić też Maria Janion, ale to nie była główna sprawa, która ją interesowała. Gnostyczna strona Słowackiego na przykład. Późne pisma mistyczne. *Genesis z Ducha*. To wszystko jest mało znane. I trudne do odczytania. Ale znowu mówię, to nie są żadne moje pretensje, bo niby dlaczego wszyscy mieliby czytać i znać to, co ja przeczytałem? Czytanie – czy krytyczne, czy potoczne – jest przecież aktem wolności. Czytelnik ma prawo odnajdywać w tekstach, które czyta, to, co współgra z jego zainteresowaniami czy skłonnościami, a pozostałych treści nie dostrzegać. Nie ma takiej możliwości, żebyśmy mogli połączyć czytane dzieła w całości. Zawsze jakaś reszta zostanie.

**A.Z.:** I to niemała. Na szczęście lubimy wracać do wybranych lektur czytanych już wcześniej, jak też sięgać po dotąd nieznaną. W dawnych odkrywamy niedostrzeżone wcześniej treści i znaczenia, we wszystkich podziwiamy doskonałość zdań, obrazów i myśli.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Przygotowała i opracowała Krystyna Chwin

## GRZEGORZ WRÓBLEWSKI

### Kominy

Nie malowałem kominów ale i tak przestałem rosnąć i dowiedziałem się że jestem istotą śmiertelną taką samą jak larsen któremu zainstalowano tekturowe lakierki i zamiast ciepłych wysp trafił do pieca on też nie malował kominów i się nie rozmnożył nie spełnił podstawowej funkcji metabolizm wymaga aktywności nie można zagryzać mgły widokiem bezmyślnego morza słona woda szybko doprowadza do firmy instalującej tekturowe lakierki życie podobno nie malowałem kominów nie jest proste a jednak jest zbyt proste i łatwe do przewidzenia nawet jak się nie rozmnożyłem metabolizm daje ciągle o sobie znać dowiedziałem się że jestem istotą śmiertelną

### Płyta

Wymiana energii dziedziczenie cech ktoś pomylił mnie z moim ojcem który zmarł sześćdziesiąt dwa lata temu ale co znaczą te szybko upływające sezony z ojcem nie mam żadnej łączności astralnej był i go nie ma płyta z nieczytelnym nazwiskiem i kilka fotografii trzeba posmarować pracownikowi cementarza bardzo możliwe że jestem jego kopia ale nic to nie zmienia nie mam z nim żadnej łączności astralnej

## Próżnia

Owoce warzywa mięso świni hodowlanej lub dzikiej  
wszystko to spowodowało  
że rozróżniam nadal kolory i wydaje mi się że posiadam  
palce język paznokcie  
tymczasem  
komputer replikuje programy i rozwija się nieustannie  
(przewaga substancji martwych)  
nie potrafię teleportować się  
do czasu kiedy mnie tutaj nie było  
do krainy próżni  
absolutnej

## Kwiaty

W ogóle mnie nie inspirują.  
Podobnie jak zachody słońca.

Muszę z tym uważać.

Kwiaty o zachodzie słońca są  
niezbędną dekoracją poetów.

Grzyby muszą być natomiast  
halucynogenne.

ANDRZEJ SZUBA

## Postscripta

POSTSCRIPTUM MLXVI

niepodobna wyczytać  
z pustki niczego  
prócz ciebie

POSTSCRIPTUM MLXVII

kamień zna swoje miejsce  
podobnie szkło i metal  
a ty jesteś nadmierny

POSTSCRIPTUM MLXVIII

oczyścić ranę po tobie  
zajodynować opatrzyć  
zechce to się zablizni

POSTSCRIPTUM MLXIX

to jak wysnuć  
nadzieję ze śladów  
których nie zostawiasz

POSTSCRIPTUM MLXX

spotkanie słów  
bez znaczenia  
ledwie schadzka liter

POSTSCRIPTUM MLXXI

a ciebie i nicość  
opisać jednym  
nieistniejącym słowem

POSTSCRIPTUM MLXXII

z nadzieją  
że z otchłani  
uczyni przytulisko

POSTSCRIPTUM MLXXIII

gdy wyrzekną się ciebie  
przegniły czas  
i wysłużona przestrzeń

POSTSCRIPTUM MLXXIV

już ciszej krzyżeć  
nie można munch  
nie można głośniej

POSTSCRIPTUM MLXXV

ciszą  
kwitujesz zjadłość  
naszych pytań

POSTSCRIPTUM MLXXVI

pejzaż z bruegłem  
z armią wpadających  
do dniesu i karów

POSTSCRIPTUM MLXXVII

znaleźć tę jedną  
rzecz czy pojęcie  
co nie wymyka się słowu

POSTSCRIPTUM MLXXVIII

i być jak ten  
co wżuty z siebie  
jest na przekór

POSTSCRIPTUM MLXXIX

odarty z naszych słów  
nut rytuałów  
wreszcie nieukryty

JACEK GUTOROW

## Nad brzegami Acheronu

*Wydrążonym ludziom* T.S. Eliota (*The Hollow Men*, 1925) nie poświęca się tyle uwagi co *Ziemi jałowej* czy *Czterem kwartetom*. Można to wytłumaczyć. W porównaniu z tymi dwoma olśniewającymi poematami *Wydrążeni* to literacki drobiazg, coś w rodzaju próby głosu bądź ćwiczenia utemperowanej wyobraźni. W sumie pięć krótkich wierszy krążących wokół tych samych bądź podobnych obrazów, porównań i metafor. Badacze zajmujący się twórczością Eliota nigdy ich w swych omówieniach nie pomijają. Wręcz przeciwnie, dostrzegają w *Wydrążonych* istotną część dorobku poety. Najczęściej jednak widzą w poemacie z 1925 roku utwór przejściowy – ważny, ale ważny raczej w kontekście wcześniejszych lub późniejszych tekstów poety niż jako samodzielna wypowiedź artysty. Co można uznać za paradoks, trudno bowiem o poezję bardziej wsobną i hermetycznie zamkniętą przed czytelnikiem.

Czy *Wydrążeni* stanowią epilog albo kodę *Ziemi jałowej*? Taką tezę stawia wielu krytyków, takie wrażenie może też odnieść czytelnik śledzący twórczość Eliota. Miejmy na uwadze, że pierwsze fragmenty nowego poematu pisane były bezpośrednio po skończeniu *Ziemi*. Oba utwory przenika ta sama atmosfera schyłkowości, niemożności, beznadziei i pustki. W obu na plan pierwszy wysuwa się doświadczenie śmierci i jej wymiar egzystencjalny. Dominuje poetyka snu, koszmarniej halucynacji, zastanawiają nawroty pewnych metafor i porównań (na przykład obraz szczurzych łapek). Oba poematy kończą się na ciemnej nucie niemożności i aporii, tak jakby poeta nie był w stanie wyjść poza zaklęty krąg własnej jaźni – jaźni, dodajmy, pogrążającej się w stanie coraz głębszej, coraz wyraźniej odczuwanej dezintegracji. Dramatowi obumierania „ja” towarzyszy wizja radykalnego kryzysu cywilizacji i końca świata. W *Ziemi jałowej* obrazują ją symbole religijne, przede wszystkim starotestamentowe. W *Wydrążonych* pojawia się też, obok czytelnej i coraz ważniejszej wtedy dla Eliota ikonografii chrześcijańskiej, tonacja intymnego (tłumionego) krzyku. Myślę choćby o pamiętnych słowach zamykają-

cych poemat: „tak się właśnie kończy świat / Nie hukiem ale skomleniem” (przełożył Czesław Miłosz). Ten prawdopodobnie najsłynniejszy fragment *Wydrążonych* napisany został na samym końcu, jako *postscriptum* do czterech wcześniejszych części. Kto wie, może także jako spóźnione *postscriptum* do *Ziemi jałowej*?

Ale *Wydrążonych ludzi* można też interpretować inaczej – jako zapowiedź bądź początek nowego etapu w twórczości Eliota. Jesienią 1922 roku poeta pisał w liście do Richarda Aldingtona: „*Ziemia jałowa* to dla mnie przeszłość, w tej chwili dążę do nowej formy i stylu”. To ważny trop. Mamy do czynienia z poematami napisanymi w podobnym czasie, lecz innym stylem i inną manierą. Odmienny jest przede wszystkim puls wersu i zdania. Charakterystyczną cechą formalną *Wydrążonych* jest poetycki minimalizm opierający się na pojedynczych frazach, z dużą ilością światła na stronie, z akcentem padającym na pojedyncze słowa i zbitki słów. Niejednoznaczności sensów nie są efektem spiętrzenia obrazów i aluzji, jak w *Ziemi*, lecz przeciwnie, wynikają z rozrzedzenia języka i ascetyzmu formy. Prawie nic nie zostaje dopowiedziane do końca, mamy jedynie ułamki znaczeń, przygaszone łuny pogłosów i ciężką masę przemilczeń. A także liczne powtórzenia i przetworzenia. Niby tak samo jak w *Ziemi jałowej* – ale jednak inaczej. Na przykład od razu dostrzegamy hipnotyczny rytm poszczególnych zdań i zwrotek. Poczawszy od *Wydrążonych* (maniera będzie się stale pogłębiała) język poety coraz bardziej przypomina litanię bądź inkantację. Czy też raczej modlitwę. Ściszoną i ściśniętą – lecz tym bardziej poruszającą. Warto zauważyć, w jak mistrzowski sposób Eliot operuje niuansami, półtonami i drobnymi, czasami ledwie zauważalnymi przesunięciami sensów. Kolejne wersy i zdania zaczynają kręcić się wokół siebie, potęgując wrażenie klaustrofobii, paraliżu woli, a nawet katatonii (której widmo wyczuwalne jest w *Ziemi jałowej*). Znakomitym pomysłem Miłosza było oddanie angielskiego określenia *stuffed men* (oznaczającego „wypchniętych ludzi”) frazą „chochołowi ludzie”, jakże sugestywnie rozbrzmiewającą w uchu polskiego czytelnika. Wydrążeni ludzie tańczą – jest to jednak taniec w zaczarowanym kręgu, z którego nie ma wyjścia.

Uwagę zwraca również wyraźniejsza niż we wcześniejszych utworach obecność Dantego. Nie tylko pod postacią cytatów, dosłownych i przybliżonych, ale również – a może przede wszystkim – na poziomie wyobraźni i wrażliwości. *Wydrążonych ludzi* można bez większej przesady określić mianem poematu dantejskiego. Zresztą autor *Boskiej komedii* był zawsze ukochanym poetą Eliota. Dantejski wy-

miar ma przede wszystkim „podróż” narratora od przedpiekła (nad brzegami Acheronu) w stronę *Paradiso*. Cudzysłów jest chyba potrzebny, gdyż mówimy o podróży w wyobraźni – dotyczy to zwłaszcza raju, który dla indywidualnego i zbiorowego narratora *Wydrążonych* jest, by tak rzec, horyzontem przyszłych wydarzeń, owym „innym Królestwem” (*other Kingdom*), objawiającym się chochołowym ludziom jedynie we śnie i w momencie śmierci.

Dwie sceny są szczególnie znaczące. Najpierw opis anonimowych ludzi zagubionych na brzegu rzeki. Przed naszymi oczami rozciąga się brzeg Acheronu:

W tym ostatnim miejscu spotkania

Szukamy się po omacku

I słów unikając

Stajemy w piasku nad rzeką obrzmiałą

(przełożył Andrzej Piotrowski)

Jest też wizja rajsco-światlista. Chodzi o wspaniały obraz „Gwiazdy nieustającej / Wielolistnej róży” (przełożył Czesław Miłosz). Opis róży – powróci on pod koniec *Czterech kwartetów* jako symbol mistycznego zespolenia – odsyła nas do XXXI pieśni *Paradiso* („Stopień po stopniu wchodzili anieli / W głąb Róży...”, przełożył Edward Porębowicz). To jedyny w *Wydrążonych* jasny akcent. Jedyna nadzieja i nadzieja tylko (*the hope only*). Nadziei tej nie odnajdujemy zresztą w ostatnim, piątym fragmencie *Wydrążonych*. A jeśli jest, to przesłonięta gęstym, nieprzeniknionym mrokiem.

Podobno kiedy zapytano Eliota, czy odczuwa lęk przed śmiercią, odpowiedział, że zdecydowanie bardziej boi się tego, co po śmierci. Myślę, że wypowiedź ta rzuca dodatkowe światło na cokolwiek tajemniczy, a w moim odczuciu arcyważny w tekście *Wydrążonych* wers z drugiej części: *Eyes I dare not meet in dreams* (w przekładzie Adama Pomorskiego: „W oczy nie śmiem spojrzeć w snach”). Pamiętajmy, że „senne królestwo” bądź „królestwo snu” to sfera doświadczenia śmierci. Oczy, o których wspomina narrator poematu, wydają się spoglądać z drugiego brzegu Acheronu – a więc z dantejskich zaświatów. To również oczy, które osądzają. Doświadczenie śmierci to u Eliota możliwość nowego spojrzenia, lecz zarazem przekleństwo związane z tym, że możemy być – jesteśmy – wydani na spojrzenia zmarłych. To dru-

gie nawet bardziej niż to pierwsze, bowiem *Wydrążeni* traktują w gruncie rzeczy o ludzkiej ślepcie w obliczu życia i śmierci („Na oślepek szukamy [...]. Na zawsze niewidomi”, przełożył Czesław Miłosz). Wszystko zasadza się u poety na dramacie paraliżu woli, która wydaje się zahipnotyzowana, zamroczona, jakby na stałe pogrążona we śnie: „Kształty bez formy, cienie bez barwy / Siła odjęta, gesty bez ruchu” (przełożył Czesław Miłosz). Stanu tego nie przełamuje nawet śmierć. Stąd lęk poety, który niczym Hamlet (w słynnym monologu z trzeciego aktu) miota się pomiędzy rozpaczą życia i wielką niewiadomą „życia po życiu”. A nawet nie tyle miota się, co tkwi bez ruchu, w stanie psychicznego, duchowego paraliżu.

O tej aporii ducha, tej ślepej uliczce świadomości, próbuje opowiedzieć nam część piąta. To bodaj najtrudniejszy do zinterpretowania fragment poematu (choć i wcześniejsze części nie poddają się łatwo krytycznej lekturze). Dominujący w nim obraz Cienia padającego pomiędzy rzeczywistość i myśl, między słowa i rzeczy, nie jest chyba dla czytelnika współczesnej poezji nazbyt zaskakujący. Wszak duża część literatury modernistycznej i późniejszej traktuje właśnie o radykalnym rozstępie pomiędzy światem i usiłującym go nazwać językiem. U nas o dramacie tym pisali Wirpsza, Karpowicz, Miłobędzka, później zaś mistrz dekonstruktywnej ironii – Andrzej Sosnowski. To dramat niemocy sensu. Eliot wielokrotnie podejmował go w swoich poematach, również w *Czterech kwartetach*, które na pewnym poziomie można interpretować jako proces wytoczony językowi poezji. Ale w piątej części *Wydrążonych* oprócz retoryki aporetycznej pojawiają się także słowa wzięte z katolickiej liturgii mszalnej („Bo Twoje jest Królestwo”). Składają się one na drugi, najwyraźniej afirmatywny refren końcowej partii poematu (pierwszy refren to fraza o padającym Cieniu). Zaskakujący, nie dla wszystkich czytelny kontrpunkt. Z jednej strony tragedia bezsiły i bezsensu, z drugiej fragment modlitwy. Jaki czytelnik jest w stanie pogodzić te sprzeczne tropy? Wieloznaczna koda *Wydrążonych* niczego właściwie nie zamyka i nie rozwiązuje. Końcówka tekstu pozostawia nas w stanie zawieszenia, tak jakby rozplątały się nitki poematu i zostały niewiele znaczące słowa. Przypomnijmy zresztą, że ostatnie słowo padające w tekście to właściwie nie słowo, tylko jego parodia – dźwięk skomlenia, cichy pisk (w ten sposób słowo *whimper* tłumaczy Adam Pomorski). Eliot zamyka *Wydrążonych ludzi* przerażającym, trochę nawet nieludzkim krzykiem, z którym nie wiemy co zrobić. „Tak się kończy świat”.

\*

Po raz pierwszy *Wydrżonych ludzi* przeczytałem na pierwszym roku studiów. Poznawałem równolegle oryginał i przekład Miłosza. Poemat zrobił na mnie duże wrażenie. Z czytanej trochę wcześniej *Ziemi jałowej* rozumiałem wtedy niewiele, ale chłonałem oszałamiające bogactwo dziwnych obrazów i metafor. Z *Wydrżonymi* było inaczej. Poemat o pustych, próżnych ludziach poruszających się w zaklętym kręgu wydawał mi się z początku nazbyt monotony, nieco przypadkowy, właściwie nijaki. Okazało się jednak, że utkwiał mi w głowie, i to mocno. Pewne motywy i zbitki słów nie raz przypominały o sobie. Uparcie drążyły wyobraźnię i wrażliwość. Pamiętajmy o rytmie i śpiewności tego poematu, jego melodiach jak z katarynki wplecionych w monolog wypowiedziany szeptem. Ten śpiewny szept miał w sobie coś nieubłaganego, a nawet makabrycznego. Frazy i kadencje rozbrzmiewały we mnie zagadkowym, trochę osobliwym głosem. Niby obcym, a jednocześnie moim własnym. Niepokojący przypadek internalizacji bądź introjkcji? A może zawłaszczenia? Uzależnienia? Niewątpliwie. Jeżeli *Ziemia jałowa* była utworem wizyjnym, to *Wydrżonych* chętnie zaliczyłbym do literatury halucynogennej. Hipnotycznej i nabierającej intensywności wraz z kolejnymi lekturami.

Eliotowi udało się wyrazić kilka intymnych doświadczeń, których zazwyczaj nawet nie zauważamy. Intuicyjnie zdajemy sobie z nich sprawę, ale gdzieś na dalszym, bardziej mglistym i niejednoznacznym poziomie egzystencji. Tak w każdym razie było z moim czytaniem *Wydrżonych*. Poeta mówił o czymś, co było mi obce, ale i bliskie. Bardzo obce i bardzo bliskie. To bynajmniej nie paradoks: często nie zauważamy tego, co dotyka nas bezpośrednio, co jest może częścią bądź przejawem naszego głębokiego, uśpionego, nierozpoznanego ja. W tym sensie *Wydrżeni* to spore wyzwanie dla czytelnika – nie tylko ze względu na hermetyzm kolejnych części poematu (choć to też), co z uwagi na oczekiwania, jakie poeta nam stawia. A są one wysokie: Eliot chce, abyśmy za nim podążali i wraz z nim napotkali spojrzenie śmierci. Inna sprawa, że cała sekwencja przepełniona jest poczuciem wielkiej samotności – metafizycznej, ale i tej bardziej przyziemnej, związanej z codzienną egzystencją. Mówią o tym poruszające i piękne fragmenty trzeciej części poematu:

budzimy się zupełnie sami  
W godzinie kiedy wszystko w nas  
Jest czułością i czystymi łzami  
Usta chcą pocałunku  
A modlą się do złamanego kamienia.

(przełożył Czesław Miłosz)

Nie dajmy się zwieść użytej tu przez poetę liczbie mnogiej. Eliot nigdy nie był piewcą czy rzecznikiem wspólnoty (podobnie zresztą jak inni pisarze kojarzeni z tradycją anglosaskiego modernizmu; wyjątki potwierdzają regułę). Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że pojęcia wspólnoty i wspólnotowości były mu z gruntu obce. Pojawiające się u niego grupy ludzi to zazwyczaj bezosobowi mieszkańcy wielkich miast, tłumy zmarłych bądź przypadkowe masy samotnych ludzi nieznajdujących wspólnego języka. Nie inaczej jest w *Wydrążonych*. Słyszalny od pierwszych linijek głos zbiorowy jest iluzją kryjącą dramat pogrążonych w samotności jednostek. Wydrążonych ludzi charakteryzuje to właśnie, że nie potrafią stworzyć ani nawet wyobrazić sobie autentycznej (organiczej, żywej) wspólnoty. Wydrążeni tworzą pozorną wspólnotę przemawiającą do nas w trybie anonimowego, cokolwiek bezmyślnego *unisono*: „Głowy napełnia nam słoma / Nie znaczy nic nasza mowa” (przełożył Czesław Miłosz). Brzmi znajomo? Jak najbardziej. Eliot trafił swoim poematem w nerw naszej nowoczesności, która foruje indywidualność, nierzadko z interesującymi efektami, nie potrafi jednak poza nią wyjść.

Warto wreszcie zwrócić uwagę na podstawowy paradoks *Wydrążonych ludzi*. Po latach okazało się, że ten bodaj najbardziej ponury z utworów Eliota wyznaczał w twórczości i w życiu poety moment przesilenia i stanowił pozytywną cezurę, zapowiadającą bądź nawet znaczącą przełom psychiczny i duchowy. Powtórzmy: *Wydrążeni* są poematem depresyjnym i klaustrofobicznym, wyrażającym niemoc przekroczenia siebie i rozpacz zamknięcia w rzeczywistości. Zarazem jest to tekst, który w swoim surowym minimalizmie stawia czytelnika na granicy sensu, w miejscu, z którego nie ma już odwrotu, które zmusza nas do porzucenia dotychczasowego życia i zrobienia kroku ku nieznanemu. Mówiąc jeszcze inaczej, *Wydrążeni* opisują proces dochodzenia do kresu wszystkiego, czym żyliśmy i w co wierzyliśmy. Ma się wrażenie, że przez poemat przepływa czarna rzeka zapomnienia. Lecz

jej nurt jest także nurtem oczyszczenia. Można to ująć jeszcze inaczej: *Wydrążeni* są poetyckim zapisem niewypowiedzianego – bo niewyraźnego – doświadczenia duchowego.

Eliota interesowały przeróżne tradycje mistyczne, od tych kojarzonych z duchowością Dalekiego Wschodu (kilka sugestywnych śladów odnajdziemy w *Ziemi jałowej*), przez wątki znane z pism sufickich (pod ich silnym wpływem pozostawał też Dante), aż po motywy i obrazy zaczerpnięte z tekstów mistyków i mistyczek chrześcijańskich (a w każdym razie korzystających z języka symboli i dogmatów chrześcijańskich), takich choćby jak Mistrz Eckhart, Marguerite Porete czy Święty Jan od Krzyża. Prawdą jest, że świat *Wydrążonych* to świat pustki, nicości i coraz bardziej dojmującej beznaczeniowości. Sensy ulegają przenicowaniu i wyczerpaniu, czujemy to w trakcie lektury. Ale dzięki takiemu ogołoceniu możemy otworzyć się na to, co nie jest nami. Pustynia to miejsce widm i zjaw, ale to również przestrzeń czystego światła.

Można chyba w *Wydrążonych ludziach* widzieć dokument samoświadomości osiągniętej przez Eliota na chwilę przed konwersją religijną. Taka jest w każdym razie moja, zapewne nie dla wszystkich oczywista czy przekonująca, interpretacja tego utworu. Samoświadomość przybiera u amerykańskiego poety formę przebłysków i intuicji, nie zaś wiedzy o charakterze spekulatywnym bądź rozumowym. Poezja, podobnie jak mistyka, odnajduje swój żywioł i swoją siłę w języku ciszy, przemawiającym do nas bez słów. Odnajduje również swój główny temat, zarazem dramatyczny i piękny: przekroczenie samego siebie. Najpierw trzeba jednak wkroczyć w królestwo snu, zapomnienia i śmierci. O tym moim zdaniem opowiada poemat Eliota.

## MAŁGORZATA SOKORSKA

### Mgła w Londynie. Mgła w Warszawie

4 stycznia 2025 minęło sześćdziesiąt lat od śmierci Thomasa Stearnsa Eliota. W dniu 5 stycznia 1965 w zamglonym Londynie mój Ojciec Krzysztof Boczkowski otworzył „Timesa” i przeczytał: „4 stycznia 1965 roku w swoim domu w Kensington THOMAS STEARNS ELIOT O.M. ukochany mąż Valerie. Proszę nie składać kwiatów – ewentualnie dary na Fundację Carlyle’a Biblioteki Londyńskiej lub na szpital w Brompton. Pogrzeb w gronie najbliższych. Termin mszy żałobnej zostanie wkrótce podany”.

Valerie nie powtórzyła treści nekrologów, o których napisał T.S. Eliot: „Przez to i tylko przez to trwaliliśmy wśród żywych, czego nie znajdują w naszych nekrologach”.

Zastanawiam się, czy to ten nekrolog napisany przez Valerie nie zapisał się w podświadomości Ojca i nie sprawił, że po wielu latach od jego przeczytania rozpoczął prace nad tymi przekładami.

Kim dla niego był Eliot? Myślę, że kimś bliskim we wspólnocie myśli. Ta poezja uzupełniała jego świat, nadawała mu nowy sens. Może szukał w niej metafizyki i wiary? – zostanie to tajemnicą. Tom z przekładami Eliota nazwał *Szepty nieśmiertelności*.

W pierwszych dniach stycznia 2018 roku jechałam z Ojcem na spotkanie w Muzeum Literatury. Na Krakowskim Przedmieściu mgła zakrywała kościoły, był mróz bez śniegu, zupełnie szaro. Ojciec poprosił taksówkarza, żeby podjechał pod same drzwi, chodził już słabo.

Opowiadał o miłości Valerie do Eliota. Wbrew stereotypom, młodsza od niego o trzydzieści osiem lat Valerie zakochała się w nim. Ojciec miał głęboki, łagodny głos, ale sposób, w jaki opowiadał, prowokował, wymuszał inne myślenie o tym, czym może być miłość. Życie Eliota pomagało mu w tym.

Kiedy to mówił, wywoływał zaniepokojenie: do poukładanego świata wprowadzał chaos nowej myśli. Umiał oddzielać zakłamanie od prawdy, poruszał ukryte emocje. Czy nie podobnie jest w poezji Eliota?

Kto z nas może znieść zbyt dużo prawdy? Prawie nikt.

Idźcie już, idźcie, mówił ptak: rodzaj ludzki  
Rzeczywistości nazbyt wiele znieść nie może  
(*Burnt Norton*)

10 stycznia w kościele Świętego Barnaby o 6.15 rano Valerie i Thomas wzięli ślub. Nic o tym nie wiedziały wieloletnie przyjaciółki poety ani John Hayward, z którym mieszkał.

Słońce przebiło się przez mgłę i rozświetliło Rynek Starego Miasta. Mrużyliśmy oczy. Podjechała taksówka. W końcu po wielu latach, w czasie których widziałam jego wielki trud pracy nad przekładami Eliota, po raz pierwszy powiedziałam, że piękny jest ten jego Eliot.

To był ostatni raz, kiedy słyszałam, jak czytał swoje przekłady – to jego ostatnie spotkanie z czytelniczkami i czytelnikami. Zapamiętałam bardzo dobrze każdy gest, każde słowo. Niektóre chwile zostają w pamięci, chociaż nie wiemy, że będą ważne, to pamięć je rejestruje.

Przygotował siedem wersji przekładów poezji Eliota i doprowadził do wydania siedmiu tomów pod niezmiennym tytułem *Szepty nieśmiertelności*.

W dedykacji, w pierwszym wydaniu napisał: „Droga Małgosiu / Jest to 30 lat mojej pracy / Całuję Ciebie i całą / Rodzinę / Krzysztof”.

W wydaniu piątym, zmienianym i rozszerzonym: „Kochanej Rodzinie / Tata i dziadek / Patrz strona 281”.

Strona dwieście osiemdziesiąta pierwsza:

„Warstwa dźwiękowa poezji Eliota jest bardzo bogata – z wyjątkiem utworów, które określam jako »poematy ascetyczne«: *Ludzi wydrążonych* i *Środy popielcowej*. W pozostałych poematach operuje Eliot pełną skalą dźwięków języka angielskiego i trudno byłoby określić głoski, które szczególnie wyróżnia. Ciekawe jest tutaj porównanie z poezją Mickiewicza i Miłosa, opartą na samogłoskach otwartych a i o, co daje poezji szeroką frazę dźwiękową, naturalność i jasność dźwięków w pełni zgodną z fonetyką języka polskiego. W odróżnieniu od nich barwa dźwiękowa poezji Słowackiego jest bardziej niezwykła i opiera się głównie na spółgłoskach szczelinowych s oraz f, która weszła później do języka polskiego i jest trudniejsza do wymówienia. Na przykład mój wnuk, nie umiejąc powiedzieć do ojca Fi-lip,

mówił Bi-pip, zamieniając f na b i dodając – łatwe do wymówienia – pip, patrz:  
K. Dickens, *Wielkie nadzieje*”.

W dedykacji w przekładzie *Jałowej krainy*:

Małgorzacie  
Wszystko co chciałem Tobie  
powiedzieć  
powiedziałem już dawno mój Telemaku  
moja Oliwio, mój Gilu  
i teraz kiedy piszę ostatnie zdania przekładu  
– jak człowiek, który kończy dzień –  
nie pamiętam kamiennych krzesel,  
liści, glinianych dzbanów,  
tylko chłód wieczoru  
idący od lasu –  
ciemniejącego ogniska  
z dogasającymi polanami słońca,  
i chciałbym dać Tobie nie słowa,  
lecz tamten wieczór leżący cieniami  
na szafie i półkach,  
gdy w otwartym oknie  
czytałem pierwszy raz –  
a wiatr przewracał we mnie  
stronę za stroną.

Gołąb, pikując, tnie powietrze

Eliot zmarł w swoim domu pod namiotem tlenowym, z powodu astmy, na którą chorował wiele lat. Valerie trzymała go za rękę.

W czasie mszy żałobnej zgodnie z jego wolą zabrzmiała część czwarta kwartetu *Little Gidding*, do której muzykę skomponował Igor Strawiński.

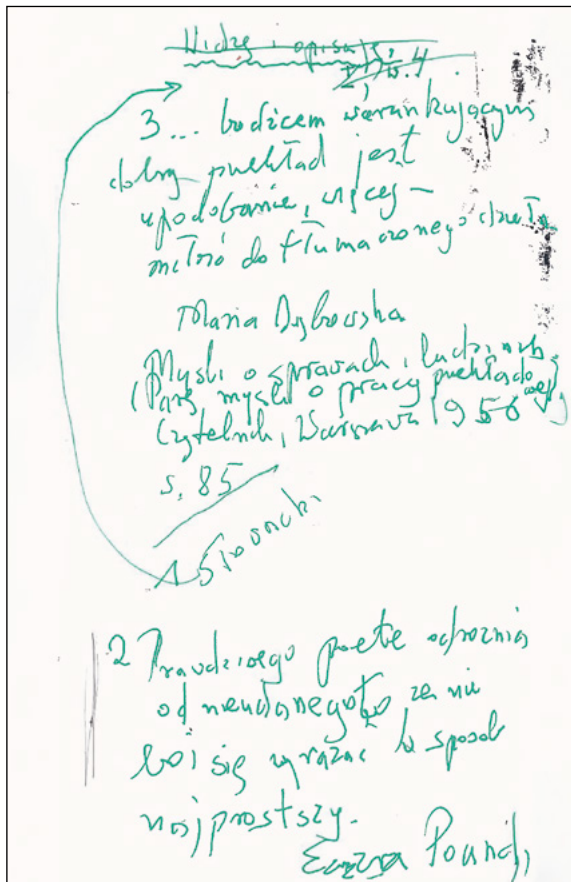
Gołąb pikując tnie powietrze  
Płomieniem rozżarzonej trwogi,



## Prawdziwy poeta. Dojrzały poeta

Notatka z cytatem Ezry Pounda, po lewej stronie kartki, która rozpoczyna *Wprowadzenie* do części książki pod tytułem *Poezje i komentarze: „Prawdziwego poetę odróżnia od nieudanego to, że nie boi się wyrażać w sposób najprostsz”* – ten cytat został dodany do *Szeptów nieśmiertelności*, na początku. Kiedy go czytam, przypomina mi się fragment *Dzienników* Witolda Gombrowicza: „Literaturze, zmiękczonej nieustannie przez rozmaite pocziwe ciotki, fabrykujące powieści lub felietony, przez dostarczycieli pośledniej prozy i poezji, przez mięczaków obdarzonych łatwością słowa, literaturze grozi niebezpieczeństwo, iż stanie się jajkiem na miękko, zamiast być – co jest jej powołaniem – jajkiem na twardo”.

Wprowadzenie:



„Świata nie da się odepchnąć skuteczniej, jak tylko za sprawą sztuki – i nic skuteczniej z nim nie wiąże jak sztuka”. Johann Wolfgang Goethe, *Zmyślenie i prawda*.

„Geniusz jest egoistą. Kiedy w środku bucha jasny płomień, wszędzie wokoło padają wielkie cienie”. Manley Hopkins, „The Times”, 26 grudnia 1848 roku.

„Prawdziwego poetę odróżnia od nieudanego to, że nie boi się wyrażać w sposób najprostszy”. Ezra Pound, *The spirit of romance*, 1910.

„Potrzebuję ładu, bo jestem burzycielem, doprawdy uważam się za burzyciela i aby móc burzyć, muszę mieć bardzo sztywny porządek”. Federico Fellini, *O filmie*.

### Fenicjanin Flebas

Najpierw był piękny i smukły, a potem smukły i piękny. Zastanawiałam się, dlaczego. Odpowiedź znalazłam na kilku kartkach, które wpadły mi do ręki, gdy po raz kolejny usiadłam przy biurku w moim dawnym dziecięcym pokoju, żeby odczytać znalezione kartki z notatkami Ojca.

Od śmierci Ojca minęło sześć lat. Pokój ten nadal jest zajęty przez niego i Eliota i ukrywa wiele tajemnic. Na półkach i w szufladach znajdują teczki z zapiskami, notatkami, fragmentami wierszy. I tam właśnie spokojnie na swój czas czekał Flebas.

Wiele lat temu przeniósł się z Eliotem do mojego dawnego dziecięcego pokoju. Na pomazanym biurku, na którym rozwiązywałam zniecierpliwione zadania z matematyki, leżały kartki z próbami przekładów, ogromną ilością skreśleń i dopisanych zdań, także zbiory wierszy Eliota; pisał na białych kartkach dobrze zatemperowanym ołówkiem.

Kładł się na nich kot, teraz jego, wcześniej mój. Koty przyzwyczajają się do swoich miejsc. Szczególnie lubią kartki położone jedna na drugą. Dobrze zrobiłam, że go nie zabrałam ze sobą. Kot miał ogromną przyjemność z Eliota. Przeszkadzał Ojcu, a on cierpliwie czekał, aż zejdzie. A jeszcze tak niedawno Ojciec czytał mi w tym pokoju wiersze Eliota o kotach, o Ramtamtamku i kocie wagonów sypialnych.

A oto odpowiedź zapisana na jednej ze znalezionych kartek, dlaczego Flebas w końcu pozostał smukły i piękny, a nie piękny i smukły:

„Również kwestia siły i rozłożenia akcentów ma duże znaczenie w poezji, a więc i w jej przekładzie. Na dowód tego przytoczę tłumaczenie dwóch wersów z *Ziemi jałowej*. Pierwszy z nich to wers 321: »Consider Phlebas, who was once handsome and tall as you«. Wers ten pierwotnie przełożyłam: Rozważ: Flebas był niegdyś piękny i smukły jak ty. Zgodnie z akceptowanymi w lingwistyce zachodniej za sądami Ot-

Również kwestia siły i rozłożenia  
 znaczenie w poezji, a więc i w jej przekładzie. Na  
 dowód tego przykład pryncypialny tłumaczenie dwóch wierszy  
 z Ziemi jałowej. Pierwszy z nich to wers 321:

Consider Phlebas, who was once handsome and tall as you

Wers ten pierwotnie przetłumaczyłem:

P. XI. Rozważ: Flebas był niegdyś piękny i smukły jak ty.

Zgodnie z akceptowanymi w lingwistyce  
 zachodniej zasadami Ottona Jaspersena (patrz  
The Structure of Verse, ed. H. Gross, The Ecco  
 Press, New York 1966, s. 105), system stóp  
 antycznych – dłuższych i krótszych sylab – jest  
 nieaktualny od wielu stuleci i zastąpił go  
 układ akcentów, przy czym siła danego akcentu  
 jest w głównej mierze uwarunkowana siłą akcentów  
 sąsiadnych: tzn. po słabym następuje silny i na  
 odwrót, przy czym im słabszy jest akcent  
 (dla ugody drukarskiej dającym zielony kolor akcentów)

tona Jaspersena (zob. *The Structure of Verse*, ed. H. Gross, The Ecco Press, New York 1966, s. 105), system stóp antycznych – dłuższych i krótszych sylab – jest nieaktualny od wielu stuleci i zastąpił go układ akcentów, przy czym siła danego akcentu jest w głównej mierze uwarunkowana siłą akcentów sąsiadnych: tzn. po słabym następuje silny i na odwrót; jednocześnie im słabszy jest akcent poprzedzający – lub gdy jest takich akcentów kilka – tym silniejszy jest akcent następujący. Dla uproszczenia wyodrębniam tylko trzy typy akcentów: silny: |, średni: / i słaby: -. Warto pamiętać, że również pojedyncze słowa z natury mają odmienną siłę akcentów swoich sylab. Na przykład słowo »smukły« ma silny akcent (nagłos) na pierwszą sylabę, którego nie ma słowo »piękny«. Dlatego podany wyżej pierwotny przekład nie był dla mnie

„przedzający, lub gdy jest takich akcentów kilka, to najmniejszy jest akcent następujący. Dla uproszczenia wyodrębniłam tylko trzy typy akcentów: silny, średni i słaby. Warto też pamiętać, że również pojedyncze słowa, już ze swej istoty, mają odmienne siły akcentów w tych sylabach. Np. słowo smuku ma silny akcent (maglos) na pierwszej sylabie, tego nie posiada słowo piękny. Dlatego podany powyżej pierwotny przekład nie był dla mnie zadowalający, i w tej wersji zwrot piękny i smukły jak ty zaczynał się silnym akcentem, a ty nie było wyczerpująco podkreślone. Zmieniłem go więc na:

Rozważ: Flebas był niegdys smukły i piękny jak ty.

Wtedy początek charakterystyki Flebasa został wyraźnie zaznaczony, jak również podkreśleniu uległo słowo »ty« – nawiązujące zresztą do początku poprzedniego wersu:

*Tyto obcasie kotem*

zadowalający, gdyż w tej wersji początek zwrotu »piękny i smukły jak ty« nie zaczynał się silnym akcentem, a »ty« nie było wystarczająco podkreślone. Zmieniłem więc przekład na:

- / | - - / / / - - | - - | - - - / - - / |

Rozważ: Flebas był niegdys smukły i piękny jak ty.

Teraz początek charakterystyki Flebasa został wyraźnie zaznaczony, jak również podkreśleniu uległo słowo »ty« – nawiązujące zresztą do początku poprzedniego wersu”.

A jaki dla mnie jest Flebas, gdy zamykam oczy: piękny i smukły czy smukły i piękny?

P.W. Ty - co obracasz kołem i spoglądasz w wiatr  
 [Również kolejności słów w przekładzie w. 315:  
 P.W. (But red sudden faces meer and snaw.  
 którego przekład pierwotnie brzmiał:  
 P.W. (Ty) ko pomurę kwiąg nabiegę tuwane kłng i kpią.  
 zmieniam na: „tuwane kpią i kłng”, gdyż słowo  
 kłng ze względu na zestawienie kl justna ma sil-  
 niejszy nacisk niż kpią, co powoduje - że cała sosmk  
 kłng dobitniej kończy ten wers i kwedję, i dzięki  
 temu jest ona bardziej wyrazista i lepiej utrwala  
 się w pamięci.

Wersja nieostateczna:

Śmierć przez wodę

Fenicjanin Flebas, martwy od dwóch niedziel,

Zapomniał skwiru mew i fal wzburzonych głębin

Zysków i strat.

Prąd podwodny szepcząc

Obgryzał jego kości. Wznosił się i spadł -

Płynąc pośród dojrzałych, potem młodych lat

Aż wchłonął go wir.

Poganin czy żyd

Ty - co obracasz kołem i spoglądasz w wiatr.

Rozważ: Flebas był niegdyś piękny i smukły jak ty.

Wersja ostateczna:

Śmierć przez utonięcie

Fenicjanin Flebas, martwy od dwóch niedziel,  
Zapomniał skwiru mew i głębin morskich fal,  
Zysków i strat.

Prąd podwodny szepcząc

Obgryzał jego kości. Wznosił się i spadł –  
Płynąc pośród dojrzałych i młodzieńczych lat  
Aż wchłonął go wir.

Poganin czy żyd

Ty – co obracasz kołem i spoglądasz w wiatr.  
Rozważ: Flebas był niegdyś smukły i piękny jak ty.

Czy byłaś kiedyś piękna i smukła jak Flebas?

Czy byłeś kiedyś piękny i smukły jak Flebas?

Czy Flebas był kiedyś piękny i smukły jak TY?

Czas Ojca i czas Eliota w tym pokoju kończy się. Moja Mama zmarła w listopadzie zeszłego roku. Mieszkanie jest puste. Już czas zmienić pokój. Mój młodszy syn skończył niedawno osiemnaście lat. Tak więc, pojawię się w tym pokoju jak Adela ze *Sklepów cynamonowych* i wtedy wyfruną z niego kartki, karteczki i ostanie pamiątki z dni mojego dzieciństwa, i dni, kiedy Ojciec tłumaczył w nim Eliota.

Elliot uważał, że najgorszy jest stan zawieszenia, w czasie którego nie umiemy podjąć żadnej decyzji.

[...] A właściwe działanie wyzwała.

Od przeszłości i od przyszłości także.

*(Dry Savages)*

Ustalmy to, ustalmy

Journey of the Mag

Wszystko to było dawno, lecz dobrze pamiętam,

I uczyniłbym to jeszcze raz, ale ustalmy  
To – ustalmy  
To: czy droga wiodła nas do Narodzin,  
Czy do Śmierci? To były Narodziny – oczywiście,  
Mieliśmy dowód, niewątpliwy. Widziałem narodziny  
i śmierć,  
Lecz sądziłem, że różnią się. Te Narodziny były dla nas  
Ciężkim i gorzkim konaniem, jak Śmierć, nasza śmierć.  
Wróciliśmy do swych ziem, do naszych Królestw,  
Lecz nie jest nam już łatwo wśród praw starej wiary,  
Z obcym dziś ludem, wielbiącym swych bogów.  
Z radością bym powitał inną śmierć.

*Wędrówka Trzech Króli*, która jest alegorią wędrówki człowieka w poszukiwaniu Boga, stała się wędrówką do ziemskiej miłości. Drogą nie do narodzin, drogą nie do śmierci, ale drogą do miłości – Valerie do Eliota.

„*Wędrówka Trzech Króli* tak zachwyciła późniejszą żonę Eliota, młodziutką wówczas Valerie, która usłyszała ten wiersz recytowany przez Johna Gielguda, że postanowiła poznać Eliota osobiście”. Napisał Ojciec w wydaniu piątym *Szeptów*, a zielonym cienkopisem po słowach: „ten wiersz” dopisał: „w radiu w wieku 14 lat”.

Jeszcze raz „ustalmy to, ustalmy”:

„*Wędrówka Trzech Króli* tak zachwyciła późniejszą żonę Eliota, czternastoletnią wówczas Valerie, która usłyszała ten wiersz w radiu recytowany przez Johna Gielguda, że postanowiła, »że musi poznać Toma osobiście i pracować z nim«”.

I tak ta droga wyglądała w wersji numer siedem.

Historię miłości zakończę fragmentem listu Eliota z 1960 roku do kolegów z Harwardu: „Bez zadowolenia z tego szczęśliwego małżeństwa / żadne osiągnięcia, żadne honory nie mogły mi dać w ogóle jakiegokolwiek satysfakcji”.

Bardzo trafna uwaga

„On potrzebował szczęśliwego małżeństwa [...]. Był w nim chłopiec, który usiłował się z niego wydobyć”, powiedziała Valerie.

Na dole strony w wersji numer pięć Ojciec dopisał zielonym cienkopisem: „Bardzo trafna uwaga”.

W wersji siódmej po słowach Valerie jest następujący tekst:

„Bardzo trafna uwaga. Chłopiec pragnął stać się mężczyzną. Oboje w zasadzie nie rozstawali się i wspólnie wyjeżdżali za granicę, jeśli poeta zgodził się przyjąć któreś z licznych zaproszeń. Miłość odwzajemniona zawsze odmładza. W wieku lat siedemdziesięciu czuję się młodszy niż jak miałem lat sześćdziesiąt – stwierdził Eliot. Jednocześnie zmienił się trochę jego charakter. Z człowieka ponurego stał się człowiekiem pogodnym. *All You need is love* było halsem drugiej połowy wieku XX”.

Kto więc?

Wersja nieostateczna:

Kto więc wymyślił mękę? Miłość  
Miłość nieznanym jest imieniem,  
Skrytym za dłońmi, co uwiły  
Koszulę z ognia, w niej cierpimy,  
Zdjąć jej moc ludzka nie ma siły.  
Żyjemy wtedy, wtedy oddychamy,  
Gdy w ogniu albo w ogniu trwamy

Wersja ostateczna:

Kto więc cierpienie stworzył? Miłość  
Miłości tej nie rozpoznamy,  
Skrytej za dłońmi co uwiły  
Koszulę z ognia, w niej cierpimy,  
Zdjąć jej moc ludzka nie ma siły.  
Żyjemy wtedy, wtedy oddychamy,  
Gdy w ogniu albo w ogniu trwamy

*(Little Gidding)*

Do przekładania tekstu potrzebna jest odwaga. Trzeba też może być na tyle pewnym siebie, żeby podjąć próbę wtargnięcia w nieznany twórczy świat. Albo na tyle słabym, żeby nie móc zatrzymać się tylko na przeczytaniu wiersza.

A więc co łączyło Ojca z Eliotem? Nieustanne próby zrozumienia, po co jest cierpienie na świecie i czy ma sens, teodycea z czwartej części *East Coker*, poszukiwanie własnej zagubionej duszy, nowego życia z *Mariny*, owładnięty śmiercią Webster z *Szeptów nieśmiertelności*? A może połączenie miłości wiecznej z miłością doczesną, kiedy „i ogień, i róża staną się jednym” z *Little Gidding*.

Pytania, pytania i pytania bez odpowiedzi. Na pewno był Eliot pasją życia mojego Ojca.

### Przekład siódmy

Z zapisków znalezionych w pokoju, których nie ma w *Szeptach*: „W wydaniu siódmym starałem się zbliżyć do stylu Eliota, który z figur retorycznych lubił najbardziej aliterację, powtarzanie słów lub powtarzanie całych zwrotów stosowanych często w poezji religijnej, oraz paradoks wykorzystywany w religii katolickiej i anglikańskiej. Przykładem stosowania paradoksu jest część IV *East Coker*. Natomiast aliteracja jest szczególnie widoczna na początku drugiego *Kwartetu*.

W starym przekładzie napisałem:

Stary kamień na nowe budowle, stare belki na nowy ogień,  
Stary ogień na popiół, a popiół do ziemi,  
Która jest już ciałem, futrem i nawozem,  
Kośćmi ludzi i zwierząt, kłosem zboża i liściem.

W siódmym przekładzie wersy te brzmią:

Stary kamień na nowe budowle, stare belki na nowy ogień,  
Stary ogień na popiół, a popiół do ziemi,  
Która jest już ciałem, całunem, cmentarzem,  
Kośćmi ludzi i zwierząt, kłosem zboża i kwiatem.

Mam nadzieję, że siódmy, ostateczny przekład pomoże czytelnikom w lepszym zrozumieniu poezji i myśli T.S. Eliota”.

## Wiersz jak miłość

Forma jego ma nie zastygać w jednym rytmie. Ma być formą, w której można wyrazić wszystko. Ma uderzać zmiennie. Pulsować. Liczba i położenie akcentów różnią się w wersach. Poezja jest pełna energii. Przypomina zapis nut na partyturze. Zapis elektrokardiogramu. Jest obrazem emocji malowanych wyraźną kreską. Nie używa wyblakłych kolorów. Światło pada jasne.

### Do mojej żony

Której zawdzięczam drżący zachwyt  
Co pobudza me zmysły kiedy się budzimy  
I rytm który kieruje odpoczynkiem w śnie,  
Zgodnym oddechem  
Kochanków...  
Którzy myślą te same myśli bez potrzeby słów  
I paplają te same słowa nie dbając o sens:  
Tobie dedykuję tę książkę, aby zwrócić najlepiej jak umiem  
W słowach choć w małej części to co dałaś mi Ty.  
Słowa znaczą co mówią, lecz niektóre z nich znaczą  
jeszcze więcej Tylko dla ciebie i dla mnie.

Ostatnią sztukę, *Mąż stanu*, dedykował Eliot Valerie. Nie był wtedy pewien, czy przyjmie jego oświadczenia. Był w tym czasie jeszcze bardziej nerwowo i nieprzyjemny niż zwykle. Gdy jego bliska przyjaciółka, Mary Treveland, którą znał od wielu lat, zaprosiła go na herbatę, odpowiedział jej, że nie powinna do niego dzwonić, bo dobrze wie, że nie chce się spotykać z nikim, i odłożył słuchawkę.

Dziesięć lat od śmierci pierwszej żony, Vivien, w 1947 roku, w tym samym miesiącu, w którym ona zmarła – w styczniu, Eliot zawarł związek z Valerie. Mary Treveland uważała, że Eliot zrobił to celowo. Vivien zmarła po dziewięciu latach pobytu w szpitalu psychiatrycznym. Całkowicie opuszczona przez Eliota. Po ślubie zerwał wieloletnią przyjaźń z Emili Hal i Mary Treveland. Obie porzucone kobiety bardzo ciężko to przeżyły.

Przez jedenaście lat Eliot mieszkał z Johnem Haywardem, unieruchomionym na wózku inwalidzkim krytykiem literackim. On też nie wiedział, że Eliot planuje ślub z Valerie i czekał na niego 10 stycznia 1957 roku w domu. Tego dnia Eliot już nie wrócił z porannej mszy.

Na dwieście dziewięćdziesiątej pierwszej stronie ostatecznego wydania siódmego, na samym jego końcu, po raz pierwszy Ojciec napisał: „Eliot, najwybitniejszy poeta pierwszej połowy XX wieku nie miał w sobie miłości chrześcijańskiej”.

Miłość chrześcijańską znalazłam w poezji Eliota, a nie w jego życiu – w poezji, za którą, jak uważał „zapłacił zbyt wysoką cenę”<sup>1</sup>.

### Ostanie słowa

W ostatnich słowach w *Szeptach nieśmiertelności* Ojciec napisał: „Problem cierpienia, związany z twórczością wielu artystów, w przypadku Eliota, Michała Anioła czy Beethovena wysuwa się na plan pierwszy. Lecz to nie sztuka jest głównym źródłem cierpienia, ale cierpienie (często połączone ze zmysłowym lub duchowym zachwytem) jest źródłem sztuki. Sztukę bowiem tworzą prawie zawsze ludzie, którzy w ten sposób pragną przewyciężyć albo utrwalić to, co ich boli i, rzadziej, zachwyca. Za jej grzech pierwotny można więc uznać fakt, że rzadko bodźcem do jej powstania jest szczęście i dlatego, szczególnie w wypadku literatury, nie kreśli ona zbyt często obrazów radości. Jest jednak niezbędna dla tej zawsze małej garstki ludzi wrażliwych na zło oraz na piękno świata i człowieka, na ich przemijalność. Na to wszystko, co przekracza nasze pojmowanie”.

### Gerontion

W 1988 roku, w czasie obchodów setnej rocznicy urodzin Eliota, przedstawiciele środowiska brytyjskich Żydów potępili go za antysemityzm.

Mój dom to podupadły dom,  
Na parapecie okna kucnął Żyd właściciel,  
Spłodzony w jakiejś kafejce w Antwerpii  
Owrzodziły w Brukseli, połatany i wygojony  
w Londynie.

---

<sup>1</sup> Valerie Eliot w rozmowie z T. Wilsonem, „Observer” 1972, 10 lutego.

## Kiedy wiatr zrywa się czwartej rano

Tego nie ma w *Szeptach*. Pomędzy stronami z wyborem poezji Eliota wydanym w 1988 roku przez Państwowy Instytut Wydawniczy znalazłam kartkę z komentarzem Ojca do wiersza *Wiatr zerwał się o czwartej rano*: „Znając ksenofobiczną i rasistowską psychikę Eliota, należy sądzić, że wiersz ten dał wyraz tak modnym na przełomie XIX i XX wieku obawom przed żółtym niebezpieczeństwem i być może również przed tatarską ekspansją barbarzyńskiej rewolucji i agresywności sowieckiej”.

### Wiatr zerwał się o czwartej rano

Wiatr zerwał się o czwartej rano  
Wiatr zerwał się i rozkołysał dzwony  
Wahające się między życiem a śmiercią,  
Tutaj, w sennym królestwie śmierci  
Budzi się echo pogmatwanych walk  
Jest to sen czy coś innego –  
Kiedy powierzchnia ciemniejącej rzeki  
Jest twarzą która oblewa się łzami?  
Za ciemniejącą rzeką ujrzałem  
Ognie obozu drżące obcymi włóczyniami.  
Tutaj, za inną rzeką śmierci  
Tatarscy jeźdźcy potrząsają włóczyniami.

Ten wiersz został dodany do wydania siódmego; nie było go w poprzednich.

### Król Bolo

Komentarz z *Szeptów* do poematu: „Poemat jest pełen mizoginicznej pogardy dla kobiet. Seksualność Eliota była dość skomplikowana. W młodości, a potem w Londynie tworzył nadal, ku ucieście przyjaciół, poemat, którego bohaterem był Król Bolo; jeden z prawdziwych królów murzyńskich, mający imponującą liczbę żon i dzieci. T.S. Eliot. Poemat jest pełen mizoginicznej pogardy dla kobiet i obscenicznych, często powtarzanych określeń typu »owłosione jaja«, »czarny, ogromny, sękaty kutas«

albo »dupa«, a Pound pisał w listach o homoseksualnym Eliocie. Z drugiej strony warto pamiętać, że prawdziwe szczęście osiągnął poeta w małżeństwie z Valerie”.

Psom zapewniła hojne dożywocie

Komentarz z *Szeptów* do wiersza *Ciotka Helena*: „Wiersz ten, napisany w 1915 roku w Londynie, jest wyrazem krytycznej obserwacji przez Eliota środowiska, w którym urodził się i spędził dzieciństwo oraz młodość, a szczególnie »eleganckiego towarzystwa«, z jakim stykał się w Bostonie – kolebce i strażnicy amerykańskiego bon tonu. Eliot włączył ten utwór do pierwszego zbioru swych poezji z roku 1917 *Prufrock i inne obserwacje*.

W swych poglądach politycznych i społecznych nie wykroczył jednak daleko poza horyzonty swego środowiska, a szczególnie konserwatywnego ojca, co zresztą ułatwiło mu później związanie się z nurtem Kościoła anglikańskiego ciążącym ku Rzymowi. Idealizacja przeszłości, niedostrzeganie niewolniczego charakteru systemu feudalnego i wczesnego kapitalizmu, i inne prymitywne poglądy, które Eliot dzielił z Poundem, szły w parze z ich zainteresowaniem literaturą dawnych wieków”.

Wyobraźnia dźwiękowa – eufonia wiersza

„Dla dźwięków – nie żałować życia...” Aleksander Puszkina, *Eugeniusz Oniegin*.

Muzyka *Czterech kwartetów*, muzyka *Mariny* niech będą z Tobą, pomyślałam po przeczytaniu słów Ojca: „Bardzo pięknym przykładem wyobraźni dźwiękowej, jest krótki liryk stanowiący część czwartą *Burnt Norton*”:

IV

Time and the **béll** have **búried** the **dáy**,

The **bláck** **clóud** **cárries** the **sún** **awáy**.

**Will** the **sún**flówer **túrn** to us, **wíll** the **clématis**

Stráy **dówn**, **bénd** to **us**; **téndril** and spráy

Clútch and **clíng**?

Chíll

Fingers of **yéw** be **cúrléd**

**Dówn** on **us**? Àfter the **kíngfisher's** wing

Has answered **light** to **light**, and is silent, the **light** is still  
At the **still** point of the **túrning** wórl.

„W wierszu tym słyszymy charakterystyczne dla twórczości Eliota pokrewieństwo słów, muzyczne raczej (a więc uwzględniające również rytm), a nie tylko onomatopeiczne. Powstające w tej poezji związki dźwiękowe pomiędzy wyrazami sprawiają, że trudno jest usunąć jakieś słowo lub zastąpić je inaczej brzmącym, gdyż spowodowałoby to konieczność zmiany również innych słów. Charakterystyczna dla Eliota jest ogromna wrażliwość na tkankę dźwiękową poezji, tak istotną w budowie i odbiorze wiersza. Występują tu także: rymy, zmienność rytmu i w wersach 3 i 10 przerzutnie oraz aliteracje spółgłosek – t, b, c (i cl) i s, płoke – sun, will, turn, us, down, light, still, oraz pytania retoryczne w wersach 3–5 i 6–8. Każdy z tych wersów z wyjątkiem ostatniego zawiera personifikację”.

#### IV

Czas i dzwon w grób złożyły ten dzień,  
Słońce porwał czarnej chmury cień.  
Czy słońceznik zwróci do nas twarz, czy klematis  
Schyli się, odnajdzie nas, pnączami?  
Schwyci i przylgnie ?  
Chłód  
Palców cisu  
Oplecie nas w dole? Gdy skrzydło zimorodka  
Światłem odpowiedziało światłu i jest ciszą. Światło znieruchomiało  
W wirującego świata nieruchomym punkcie.

#### Marina, córka urodzona na morzu

„Wyobraźnia dźwiękowa Eliota zestawia pokrewne tony, wykazujące niekiedy odległe powiązania, które tworzą delikatną siatkę dźwięków, nienarzucającą się i zwykle nie w pełni uświadamianą przy pierwszym czytaniu, lecz przenikającą do podświadomości.

*Marinę* można określić jako wiersz koncertujący. Termin ten wprowadzam, by zaznaczyć, że poszczególne wersy lub strofy współzawodniczą i jednocześnie współgrają ze sobą, a ich struktura ma budowę sonatową”.

Spójrzmy na angielski tekst *Mariny*, w którym Ojciec zaznaczył wersy opisane powyżej:

## Marina

**What seas what shores what** grey rocks and **what islands**

**What water lapping** the bow

And scent of **pine** and **the woodthrush singing through the** fog

What images return

**O my daughter.**

**Those who** sharpen the tooth of the dog, **meaning Death**

**Those who** glitter with the glory of the hummingbird, **meaning**

**Death**

**Those who** sit in the sty of contentment, **meaning**

**Death**

**Those who** suffer the ecstasy of the animals, **meaning**

**Death**

Are become unsubstantial, reduced by a wind,

A breath of pine, and the woodsong fog

By this *grace* dissolved in place

What is this face, **less clear** and **clearer**

The pulse in the arm, **less strong and stronger** –

Given or lent? more distant than stars **and nearer** than the eye

Whispers and small laughter between leaves and hurrying **feet**

Under sleep, where all the waters **meet.**

Bowsprit **cracked** with ice and paint **cracked** with **heat.**

I **made** this, I have **forgotten**

And remember.

The **rigging** weak and the canvas **rotten,**

Between one June and another September.

Made this **unknowing**, half conscious, **unknown, my own.**

The garboard strake leaks, the seams need **caulking**.

This form, this face, this **life**.

**Lving to live** in a world of time beyond me; let me

Resign **my life** for this **life**, my **speech** for that **unspoken**,

The awakened, **lips** parted, the hope, the new **ships**.

**What seas what shores what** granit **islands** towards my timbers

And **woodthrush calling through the** fog

**My daughter**.

A oto *Marina* Ojca. Pełna powietrza, światła, przestrzeni. Pełna muzyki.

## Marina

*Quis hic locus, quae regio,*

*quae mundi plaga?*

Jakie to morza i brzegi jakie skały szare i wyspy

Jaka woda obmywa dziób statku

I zapach sosen i śpiew drozda przez mgłę

Jakie obrazy wracają

O moja córko.

Ci którzy ostrzą ząb psa – a znaczy to Śmierć

Ci którzy błyszczą chwałą kolibra – a znaczy to Śmierć

Ci którzy siedzą w chlewach zadowoleń – a znaczy to Śmierć

Ci którzy cierpią zwierzęce ekstazy – a znaczy to Śmierć

Stają się zwiewnym, rozwianym przez wiatr,

Oddechem sosny, śpiewem mgły wśród drzew

Dzięki świetlistej łasce tych okolic

Czyja to twarz – tak mglista a jasna

Tętno w przegubie dłoni – tak wiotkie a mocne

Dane czy użyczone? Bardziej odległe niż gwiazdy a bliższe od źrenic

Szepty i śmiech stłumiony między stopą biegnącą a liśćmi  
Pod snem, gdzie wszystkie wody łączą się kuliście.

Bukszpryt pękał wśród lodów, farba pękała w upale.

Uczyliem to, zapomniałem

I pamiętam.

Liny słabe i żagle zbutwiałe

Pomiędzy tamtym czerwcem a poprzednim wrześniem.

Uczyliem to nie wiedząc, półświadomie, nieznane, me własne.

Dno przecieka i fugi trzeba uszczelnić w kadłubie.

Ten kształt, ta twarz, to życie

Żyjące by żyć w świecie czasu poza mną; obym

Życie mógł oddać za to życie, mowę swoją za tę

niewymówioną,

Obudzoną, rozchylone wargi, nadzieję, nowe okręty.

Jakie to morza i brzegi jakie wyspy granitowe

naprzeciw żeber statku

I drozd wzywający przez mgłę

Moją córkę.

## Joseph Conrad

„Czy przeżywał swe życie ponownie w każdym szczególe pragnienia, pokusy i wyrzeczenia w tej chwili najwyższej samowiedzy? Krzyknął szeptem, widząc jakiś obraz, jakąś wizję – krzyknął dwukrotnie, szeptem, który był nie więcej niż oddechem – »Ohyda! Ohyda!«”. Joseph Conrad, *Jądro ciemności*.

Fragment ten wybrał Ojciec jako motto rozdziału pod tytułem *Ziemia jałowa*.

I ten fragment wybrał Eliot jako motto tego poematu. Niestety wysłuchał dobrej rady Pounda i ostatecznie nad *Ziemią jałową* pojawiło się motto z *Satyrikonu* Petroniusza: „Gdyż widziałem na własne oczy Sybillę wiszącą w dzbanie w Cumae, a gdy chłopcy pytali ją: »Sybillo, czego pragniesz«, odpowiadała: »Pragnę umrzeć« [...]”.

Fragment z Conrada zdaniem Ojca łączył wizje zawarte w *Ziemi jałowej* i był właściwym wyjaśnieniem i wprowadzeniem do poematu. Cytat z Petroniusza wyraża w zasadzie tylko jedno pragnienie – śmierci.

Eliot próbował się bronić, pisząc do Pounda: „Lepszego nie udało mi się znaleźć, a ponadto coś wyjaśnia”.

### Źle z ich nerwami

Przypis Ojca do wersów od sto jedenastego do sto szesnastego *Ziemi jałowej*: „W latach sześćdziesiątych, wspominając swój stosunek uczuciowy do Emilii Hale, którą nadal kochał, gdy żenił się z Vivien, Eliot pisał o tej ostatniej: „Małżeństwo nie przyniosło jej szczęścia [...] mnie przyniosło stan umysłu, z którego powstała *Ziemia jałowa*”.

Źle z moimi nerwami tej nocy. Tak, źle. Zostań przy mnie.

Mów do mnie. – Czemu nigdy nic nie mówisz? Mów.

O czym ty myślisz? Co ty myślisz? Co?

Ja nigdy nie wiem, o czym myślisz. Pomyśl!

115 Myślę, jesteśmy w szurzej uliczce,  
Gdzie kości zgubili umarli.

„Jeżeli chodzi o umysł Toma, napisała Vivien, to jestem nim Ja”<sup>2</sup>.

Z takiego stanu umysłu Vivien i Toma zakwitły z *Ziemi jałowej* gałązki bzu i zmieszaly pożądanie z pamięcią.

### Dzieło otwarte. Nigdy nie ostateczne

Ojciec poszukiwał mądrej myśli, która najbardziej odda istotę przekładu. Nie ograniczał się tylko do rozważań pisarzy i poetów. Najbliżej określania słowami tego, co tak trudno w nich zamknąć, był Witold Lutosławski: „[...] wierność dla tekstu zapisanego przez kompozytora jest warunkiem koniecznym, ale nie wystarczającym [...]. Nie sposób określić słowami tego, co w utworze znajduje się poza tekstem zapisanym w partyturze. Wykonawca musi mieć dość wyobraźni i siły duchowej, aby umieć te głębsze warstwy dzieła zrealizować”.

Wielkość Eliota polegała na poczuciu rytmu, udźwiękowieniu wiersza, zmiennego w nim metrum, podporządkowaniu interpunkcji rytmowi, a nie ustalonym

---

<sup>2</sup> Cynthia Ozick, *Człowiek cierpiący i twórczy umysł*, „Literatura na Świecie” 2025, nr 1–2.

zasadom, przełamaniu reguł dotyczących zapożyczeń. Ojciec dążył do doskonałego przełożenia tej wielkości. Pomagał mu w tym Pablo Picasso, który na drzwiach swojej pracowni umieścił napis: „Jeśli sądzisz, że nie sknociłeś obrazu, to wróć do pracowni, a przekonasz się, że sknociłeś”.

Ojciec często powtarzał mi to zdanie, które umieścił na końcu wstępu do *Szeptów*.

W przypadku przekładu słowa te oznaczają, że pozostanie on na zawsze dziełem otwartym. Życie przekładu nigdy się nie kończy, bo nie jest ostateczny. Po śmierci tłumacza jest materia, z której inni komponują nowy utwór.

Zawsze istnieje możliwość dopasowania go do języka naszego miejsca i czasu.

To z niego powinna być zbudowana poezja.

„Normą dla języka poety jest sposób w jaki mówią jego współcześni” – uważał Eliot.

Ostatnie wydanie jego Eliota, numer siedem, ukazało się w 2016 roku.

Ojciec zmarł 1 listopada 2018 roku. Wbrew temu, co zalecał Picasso, w pewnym momencie nie wrócił do pracowni. Ale wrócą na pewno inni.

Zawsze musi być kres, który jest początkiem.

### Mój Eliot

Gdy zaczynam pisać o tym, jak mój Ojciec przekładał Eliota, zaczynam Eliota czytać. Gdy zaczynam go czytać, to nie mogę przestać aż do późna w nocy.

I read much of the night; and go south in the winter.

Czytam do późna w nocy; zimy spędzam na południu.

Mój Eliot:

Zimą nie śpię do późna w nocy. Czytam do południa.

W zimie czytam do późna w nocy. Śpię do południa.

W zimie czytam do południa. Nie śpię do późna w nocy.

W zimie czytam w nocy. Spędzam zimy na południu.

Zimą śpię do południa. Czytam do późna w nocy.

## PIOTR PIASZCZYŃSKI

### 27 grudnia

Był powszedni... Teraz się – mówią – stanie  
świętem, ze względu na jakieś powstanie.  
OK. Lecz dla mnie wciąż będzie to zimny  
smętny dzień, gdy obchodzę urodziny.

### Noc

Okno otwarte na oścież, w którym firanka  
nawet nie zadrży: tak zwana noc tropikalna  
w tym umiarkowanym na ogół klimacie.  
Próbujesz zasnąć... „Chyba idzie ku zatracie”  
– myśl pod czaszka się tłucze. W pościeli wilgotnej  
od potu śniesz o zimie coraz nie przytomniej...

### Hotel

Jeśli, jak rockman, miałbyś zostać znaleziony  
nie we własnym pokoju, tylko hotelowym,  
na starówce w Toruniu jest znajomy adres,  
gdzie naprawdę najlepiej czułeś się zawsze.

Kochasz miasto, a hotel to przeuroczy  
przybytek z kuchnią dla wybrednych smakoszy...  
Odpowiednie miejsce, by ostatnie tchnienie  
wydać z siebie i zacząć wieczne nieistnienie.

## Sen zimowy

To chyba jeden z tych powrotnych kręgów,  
które czasem zatacza życie:  
znów mi się zdarza sypiać do południa.

Zupełnie jak wtedy w Warszawie,  
gdy szalała zima stulecia,  
a ja miałem dwadzieścia pięć lat.

Wkrótce mi stuknie siedemdziesiąt:  
dar Hypnosa i proszków nasennych.  
A zima już tylko z rzadka się śni...

## Jubileusz

Mój Boże, ile ona ma wad!  
I jak nieznośna być potrafi...  
Jesteśmy razem już kopę lat  
(czterdzieści!) i wcale nie trafił

mnie szlag. Po prostu mi z nią dobrze.  
Tyle że ma ze sto powodów  
(o których tu nie mówmy może),  
by w końcu zrzucić mnie ze schodów...

## MICHAŁ CZORYCKI

### Surrey Hills

Z ogródka pubu w Richmond widział wzgórza  
Surrey, obły zarys Box Hill, łagodne  
Falowanie kredowych krajobrazów.

Wolno zapadał zmierzch. Zapalały się  
Dalekie światła. Patrząc, czuł, że traci  
Wszystko, czego nie umiał nawet nazwać.

### Kwestionariusz

W metrze rozmowa z koleżanką z pracy.  
Tak poważna, tak nagle całkiem inna  
Niż zwykły i sprawdzony chit-chat. W huku

Wagonów, zgrzycie stali na zakrętach  
Northern Line jej krótkie, urwane zdania.  
I tylko trzy stacje, by zrzucić z siebie

Dojrzały już ciężar. Ten dom rodzinny  
Na wsi pod Salzburgiem, który przestał być  
Domem. I samotność. Lata biegnące

Jak stacje metra. Ani się obejrzysz  
Jesteś po czterdziestce. I co zrobiłeś  
Z życiem. Nagle za późno, żeby zacząć

Od nowa. Ty przynajmniej zbudowałeś  
Coś. Odznaczyłeś dzieci i rodzinę.  
I już jej stacja. Wysiada. Zostajesz

Z myślami o pustych polach wyboru  
W niedostępnym dotąd kwestionariuszu,  
Który mógłbyś wypełnić i odesłać

Najwyższej Instancji, pewien, że każde  
Z nich oznaczyłeś tak jak trzeba, zgodnie  
Z najlepszą wiedzą, którą masz o sobie.

## Figury Widmanstättena

W muzeum nad wodą wielką i czystą  
Zatrzymał się przy figurach Widmanstättena  
Na wygładzonych, wytrawionych kwasem  
Przekrojach meteorytów. W liniach kryształów  
Niemożliwych na ziemi – kamacyt, stop  
Kryształiczny niklu i żelaza, powstaje,  
Stygąc ledwie kilka stopni przez tysiące lat –  
Zobaczył zarysy architektury czasu.  
Rosnące na wszystkie strony budowle.  
Piętrzące się bez końca rusztowania godzin:  
Piętro nad pięciem balkonów, tarasów  
(Z każdego widok na podobny balkon).  
Jakby stał niewidzialny między parą  
Luster i w ich powielających się odbiciach  
Widział ujętą w puste ramy przestrzeń  
I swoją coraz głębszą przezroczystość.

## Obcięte uszy Edwarda Kelleya

Edward (nazwisko przybrane Kelley) miał uszy  
Obcięte za fałszerstwo pieniędzy w Lancaster.  
Mankament nie przeszkodził mu zostać współnikiem  
Doktora Johna Dee, uczonego i szpiega  
W służbie Jej Królewskiej Mości. I wraz z nim  
Odgrywać roli taumaturga, jasnowidza  
I wieszczka, którego ustami przemawiały  
Anioły. A także (głosem aniołów) grozić  
Królowi Polski na zamku w Niepołomicach,  
W roku 1585, tuż przed jego nagłą śmiercią.  
*Stephane! Rzuć precz bezbożność. Ab occidente  
Ku wnętrzościom twoim wyciągają się  
Ręce. Lecz mieczem ugodzę ich szpony.*  
O czym więc, ustami Edwarda Kelleya,  
Pragnęły opowiedzieć królowi anioły?  
Twój plan wojny z Moskwą wróży zwycięstwo  
(Sejm zatwierdzi wojenne podatki). Wiedz jednak:  
Zwycięstwo zmieni postać rzeczy, przetnie  
Węzły, które chcemy zacisnąć (w tle angielski  
Handel na Północy, dynastyczne ambicje  
Habsburgów). Król Stefan nie słuchał głosu  
Aniołów. Gdyby nawet słuchał, nie byłoby  
Czego natrzeć Edwardowi Kelleyowi. A potem  
Wędrówki tego ostatniego między Pragę  
A Krakowem. Mistyka: ciężkie zasłony słów.  
I ciemność, w którą strach patrzeć (strzygą w niej  
Na przespiegach obciętymi uszami).  
I w ramach tajnych praktyk wymieniane  
Z towarzyszem żony (doktorowa Dee  
Odchodzi od zmysłów). I majątki. Tytuły.  
Konie zawsze pstrokate pańskiej łaski.

A potem jedna noga drewniana. Kolejna,  
Tym razem nieudana ucieczka z więzienia  
I zamiast drugiej nogi z drewna – nagły koniec.  
Pociągnij za sznurek zobaczysz jak w *theatrum*:  
Kukły w tańcu. Manekiny. Obcięte uszy  
Edwarda Kelleya. Obcięte uszy historii.  
Ten jej grymas – jak pyszczka kota z Cheshire.  
Zawisł w powietrzu, drwiący, tam, gdzie była głowa.

## KAZIMIERZ BRAKONIECKI

## Widnoksiąż (19)

Jan Cybis, *Notatki malarskie. Dzienniki 1954–1966*, PIW, Warszawa 1980.

Pokaźna księga, ilustrowana kolorowymi wklejkami, wzbogacona aneksem fotografii, stron prawie czterysta pięćdziesiąt, potęga. Pierwszy raz w rękę miałem ją w 1988 lub 1989, kiedy pracowałem w olsztyńskim BWA, ale dopiero latem 2023 roku gruntownie się z nią zapoznałem. Pasjami lubię czytać zapiski o sztuce i praktyce artystycznej, szczególnie malarzy, takich jak van Gogh, Delacroix, Czapski, Makowski, ale także Waniek, Grzywacz, Kuryluk. Był ich legion, ale ostatnio zaskoczyły mnie *Notatki malarskie* Cybisa, malarza, za którego obrazami olejnymi nie przepadam, są naszpikowane farbą, manierystycznym postimpresjonizmem zmieszany z wczesnym niemieckim ekspresjonizmem (a może francuskim rozrzedzonym postimpresjonizmem fowizmem), i nijak mi pasują do moich obecnie klarownych wyobrażeń o minimalistycznej raczej sztuce przedstawiania świata widzialnego.

Ciekawy życiorys miał „papież kolorystów”, jak go nazywano – niekiedy z przekąsem – już w latach sześćdziesiątych minionego stulecia w ASP w Warszawie, w której wykładał otoczony i uwagą, i zasłużonym uznaniem. Urodzony w 1897 roku (zmarł w 1972) na Opolszczyźnie w polskojęzycznej rodzinie rolników, kształcony w liceum w Głogowie, we wrocławskiej (Breslau) ASP (w pracowni ekspresjonisty Otto Müllera), brał udział w pierwszej wojnie światowej w niemieckim wojsku, przeżył (brat nie), w 1921 roku udał się do Krakowa, a w 1923 (minęło sto lat!) wraz z przyjaciółmi dotarł do Paryża, instalując się w kręgu oddziaływań malarza postimpresjonisty Józefa Pankiewicza, współzakładając Komitet Paryski (KP, stąd kapiści), do którego, poza nim samym, należeli: Zygmunt Waliszewski, Artur Nacht (po wojnie Nacht-Samborski), Hanna Rudzka-Cybisowa, Józef Czapski, Piotr Potworowski. Po powrocie do kraju w latach trzydziestych osiadł w Krakowie, aktywnie malarsko i publicystycznie uczestniczył w życiu plastycznym miasta i kraju, podobnie jak po zakończeniu dru-

giej wojny światowej, kiedy to ostatecznie osiadł w Warszawie, obejmując stanowisko profesorskie w ASP, podróżując, przyjmując dygnitarzy, zaszczyty i nagrody, prowadząc intymne i fachowe zapiski od 1954 roku (w każdym razie tak wzmiankuje to wydanie dziennika), o których nikt nie wiedział, a które Dominik Horodyński wydał w pewnym (jakim?) obszernym wyborze.

Na marginesie chciałbym zapoznać się z nowym pełnym wydaniem książkowym zapisków Cybisa, wybitnego malarza, znawcy sztuki, tłumacza i mistrza języka polskiego (a kształcił się w języku niemieckim): ciekawe ile zostało niewydanych, pominiętych albo skonfiskowanych przez cenzurę zapisów, które tak mnie zauroczyły swoją intensywnością, szczerością, nieustanną pracą nad plastycznym dorobkiem (malarstwo, rysunek, teoria). Rozmiar zaprezentowanej w dzienniku złożonej osobowości twórczej przypominał mi postać malującego i piszącego Delacroix (ale nie Makowskiego, którego noty są nużące). Aż biłem się z myślami, dlaczego nie przepadam za tym dekoracyjnym, kolorowym, mimo że „jakoś tam mętnym” widokowo malarstwem? Cóż, znalazłem dla siebie w jego potężnym dorobku poszczególne obrazy, martwe natury czy wybrane pejzaże, ale w całości stylistycznej pozostawiają mnie chłodnego i zdystansowanego. W ogóle nie przepadam za postimpresjonistyczną tradycją symbolizowaną, świetnym zresztą nazwiskiem, głównego patrona kapistów – Bonnard, chociaż Cybis nie był przecież jego epigonem, ale twórczym kontynuatorem, tak jak i wielkiego Cézanne’a, który odnowił klarowną kompozycję „syntetycznego układu barwnych plam na płótnie”.

Doskonały znawca sztuki Jacek Woźniakowski wyznał, że z tego urozmaiconego, utalentowanego i coraz bardziej licznego klanu kapistów, którzy po socrealizmie zdominowali scenę plastyczną w Polsce, najciekawiej rozwinęli swoje talenty Artur Nacht-Samborski, Józef Czapski, Piotr Potworowski. Całkowicie podzielam jego opinię. Posługując się jego myśleniem, Jana Cybisa zaliczyłbym do tych ważnych, twardegłowych kolorystów-realistów (odrzucających weryzm, fotorealizm, radykalną abstrakcję, rysowanie kolorem), którzy ze świętym uporem i autentycznym talentem malarskim walczyli o przewagę koloru nad tematem w tak zwanym czystym malarstwie, posługując się stale tym samym „optycznym” złudzeniem formalnym: z gęstą materią malarską, czyli z farbą, która zasłoniła artystę wizję świata przedstawionego i... nieprzedstawionego (poszerzanie granic widzialności-realności).

Moje, poniekąd amatorskie, uwagi nie zmieniają mojej wysokiej oceny dzienników, które poza drobnymi i większymi wieściami z posiedzeń różnorodnych komisji plastycznych, relacjami z sytuacji w rodzinie, zajmującymi opisami autobiograficznymi, przynoszą niewiarygodne bogactwo rozmyślań o sztuce, o plastycznym i kulturalnym środowisku, w którym twórca się obracał, o wnikliwie czytanych lekturach, samym wreszcie codziennym i stresującym procesie-warsztacie twórczym. W zapiskach złożona i intrygująca osobowość mistrza palety rysuje się autentycznie, w sposób przekonujący, bogaty, wyczerpujący. Autobiograficzny portret Cybisa, jaki wypływa z tych wieloletnich notatek, na pewno należy do najciekawszych zapisanych w kulturze polskiej PRL-u. Stawiam obok arcyciekawych dzienników Zygmunta Mycielskiego, kompozytora, erudyty i obserwatora sceny politycznej (takich uwag u Cybisa nie znajdziesz). Charakter twórczy Jana Cybisa widzę jako udany amalgamat niemiecko-francuski w kontekście rozwoju lokalnego, polskiego, unikającego skrajności temperamentu malarskiego. Możliwe, że ktoś inny ten szczęśliwy amalgamat twórczy nazwałby po prostu kontynuacją zachodnioeuropejskiej tradycji (post) impresjonistycznej.

1 lipca: „Dzień nieprzerwanej pracy. Wspaniałe i rozkoszne poczucie samotności i spokoju, głębokiego szczęścia, jakie one dają. Nie ma człowieka bardziej towarzyskiego ode mnie [...]. Strach, aby nie przeszkodzono mi, gdy jestem sam, płynie po prostu stąd, że w domu jestem zajęty swoimi sprawami, to znaczy malarstwem: żadne inne nie mają dla mnie takiego znaczenia...”. To Delacroix, a nie Cybis (w przekładzie Joanny Guze i Julii Hartwig). Delacroix miał ambicje literackie, opracowywał leksykon sztuki plastycznej, cudownie opisywał przyrodę, podróżował, uczył niez mordowanie na wytworne kolacje prawie każdego pracownego dnia. Cybis zamknięty w pracowni do upojenia, potężny znawca sztuki dawnej i nowoczesnej, wnikliwy czytelnik klasyków francuskich i niemieckich (Balzac, Flaubert, Goethe), idealny tłumacz *Mistrzów dawnych* Eugène’a Fromentina, potrafił całe noce zarwać na rozmowach przy dużym i często wznoszonym kielichu i papierosie. Rozdawał się, dyskutował, aby jak ranny żubr wrócić do swojej samotni, aby po raz kolejny przemałowywać kiedyś zaczęte płótno, żeby „je dowidzieć”.

Delacroix kochał Rubensa, Tycjana, Michała Anioła, Rafaela. Cybis też dobrze mówił o Rafaelu, Tycjanie, van Gogh, Bonnardzie... Delacroix dla Cybisa to wielki człowiek i również... piszący, jak Stendhal zresztą. Romantycy czynu twórczego.

Dziwne, nie przepadam za malarstwem Delacroix (moim zdaniem zbyt teatralnym, patetycznym, literackim, a kolor pod werniksami zanikł), może poza tymi dwoma obrazami: *Wolność prowadząca lud na barykady* oraz *Barka Dantego*. Ale to moje prywatne zdanie, chociaż najbardziej lubiłem w swoich paryskich przechadzkach pod grudniowym deszczem odpoczywać w kościele Saint Paula i spoglądać areligijnie na wczesne, duże malowidło jego pędzla *Chrystus w Ogrójcu*. Natomiast dzienniki Delacroix – obok dzienników intymnych Baudelaire’a, Chateaubrianda, Hugo czy wielotomowych dzienników braci Goncourtów – przez lata należały do moich kultowych lektur francuskich.

A teraz Cybis: pierwsza zasada „Nie łgać w sztuce”:

„»Niech maluje rurę od pieca« (Cézanne) – najlepsza rada, jaką doświadczony malarz może dać młodemu. Załatwiona w tym sprawa tematu wraz z całą resztą. Nie ma tematu banalnego, każdy może być objawieniem”.

„Naturalizm jest sprzeczny z umową. Może być stymulującym czynnikiem, lecz nie jest do zrealizowania w sztuce. Przejęła go nauka (fotografia). Dla artysty jest czymś wstrętnym z innej dziedziny. Nie prawda, lecz farba decyduje u malarza. Prawda jest przez farbę i w farbie. Przekonująca jest farba, nie natura – w sztuce oczywiście, i to malarskiej...”.

„Mówię sobie: nie ma pięknych kolorów, są tylko kolory dobrze lub źle zestawione. Nie zawsze jednak działałam w myśl tej zasady. Poprawię się”.

„Boże, jak ja się tłukę w tych naszych ciemnościach. JA WIEM, że mój radykalizm artystyczny, to jest moja absolutna, aseptyczna samotność, jest nieunikniona. Poza mną kto wie? JA JESTEM człowiekiem zaangażowanym [...]. Kto w końcu wie, czym jest malarstwo. Masz i chcesz wyrazić, kto powie ci jak? Więc robisz rzeczy dziwne, myśląc że normalnie postępujesz. Po co to pisać? Kto wie, co to znaczy? A jeżeli mnie pochwali sto tysięcy durniów, czy mi ulży?

Piszę więc swoje notatki trochę dlatego, że zawsze chciałem pisać, trochę dlatego, że wszedłem już w nałóg, ale też trochę jak Żyd w obozie zagłady.

Widocznie dzisiaj upiłem się”.

Wybitne świadectwo twórczych zmagani nad powołaniem-pasją-charakterem. Konieczne wznowienie w pełnej wersji!

\*

Artur Nacht-Samborski, *Wejrzenia. Insights*, kurator wystawy, redakcja katalogu Barbara Kalinowska, Ostrołęka 2023.

Świetny katalog, a raczej album w wersji dwujęzycznej (polsko-angielskiej) liczący ponad sto stron wypełniony szkicami (Barbara Kalinowska, Łukasz Kiepuszewski, Piotr Kłoczowski, Jacek Woźniakowski, Anna Zelmańska-Lipnicka) z dodatkiem czterdziestu dwóch ilustracji. Wystawa prac (oleje, gwasze) Artura Nachta-Samborskiego (1898–1974) w kameralnych salach Muzeum Kultury Kurpiowskiej w Ostrołęce.

Na wystawę – prezentowaną jesienią 2023 roku – niestety nie dotarłem (nie mam samochodu, brak udogodnień komunikacyjnych pomiędzy Olsztynem a Ostrołęką; w planach jest powrót pociągu), ale z Arturem Nachtem (Samborski to dodane podczas wojny nazwisko, które pozostało przy artyście) mam liczne związki przyjaźni, jakie mogą powstać, kiedy miłośnika malarstwa zauroczy na całe życie czyjaś twórczość. Tak się dziwnie nawet złożyło, że wiele lat temu jechałem po Polsce enerdowskim roburem z kierowcą, zbierając od osób prywatnych w Krakowie i Poznaniu obrazy Nachta na wystawę w olsztyńskim BWA. Starałem się być zresztą na każdej wystawie, ponieważ jego magia malarska, jednocześnie wytworna i prymitywna (w dobrym tego słowa znaczeniu, jako oddziaływanie prostoty skumulowanej w szkicu malarskim, który nie jest szkicem, a wyższą syntezą plastycznego kompozycyjnego bytu), zawsze kojarzyła mi się z epifanią „nagiego” człowieczego losu. Inna sprawa – to moje liczne i częste rozmowy z muzealnikiem z Ostrołęki, a zarazem radnym i przede wszystkim redaktorem naczelnym kwartalnika „Pracownia”, Wojciechem Woźniakiem, który zaczął w tym muzeum w tamtych latach pod koniec XX stulecia zbierać małą kolekcję malarstwa międzywojennego. Poznałem podówczas artystę plastyka Stanisława Skolimowskiego, który studiował malarstwo w pracowni Nachta-Samborskiego, a który zostawił notatki z komentarzy mistrza. I Woźniak, i Skolimowski nie żyją, ale duchem są obecni na tej przepięknej wystawie.

Nacht zawsze zaciekał mnie swoimi twarzami-maskami-pustkami, chociaż martwe natury z tym samym zawsze motywem roślinnym równie sugestywnie „obnażają” rzeczywistość widzialną do tego egzystencjalnego stanu, który można określić jako zarazem zadziwienie istnieniem i przerażeniem jego (magiczną) nie-trwałością. Na wystawie znajdziemy kilka obrazów przedwojennych, ale większość

to dokonania późniejsze. Intuicyjnie widzę w tych głowach-niegłowach (maskach przemijania życia), w tych groteskowo-współczujących wizerunkach bez wizerunku, tych elementarnych portretach działanie podstawowej energii egzystencjalnej, która manifestować się może równie dobrze w najprostszej (!) stylistycznie poezji, co w psychologizującej fotografii pod warunkiem, że autor jest silną osobowością twórczą, zmagającą się ze swoimi traumami, wątpliwościami, euforiami, z widzialnym światem, wreszcie w sposób bezkompromisowy. Pomimo tego smutku istnienia (który i w bujności kwiatu jest schowany) oraz estetycznej deformacji malunki Nachta nie są w wymowie pesymistyczne – to ten rodzaj kreacji, który podnosi szczegół, motyw, kolorystyczną płamę, szkic do innej formy istnienia poza czasem i przestrzenią. To już tajemnica bytu.

Nacht należał do Komitetu Paryskiego, jak Cybis czy Czapski. Po wojnie był profesorem w Gdańsku–Sopocie i Warszawie. Patrząc na te i inne świetnie podane w katalogu reprodukcje, wspominając widziane wystawy, dostrzegam w niektórych pracach artysty, w tych studiach głów-bez-twarzy reminiscencje z postimpresjonistycznej twórczości portretowej Gustawa Gwozdeckiego (1880–1935), reprezentanta starszego pokolenia polskiej kolonii w Paryżu. A może myślę się. Inna refleksja to taka, że Nachtowi w tej komitywie kapistów-kolorystów chyba najbliższą byłoby do malarskich dokonań Józefa Czapskiego (specyficzny i jakby syntetyczny ekspresjonizm, pierwotność, szkicowość, płaskość powierzchni barwnych), to nawet widać i na tej pięknej wystawie.

Wielki, jedyny, tajemniczy Nacht-Samborski, niepijący przyjaciel Cybisa, z którym lubił się droczyć...

Oto mój wiersz o jednym obrazie z tej wystawy:

## Akt starej kobiety

Sztuka malowania nie jest apologią piękna  
ani brzydoty, jest jak sąd ostateczny,  
który w mgnieniu oka, w łasce iluminacji  
przemienia życie w znak wyższej rzeczywistości.

Ciałość jest nagością, ale nie obnażeniem,  
śmierć nie jest martwą naturą materii,  
sztuka jest miłością do nieobjętego życia,  
co wyrażone nigdy nie jest śmiertelne.

Ta postać, która pozostanie anonimowa  
na tym płótnie, które może być i całunem,  
jest kobietą, żoną, kochanką, matką,  
żywym szyfrem istnienia ostatecznego.

Kobieta jest naga, ale nieobnażona,  
jest fizyczna, ale niezdegradowana,  
jest śmiertelna, ale niepokonana,  
jest wizerunkiem ziemi i nieba.

Tutaj jestem i niczego się nie wstydzę,  
byłam i nie będę, jestem naga, ale obecna,  
nikt bez mojej zgody mnie nie dotknie.

STEFAN CHWIN

## Dziennik 2025 (2)

Środa, godzina 23.42. Kula u nogi

Dzisiaj przypomniały mi się pamiętne słowa Aleksandra Hercena: „Zachód nie podaje ręki nawet temu, kto ginie w jego obronie”.

Przed południem R., którego spotkałem na uniwersytecie, spokojnie przekonywał mnie, że Ameryka uważa Ukrainę za kulę u nogi i za każdą cenę chętnie pozbędzie się tego drażniącego ciężaru, który tylko niepotrzebnie utrudnia jej ułożenie lukratywnych stosunków z Rosją. Co będzie dalej? R. twierdzi, że Ameryka doprowadzi do gruntownej przebudowy NATO, to znaczy wypchnie z NATO wszystkie państwa środkowej Europy, które do roku 1989 na mocy traktatów z 1945 roku były własnością Rosji. Odświeżone NATO będzie się składało tylko z kilku państw zachodnich, skupionych wokół Francji i Niemiec. Reszta pozostanie bezpańska i wystawiona na cios. Tak oto zapali się dla Rosji zielone światło, że może ona spokojnie przystąpić do energicznej odbudowy imperium w tradycyjnych granicach pojałtańskich. Wcześniej wojska amerykańskie dyskretnie wycofują się z flanki wschodniej. Kolejne w dziejach rozgraniczenie stref wpływów między Wschodem a Zachodem korzystnie wpłynie na światową koniunkturę. Giełdy i rynki odetchną. Rurociągami popłynie nafta i gaz.

Czy to zresztą coś nowego? Dobry Boże, już w XIX wieku kraje środkowoeuropejskie były traktowane przez Zachód jako drażniąca przeszkoda w ułożeniu dobrych relacji z Rosją. Dzielna, bijąca się o wolność Polska dumnych, antyrosyjskich powstań była serdecznie podziwiana przez Francuzów, Niemców i Amerykanów, równocześnie uchodząc za wiecznie narywający wrzód Europy, który samą swoją obecnością niepotrzebnie utrudnia życie Zachodowi. R. zastanawia się, czy niebawem Europa nie przyłączy się do Ameryki, zostawiając Ukrainę na lodzie. Zdaniem R. jest to całkiem możliwe, chociaż na razie Europa z Ukrainą trzyma dość mocno. Jeśli wszystko tak pójdzie, jak przewiduje R., można się nie-

pokoić nie tylko o dalsze losy Litwy, Łotwy i Estonii, lecz i naszej Polski. Niewesoło też rysują się losy Zeleńskiego, który ku powszechnej uldze prawdopodobnie zginie w niewyjaśnionych okolicznościach. Bo gra na nerwach wszystkim, tak jak na nerwach grała wszystkim Polska w 1939 roku czy Czechosłowacja w 1938, aż potrzeba było transakcyjnego Chamberlaina, żeby na londyńskim lotnisku po powrocie z Monachium tryumfalnie ogłosił światu papierowy pokój, na który wszyscy czekali.

Nic bardziej przygnębiającego niż monotonna powtarzalność Historii, która oszukuje nas pozorami ruchu i zmiany, niezmiennie obiecując nadejście Epoki Odnowienia i Polepszenia, a wciąż powtarza obroty wiecznie tej samej, śmiertelnie nudnej maszynerii, nad którą podobno czuwa światło gwiazd.

Sobota, godzina 12.32. Prywatna wieczność

Mówi się, że totalitaryzmy i despotie nie mają żadnych szans na długie trwanie. Ileż razy ja to słyszałem! Że dyktatury pojawiają się, wybuchają i gasną. Że są w gruncie rzeczy chwilowymi ekscesami w historii świata, bo mają w sobie gen samozagłady. Niestety, jeśli przyjmiemy, że ludzka wieczność mierzy się długością pojedynczego ludzkiego życia, są one wieczne. Bo jeśli trwają przez całe jedno ludzkie życie, wypełniają je bez reszty. Pociecha, że może skończą się jutro albo pojutrze, jest dla umierających ofiar równie krzepiąca jak smak bułki ulepionej z powietrza.

Niedziela, godzina 23.12. Miłość

Dużo łatwiej pokochać bliźniego swego niż siebie samego.

Poniedziałek, godzina 23.11. Szacunek i tolerancja

Mniejszości należy kochać tylko wtedy, kiedy są bezsilne. Kiedy nabierają mocy, należy się ich bać.

Piątek, godzina 5.23. Klęska

Prawdziwą klęską pisarza nie jest to, że jego książka źle się sprzedaje czy że została zjechana przez krytyków, tylko to, że jego własna żona nie ma najmniejszej ochoty przeczytać jej w maszynopisie.

Piątek, godzina 10.23. Poszedłem tam!

– Nie idź tam! To niebezpieczne! A jak cię ktoś rozpozna? – mówi do mnie K. – Ale ja podchodzę do drzwi, kładę dłoń na klamce, bo słyszę w uszach zachętę Pana naszego: – Idź tam, synu! Idź koniecznie! Śpiesz się! Taka okazja nie trafia się często! Musisz zobaczyć ich przy robocie! Z bliska! Z bliźnięta!

Więc jadę tramwajem do Oliwy. Potem po schodach wchodzę do sali parafialnej na piętrze. Sala duża, na jakieś dwieście osób albo i więcej, sufit kasetonowy, rozłożysty, duże okna, krzesła, a na dwustu krzesłach siedzi czterdzieści dziewięć osób, w tym siedmiu mężczyzn – i ja. Średnia wieku – siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć. Głowy siwe albo farbowane.

Przed ołtarzem zaś, na mównicy, widzę księdza P., dobrze mi znanego ze Świętego Radia. Duży, w sutannie, z brzuchem. Siadam z tyłu, w pustym, ostatnim rzędzie, bo tam krzesła z dobrymi, wysokimi oparciami, a mnie akurat kręgosłup pobolewa, ale ksiądz P. już mnie wypatrzył, już palcem swoim wskazującym kiwa do mnie: – Prosimy bliżej, prosimy. No, nie musimy się bać. Po co tak siedzieć osobno z tyłu? Przecież wszyscy jesteśmy jedną rodziną. – Wstaję, przechodzę do przodu, siadam między kobietami. Wszystkie panie z koła Świętego Radia – starowinki, siwawe, farbowane, skulone. Pozdrawiają mnie szeptem. Szeptem odpowiadam na ich pozdrowienia.

– Pomódlmy się – wzywa ksiądz P. spod krzyża, przy którym stoi – Powstańmy! – Wstajemy, modlitwa głośna do Matki Boskiej rozbrzmiewa pięknie w sali parafialnej. A w pierwszym rzędzie – kogóż to ja widzę? – siedzi wyprostowany, znany prawicowy polityk J., którego banery wyborcze porozwieszane są po całym Gdańsku, a obok niego – jego prawicowy kumpel W. Przyszli do sali parafialnej i usiedli z przodu. Czekają na swoją kolej.

Modlitwa się kończy, siadamy. – Moi kochani – mówi ksiądz P. – Żadnego nagrywania na komórki. My tu chcemy się czuć swobodnie, bo jesteśmy wszyscy w jednej rodzinie, prawda?

Pięknie! A więc zaczyna się od zakazu nagrywania. W tej chwili żałuję, że nie wziąłem dyktafonu, bo zapowiada się ciekawie. Ksiądz P. zaczyna mówić, ale mówi zupełnie innym głosem niż codziennie w Świętym Radiu. Mocno, stanowczo, twardo, z oburzeniem, palec wskazujący unosi co chwila ku niebu. – Na moment przerywa mu siwa pani poseł J., która wstaje z krzesła, podchodzi do mikrofonu

ustawionego na przedzie i skarży się, że kół radiowych na Pomorzu tyle, co kot napłakał. Co innego na Podkarpaciu, gdzie kół ci dostatek. O, dziwne to wszystko, dziwne, spodziewałem się ja tonów triumfalnych, a tu słyszę narzekania na bierność katolików gdańskich. Że nie są aktywni, że ich nigdzie nie widać.

Ksiądz P. prosi o zabranie głosu polityka J. Ten wstaje, przygląda włosy, podchodzi do mikrofonu, brunet, w czarnym garniturze, pod krawatem, w okularach z czarnymi oprawkami. – Proszę państwa, te wybory najbliższe ważne są bardzo dla Polski. Tusk to dyktator, który chce wpuścić do Polski muzułmańskich migrantów. Mówią, że to są kobiety z dziećmi, ale to są naprawdę mężczyźni czterdziestoletni. Mocni i silni. I wszyscy – sami pewnie widzieliście w telewizji – z drogimi komórkami. Tacy, co to gwałcą we Francji i Szwecji. Tam z domu strach po prostu wyjść. Czy chcecie – zwraca się do siwych starowinek, które w liczbie czterdziestu paru siedzą przed nim w sali parafialnej na dwieście osób – żeby tacy mężczyźni mieszkali koło waszego domu? Na waszym osiedlu? Na waszej ulicy? Czy chcecie takich spotykać w waszym sklepie osiedlowym? Na klatce schodowej? W windzie? Musimy zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić. I my, ludzie zjednoczonej prawicy, zrobimy wszystko, by do tego nie dopuścić. Trzeba iść na wybory. I dokonać mądrego wyboru.

Przy każdym słowie „muzułmanie” dreszcz przerażenia przechodzi po plecach starowinek. Drżą! I kręcą głową, że takie straszne rzeczy dzieją się na bożym świecie. A ksiądz P. dołącza do polityka J., podnosi głos, w prorocze tony uderza. – Nasz Kościół święty jest atakowany. Dzieją się rzeczy niesłychane! „Gazeta...” – jak ona tam? – „Wybiórcza” wzywa do zamordowania ojca Tadeusza! Tak, kochani! Słyszeliście? Wzywa! Żeby zabić! I to kogo? Do sądu ją podali, ale sąd sprawę umorzył z powodu – nie uwierzycie! – niskiej szkodliwości czynu! Ładna mi niska szkodliwość! Zamordować ojca Tadeusza! Ale tak to dziś jest. Wrogowie atakują ze wszystkich stron Kościół i Jana Pawła III! Kiedyś chcieli zamordować naszego Ojca Świętego z pistoletu, a teraz mordują go słowami. Jest tylko jedno wyjście: trzeba wiedzieć, na kogo głosować! A najgorsze są te nowe partie, które się mnożą po to, by wyborców odciągnąć od zjednoczonej prawicy! Małe a niebezpieczne! Trzeba mądrze głosować. Na takich ludzi, do których można mieć zaufanie. I nie na wszystkich z prawicy! Bo teraz zgłaszają się do naszego radia różni, żeby wystąpić przed wyborami. Ale nie ma tak dobrze! O, nie! My mamy dokładne listy! Bo jak taki przychodzi do radia i chce wystą-

pić, to my sprawdzamy, czy on był na pielgrzymce na Jasną Górę! Bo są tacy, co wcale nie chodzą na pielgrzymki, a przed wyborami po prośbie do naszego radia! Żeby wystąpić na antenie! Ale my mamy wszystkich na listach! Dokładnie! I tylko takich dopuszczamy do mikrofonu, co chodzą na pielgrzymki! Bo inni to są wilki w owczej skórze! Tylko udają katolików, żeby się dostać do radia!

– Proszę księdza – do mikrofonu podchodzi babinka w szarej sukience – ale jak my mamy skreślać! Bo my nie wiemy. Ksiądz nam powie, jak skreślać.

Ksiądz P. podnosi głos, starannie wymawiając każde słowo, żeby wszyscy dobrze usłyszeli. – Nie będzie książeczki do głosowania, bo starszym ludziom było trudno z odwracaniem kartek. Będzie płachta z nazwiskami. I krzyżyk stawiać należy tylko przy takich ludziach, co żyją w zgodzie z naszą wiarą. A głosujemy prosto. Na karcie zaznaczamy – tak! To jest bardzo prosto, tylko trzeba pójść na wybory.

I wskazujący palec księdza P. mocno pokazuje, jak należy stawiać krzyżyk w kwadraciku.

Siwy mężczyzna, co podchodzi właśnie do mikrofonu, prosi, żeby ksiądz P. przesłał do Kół Przyjaciół Świętego Radia dokładną instrukcję Episkopatu Polski w sprawie głosowania. Bo to bardzo ludziom starszym pomoże. On te materiały – zapewnia żarliwie – sam osobiście odbije na ksero i będzie rozdawać, żeby wszyscy wiedzieli, jak zagłosować. – Ktoś chce jeszcze coś powiedzieć, parę osób podchodzi do mikrofonu, ale ksiądz P. zdecydowanie przecina: – Tylko, proszę, same pytania! Żadnych dłuższych wypowiedzi! Bo dyscyplina – uśmiecha się szeroko – musi u nas być, prawda!

Kiedy gadanina się wypala, przechodzimy do modlitwy, żeby po bożemu spotkanie zakończyć. Wstaję z krzesła, ruszam do wyjścia. A tu ksiądz P. woła w moją stronę: – Prosimy jeszcze nie wychodzić! Zrobimy sobie wszyscy zdjęcie na tle krzyża świętego. Wszyscy razem! O, tutaj! Przed ołtarzem!

Zdjęcie? Niby – ja z nimi wszystkimi? O, co to, to nie! Wychodzę z sali krokiem pełnym powagi, widząc, jak się czterdzieści starowinek ustawia równo do zdjęcia na tle ołtarza z księdzem P. i politykiem J. Schodzę po schodach, wychodzę na dziedziniec kurii biskupiej. A tam na dziedzińcu wzdłuż betonowego murku rosną czerwone róże – zachwycające. Aż się zatrzymuję – takie piękne. I naraz słyszę obok siebie męski głos, trochę skrzypiący, słodkawy: – Pan był tam, na spotkaniu? – To siwy starszy pan, dość elegancki, w siwym garniturku, zatrzymuje się przy mnie. –

No, byłem. – odpowiadam uprzejmie. – Widzi pan – dodaję po chwili – jakie piękne róże stworzył nasz Pan Bóg? – Starszy pan się obrusza. – Nie tylko róże stworzył, proszę pana, ale i cały świat nasz piękny...

Sobota, godzina 13.43. K. pokazuje wszystkim zdjęcie Pisarza

K. miała dzisiaj na Długiej piękny odczyt o pobycie Miłosza w Gdańsku. Przygotowała slajdy, cały pokaz, z objaśnieniami. Na jednym ze slajdów widzimy scenę z dużego spotkania Miłosza w Nadbałtyckim Centrum Kultury. Wśród publiczności stoi pisarz Zbigniew Żakiewicz, który umarł parę lat temu. W sali przy ulicy Długiej słucha tego, co K. mówi o tamtym wydarzeniu, około trzydziestu osób, w większości są to osoby, które znały Żakiewicza osobiście bądź widziały go wiele razy w różnych miejscach publicznych. K. wyciągniętą ręką pokazuje postać pisarza na ekranie, na którym wyświetla prezentację: – A pamiętacie państwo, kto to jest? – Odpowiada jej cisza. – No – naciska K. uprzejmie. – Pamiętacie? – Milczenie. Nikt nie rozpoznaje pisarza na zdjęciu, chociaż zdjęcie jest duże i wyraźne. Wszyscy mają poczucie, że znają tego mężczyznę. Nikt już nie pamięta, jak wyglądał, chociaż od dnia, w którym umarł, minęło tylko parę lat.

Środa, godzina 10.21. Przypomniała mi się nasza rozmowa  
po kanonizacji Ulmów w Markowej

– Czy ty widzisz – pytam K. po powrocie z poczty przy ulicy Nałkowskiej – co się wyprawia wokół tej sprawy Ulmów? Przecież to nie była żadna zbrodnia niemiecka, tylko wspólna zbrodnia polsko-niemiecka, ale wszyscy biorą wodę w usta! Przecież nikt inny, tylko Polak, znany z imienia i nazwiska Włodzimierz Leś, wezwał morderców, którzy zabili rodzinę Ulmów! To on, nikt inny, ściągnął do Markowej Niemców, żeby rozprawili się z Ulmami. No to powiedz, gdy ktoś sprowadza morderców, jest współmordercą, czy nie jest? W Markowej to Polak rękami Niemców zamordował rodzinę Ulmów. Tak było. Ale wszyscy bez żadnych skrupułów przyrządzają z biednych Ulmów stosowną, polityczno-religijną potrawę, żeby pasowała do aktualnych okoliczności.

– Za bardzo się tym przejmujesz – mówi spokojnie K. – Tak jest na całym świecie. Od tysięcy lat historyczne wydarzenia przerabia się na stosowne potrawy polityczne. Myślisz, że kiedyś będzie inaczej?

- No, wiesz! Ale takie fałszywe gadanie obraża mnie osobiście!
- Przesadzasz. Jak myślisz, ilu Polaków przejmuje się tym, jak to tam było z tymi Ulmami naprawdę?
- Ale co mnie to obchodzi? Dlaczego ja mam brać pod uwagę to, że wszystkim wisi, jak było naprawdę?
- Naprawdę, naprawdę... Na co komu prawda, która osłabia? Wszyscy potrzebują prawdy, która wzmacnia. To chyba zrozumiała. Nie uważasz, że mądry naród powinien myśleć o sobie, że jest najlepszy i najczystszy w świecie, nieważne jak było naprawdę? Bo jeśli wierzysz mocno, że należysz do narodu najlepszego i najczystszego w świecie, to masz większą siłę przebicia. I to się naprawdę liczy. Nie ma co się dziwić, że wszystko zwała się na Niemców. To bardzo poprawia samopoczucie. I wzmacnia siłę przebicia.
- No, ale opierać swoją siłę na nieprawdzie?
- Coś ty się tak przyczepił do tej „nieprawdy”? Widzisz, można dać taką definicję prawdy, która wszystko załatwi.
- Niby jaką?
- Ano taką: prawdą rzeczywiście prawdziwą jest tylko taka prawda, która ludziom pomaga żyć. Inne prawdy są papierowe. Czy ty słyszałeś, żeby ktokolwiek najadł się papierem?
- To co? Mam po prostu milczeć, jak oni takie rzeczy wygadują?
- A skądże! Pisz sobie w swoim dzienniku, co chcesz. I tak nie wpłynie to na nic.
- Ale przynajmniej będę miał czyste sumienie.
- O, jakie podniosłe słowa! Ach! Ach! Widzisz, mieć czyste sumienie to jest luksus, na który tylko niewielu ludzi może sobie pozwolić. Większość wie, że najważniejsze jest jakoś przeżyć na Ziemi. A do tego potrzebny jest motor wewnętrzny. I to mocny. Co ci po jakiejś prawdzie, jeśli ona osłabia motor wewnętrzny?
- Ja myślę, że prawda może być motorem wewnętrznym. Przecież papież powiedział, że prawda nas wyzwoli.
- To ty tak uważasz. A ludzie wiedzą swoje. Poza tym papież nie miał na myśli prawdy w ogóle, tylko Prawdę Organizacji, do której należał.
- A wiesz, co ja dzisiaj usłyszałem w Świętym Radiu? Ojciec naczelny wezwał, żeby Polacy pościli jeden dzień w tygodniu o chlebie i wodzie, to wtedy Matka Boska osobiście pomoże prawicy wygrać wybory w Polsce! On coś takiego powie-

dział bez zmruczenia oka! Więcej, on jeszcze dodał, że w kościołach będzie wyłożona lista, na którą mogą się wpisywać osoby poszcząca w takiej intencji!

– No, widzisz, to jest mądry gość, który wie, co robi. On dobrze wyczuwa, gdzie leży prawda prawdziwa.

– A wiesz... Powiedz mi, czy rodzice, którzy wystawiają własne dzieci na śmiertelne niebezpieczeństwo, w świetle wiary katolickiej dopuszczają się grzechu czy nie? Bo oni to zrobili! A ich się przedstawia jako wzór rodziny katolickiej. Ładny mi wzór! Przecież oni swoim zachowaniem narazili własne dzieci na straszną śmierć. Tak jakby je sami wepchnęli pod nadjeżdżający tramwaj! Dlaczego o tym się nie mówi? Czy oni nie zdawali sobie sprawy z tego, co robią? A ta matka była jeszcze na dodatek w ciąży, narażała więc na śmierć własne dziecko nienarodzone, tak jakby wystawiała je do aborcji, której dokonali Niemcy, zabijając to dziecko w jej brzuchu!

– Oho, ho! Takiś to odważny? Ty lepiej takich sformułowań unikaj. Więcej umiarkowania. Chociaż to, co mówisz, wcale nie jest do końca takie głupie.

– I jeszcze jedno. Popatrz, co ja znalazłem wczoraj w naszych papierach. To jest broszura Akcji Katolickiej, napisana w latach trzydziestych przez jakiegoś Józefa Młodowiejskiego. I wiesz, co jest w tej broszurze napisane? Że Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici” został potępiony za bezbożnictwo i bolszewizm przez samego prymasa Polski Augusta Hlonda i przez kilku polskich biskupów jako dzieło szatana, masonerii i komunistów. Katolikom nie było wolno do niego należeć. Kościół zakazywał. Ta broszura, zobacz, ma zresztą ładny tytuł: „Wici” – marksizm wiejski.

– Ale co ma do sprawy Ulmów?

– Jak to co? Do tej organizacji „Wici” należał „wzorowy katolik” Józef Ulm!

– Poważnie?

– Najzupełniej. Ulmowie ratowali Żydów nie dlatego, że byli „zwykłą tradycyjną rodziną katolicką”, jak to się przedstawia, tylko właśnie dlatego, że nie byli taką rodziną. Bo Józef Ulm prawdziwie nie cierpiał katolicyzmu endecko-oenerowskiego, któremu była wierna duża część tradycyjnych rodzin katolickich na polskiej wsi. A „Wici” właśnie ten endecko-oenerowski katolicyzm, mocno zalatujący antysemityzmem, stanowczo zwalczały! Dlatego – jak tu jest napisane – polscy księża ostrzegali polskich chłopów przed należeniem do tego związku. Nie posyłajcie swoich dzieci – wzywali z ambon – do wiciowego uniwersytetu ludowego, bo to grozi antyreligijną demoralizacją młodzieży! A dzisiaj co o tym? Cicho sza! I pod dywan!

Sobota, godzina 4.54. Była u mnie pani Chauchat

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku na moim seminarium magisterskim zjawiała się dwudziestojednoletnia Rosjanka z Moskwy. Ładna była. Lekko skośne oczy, wypukłe kości policzkowe, mleczna cera, oczy piwne, włosy związane na karku w ciężki, luźny węzeł. Niespokojna, szczupła, zręczna, gibka. Wypisz wymaluj – pani Chauchat z *Czarodziejskiej góry*. Dlaczego zjawiała się akurat u mnie, próbowałem się domyślać, ale że przychodziły mi do głowy różne wyjaśnienia tej kwestii mocno niepokojące, szybko porzuciłem rozważania na ten temat. Kiedy ją zapytałem, co planuje, odpowiedziała zupełnie niezłą polszczyzną z pięknym moskiewskim akcentem, że chce napisać u mnie pracę magisterską. A o czym? A o Klossie i Stirlitzu. Taką bardziej porównawczą. Tu literatura polska, tu literatura rosyjska. Podobieństwa i różnice. Powiedziałem, że Kloss i Stirlitz to trochę za mało, bo gdyby to było tylko o Klossie i Stirlitzu, to by mnie – przyznam – znudziło. Więc dorzuciłem jeszcze Konrada Wallenroda. – Wallenrod? – zdziwiła się – Okay, czemu nie. – Pięknie się nam zatem ta trójca polsko-rosyjsko-litewsko-hitlerowska w naszej rozmowie zapoznawczej ułożyła. Kloss, Stirlitz, Wallenrod. Prawdziwie romantyczna.

Kto to był Kloss, wiedzą wszyscy. Kto to był Stirlitz, wiedzą pewnie niektórzy. Grał go przystojniak sowiecki o wyglądzie melancholijnego ubeka, amant kina moskiewskiego, Wiaczesław Tichonow, w słynnym serialu z 1973 roku, opartym na powieści Juliana Siemionowa. Moja Rosjanka chciała pisać właśnie o tej powieści oraz o słynnym cyklu powieściowym Zbigniewa Safjana *Stawka większa niż życie*.

Teraz parę niezbędnych informacji. Standartenführer Otto von Stirlitz z powieści Siemionowa i serialu telewizyjnego to Maksym Maksymowicz Issajew, super-sprawny ideowy komunista, który jako tajny agent sowieckich służb specjalnych przenika głęboko w szeregi SS, aż do samego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. A po co? A po to, by na początku 1945 roku przyspieszyć koniec wrednej wojny światowej, zachęcając kogoś z przywódców walącej się III Rzeszy do podpisania z Rosją sowiecką natychmiastowej kapitulacji, żeby tylko nie doszło do rzeczy najgorszej: pojednania Niemiec ze „zgniłym Zachodem” przeciw Sowietom. Issajew robi wszystko, by w finale wojny nie doszło do polityczno-wojskowego sojuszu Niemców z Amerykanami.

Niestety, moja Rosjanka, świetnie znająca powieść Siemionowa i telewizyjny serial, została przeze mnie zmuszona do bliższego zapoznania się z romantycznym po-

ematem Mickiewicza, wspaniałym arcydziełem polskiej literatury, które znała tylko ze słyszenia, i wtedy zaczęły się kłopoty. Przez całe jedno seminarium usiłowałem jej cierpliwie wyjaśnić, na czym polega tragizm Konrada Wallenroda. Patrzyła na mnie z zainteresowaniem, słuchała, kiwała głową, ale wyraźnie bez przekonania. Wyglądało na to, że w zestawieniu ze Stirlitzem uważa Wallenroda po prostu za żalosego mięczaka. Potakiwała, pewnie żebym uwierzył w skuteczność moich wywodów, ale zupełnie nie mogła zrozumieć, o co tak naprawdę chodziło temu Wallenrodowi, że się tak okropnie moralnie męczył. W końcu wykończył tych hitlerowców – to znaczy Krzyżaków – czy nie? – takie pytanie odczytałem w jej wielkoruskich oczach. Cóż, musiałem przyznać, że ich jednak wykończył. I to nawet skutecznie. – Więc o co właściwie chodzi? – zdawała się pytać swoim spojrzeniem piękna moskwianka.

Powieść Juliana Siemionowa – i serial z Tichonowem – były przesycone podziwem dla zupełnego braku skrupułów sowieckiego agenta wobec nazistowskich Niemców. Kompletna nieobecność kategorii tragizmu w jego psychologicznym portrecie była uderzająca. Sprawa walki o szlachetny cel nikczemnymi, podstępными metodami, tak ważna dla naszego Mickiewicza, udręczający Wallenroda kompleks noszenia obcego munduru we wrogim środowisku, w ogóle się nie pojawiała. Przeciwnie: Stirlitz traktował czarny mundur SS po prostu jako nader skuteczne narzędzie do wykańczania Niemców i nic ponadto. Żadnych udręk moralno-spiskowych w związku z tym nie przeżywał. Dla mojej Rosjanki, opisany przez Mickiewicza dramat spiskowca-chrześcijanina – ściślej litewsko-niemieckiego katolika, który dręczy się rozdarciem między normami Ewangelii a koniecznością zabijania podłymi metodami – był zupełnie niezrozumiały, może także dlatego, że ona sama nie była chrześcijanką, nawet w odmianie prawosławnej.

*Konrad Wallenrod* jako opowieść o żonatym księdzu niemieckim litewskiego pochodzenia, który dręczy się moralnie tym, że nie może walczyć ze Szwabami jak rycerz twarzą w twarz, tylko musi wstrętными, podstępными metodami zabijać niemieckich wrogów swojej ojczyzny, zadając im podłe ciosy w plecy – wydawała jej się mocno dziwna. Ona wiedziała, że niemieckie gady należało po prostu skutecznie wykończyć wszelkimi dostępnymi sposobami i tyle. Po prostu zadusić i zadeptać. A ze Stirlitza była po prostu dumna, że potrafił te gady powykańczać nader bezwzględnie jako profesjonalista do zabijania, więc miał powody do prawdziwej, zawodowej satysfakcji, co dla niej było oczywiste.

Pracy magisterskiej, którą planowała, nie napisała, chociaż przedstawiła dwa rozdziały, niestety, głównie o powieści Siemionowa. Niestety, bo byłem bardzo ciekaw, co napisze o Wallenrodzie. A potem nagle zniknęła. Któregoś dnia po prostu nie zjawiła się na seminarium. Co się z nią stało, nie wiem. Ślad wszelki zaginęła. Pozostawiła po sobie niepokojącą aurę wschodniego wspomnienia, jak piękna pani Chauchat w sercu Hansa Castorpa.

Sobota, godzina 12.46. Dziennik śląski

O godzinie 7.32 – e-mail. Andrzej Z., nasz przyjaciel z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, pisze, że dzisiaj o północy trzy województwa południowej Polski – dolnośląskie, opolskie i katowickie – ogłosiły niepodległość! – Boże drogi... – wzdycha K., siedząc naprzeciwko telewizora z pilotem w ręku. W wiadomościach telewizyjnych właśnie słyszymy, że tłumy Ślązaków wyszły na ulice ze śląskimi sztandarami, a w Katowicach ukonstytuował się... rząd narodowy Śląska. Tak! – ni mniej, ni więcej, tylko rząd narodowy! Cały Śląsk organizuje własną administrację, zupełnie niezależną od Warszawy... W radiu TOK FM mówią, że dzisiaj nad ranem ogłoszono, że powstała wolna, niezależna i samorządna Republika Ludowa Śląska.

Od razu włączyliśmy CNN, ale najświeższe hedlajny wszystko potwierdzają! I jeszcze ta wiadomość! Od samego rana artyleria polska, którą ściągnięto z centralnej Polski, ostrzeliwuje już kilka zbuntowanych miast śląskich, bo Ślązacy, broniący swojej kultury i języka, nie chcą się podporządkować poleceniom z Warszawy, która – rzecz jasna – żadnej Republiki Ludowej Śląska nie uznaje, bo uznać nie może i wzywa kategorycznie wszystkich, którzy chcą Śląsk oderwać od Polski, by podporządkowali się rządowi i sejmowi RP...

Niestety, dalszej części *Dziennika śląskiego* nie będzie. A opisałem w nim dokładnie, ze szczegółami, co by się stało, gdyby pewnego dnia Śląsk odłączył się od Polski i ogłosił niepodległość – tak jak Donbas od Ukrainy. Jak w takiej sytuacji zachowywaliby się Polacy, polskie państwo, państwa sąsiednie, Unia. A także, jak w takiej sytuacji godzina po godzinie, dzień po dniu zachowywalibyśmy się my sami osobiście – ja i K. Tymczasem – szlaban! K. stanowczo stwierdziła: – Jeśli w swoim dzienniku zostawisz ten fragment o Śląsku, to ja tego dziennika nie wydám. – Dlaczego? – zapytałem naiwnie. – W końcu korzystając z praw wyobraźni literackiej, przedstawiam tylko wydarzenia, które mogą się zdarzyć, ale wcale nie

muszą. I w tych możliwych wydarzeniach umieszczam nas. Pewną kobietę i pewnego mężczyznę z Gdańska. Wielu pisarzy robi podobne rzeczy. – Nic z tego, mój drogi. Ja tego nie wydaję, bo to może postawić mnie jako wydawcę i ciebie jako autora w złym świetle.

Cóż, wygląda na to, że *Dziennik śląski*, który właśnie napisałem, pozostanie w rękopisie. Szus – i do szuflady! A na jak długo, Bóg jeden wie. Może kiedyś przeczytam go komuś w jakimś bezpiecznym miejscu, najzupełniej prywatnie, w dowód zaufania... Albo po latach ktoś odnajdzie te zapisane kartki w jakimś archiwum i przeczyta je sobie sam... Ale na razie, nie ma rady – cicho, sza... Szlaban – i koniec.

MAREK KĘDZIERSKI

## Marginalia (9)

Wariacje na marginesie 25 kwietnia 2025 roku

Dwudziesty piąty dzień kwietnia, to znaczy, niezmiennie, bez niespodzianek, czternaście godzin trzydzieści pięć minut dnia, a zatem niemal dziewięć i pół godziny nocy, teraz nie będę wypowiadał się o proporcjach. Wczoraj, w dzień Marka, godzinę przed zachodem słońca, aby jeszcze za dnia zjechać osiemset metrów niżej, a przynajmniej pierwszych sześćset, nie gubiąc się bezradnie w górnych partiach na serpentynach, nie ślepnąc na najostrzejszych wirażach, kiedy światła samotnego białego wehikułu strzelają w ciemną przestrzeń, w głęboką noc, której dominacji (na tych terenach) w niczym nie naruszają nawet najsilniejsze reflektory, jeżeli już, to wykażą mi moją (i konstruktorów auta) słabość – na zakręcie pod kątem trzystu pięćdziesięciu dziewięciu stopni niezdolne oświetlić choćby najmniejszego skrawka drogi bezpośrednio przed tak zwaną maską, auta, maszyny, rzecz jasna, nie mojej, z racji geometrii, bo ona o tym z góry przesądza, więc żeby nie pogubić się w górnych partiach, a potem niżej, i jeszcze za dnia przebić się przynajmniej w owych górnych partiach przez jeszcze mało skalaną naturę, przede wszystkim przez głęboki wąwóz Bevery, której wody, choć teraz pokazuje typowe oblicze niepozornej rzeczki, już po dwóch deszczowych dniach, czterdziestu ośmiu godzinach deszczu lub śniegu nieco wyżej na szczytach Alp, na ich południowo-zachodnim cyplu, czyli dziesięć kilometrów na północ od Moulinet, bo tam zaczyna się Vallée des Merveilles, Dolina Cudów, w linii prostej, z lotu ptaka, wzbierają gwałtownie i Bevera potrafi przeobrazić się, jeżeli nie z chwili na chwilę, to w ciągu kilku godzin, dosłownie, w monstrum, uosobienie gwałtu na ludziach, a może i naturze.

Więc ruszam, wczoraj, jeszcze za dnia, chcąc za dnia jeszcze przebrnąć przez serpentyny, określane na znakach ostrzegawczych mianem *lacets*, czyli sznurowadeł,

niecałą godzinę przed zmierzchem opuszczam moją, od niedawna, w pewnym sensie, miejscowość Moulinet, położoną pięćdziesiąt pięć kilometrów od rue Mozart, od niezbyt dawna mojego domu w Nicei, ponieważ uwielbiany przeze mnie alternatywny szlak, omijający od zachodu pionową ścianę u pleców tak zwanej lazurowej metropolii, jak to różne źródła pieszczotliwie określają główne miasto w pobliżu międzynarodowego lotniska Nice Côte d'Azur, od dawna, wspaniała, piękna i zawsze pusta trasa z Sospel do Nicei przez Col de Braus i l'Escarène w połowie marca została zamknięta, z powodu zwałenia się na nią sporego fragmentu ściany skalnej, zablokowana głazami, które osunęły się nocą, na szczęście nikogo nie zabijając, co oznacza, że teraz całymi miesiącami, jeśli nie przez całe lata, będę musiał jeździć z Moulinet do Nicei, i rzecz jasna w przeciwnym kierunku, omijając wspomnianą ścianę u pleców metropolii po stronie wschodniej, krętą i wąską szosą z Sospel do Menton, uczęszczaną i rozjeżdżaną z rozjuszeniem przez wielu kierowców z nadmiernym temperamentem, którzy wprost uwielbiają dosłownie siedzieć mi na tak zwanym zderzaku, zwłaszcza tych z dużą dawką testosteronu, w szczególności szoferów wypasionych wehikułów z rejestracją księstwa Monaco, choć wśród agresywnych zdarzają się i kobiety, z estrogenem. Na szczęście, niejako na osuszenie łez, przejazd z Moulinet do Nicei zachodnim szlakiem, daje możliwość słuchania radia *Italia live*, na żywo. Więc wczoraj, w ów feralny piątek, przez bez mała godzinę słucham na wirażach, tudzież na w miarę prostych odcinkach szosy między nimi, Radio Uno, choć tych pierwszych, wirażów, jest tak zwana znakomita większość, słucham audycji o tym, co określa się wyzwoleniem, o wyzwoleniu Italii, które nastąpiło równie osiemdziesiąt lat temu, kiedy to, jak słyszę na trasie Sospel – Menton, Italia demokratyczna wyzwolona została od Italii faszystowskiej, przez partyzantów, z uprzednim udziałem sił alianckich, które wcześniej odbijały na południu jedną miejscowość po drugiej. Na kilku wirażach słyszę o wojskach alianckich, które wyzwalały od południa, na jednym z nich wspomniano o formacjach polskich, które zwyciężyły pod Monte Casino, a potem wyzwoliły Asconę. Italia, kolejny raz na wirażu, raz do siebie, raz od siebie, myślę, słuchając archiwalnego nagrania z 25 kwietnia 1945 roku, słyszę, mijając miejscowość Monti, dociera do mnie, że równie osiemdziesiąt lat wcześniej ukształtowała się Italia wyzwolona i że odtąd, od tego dnia, i od tamtej nocy, wszyscy kolaboranci i wszystkie oddziały wojskowe pod komendą faszystowską (a takich było wiele) staną się jeńcami wo-

jennymi. *Buona riuscita!* Życzę sukcesu, pomyślałem, myśląc o bardzo skomplikowanym pierwszym powojennym dziesięcioleciu w kraju, którego niektóre części jeszcze przez całe owo pierwsze dziesięciolecie znajdowały się pod wojskowym zarządzeniem tak zwanych aliantów. Myślę choćby o okolicach Triestu, które najpierw „wyzwoliła” partyzantka Josefa Tito.

W miarę jak zbliżam się do wybrzeża i gęstnieje mrok, rwie się także sygnał radia Italia. Podniosły ton nagrań archiwalnych wprawia mnie w uroczyste nastrój, udziela mi się on do tego stopnia, że w pamięci zaczynają majaczyć upiory, z pamięci niewoljonalnej, czy też niewoluntarnej, czyli mimowolnej, bezwolnie, że tak powiem, pukają teraz w moją biedną czaszkę dawni mistrzowie, ich słowa, z pamięci wydobywają się fragmenty poetyckie, których najwidoczniej musiałem nauczyć się na pamięć, dziwne to, w odległej przeszłości, jeszcze w latach nauki. Ponieważ radio Italia zamieniło się teraz w skrzywienie w eterze, już nawet nie słucham pół na pół tych trzasków, wyłączam radio i obracam w ustach zapamiętane, jeszcze w czasach licealno-universyteckich, strofy i skrawki poetyckie, przeważnie w oryginale. Baudelaire, Mallarmé, Péguy, ale i na przykład Nézval czy Puszkina – kogo tam nie ma? Przed wjazdem na autostradę włącza się nagle w uszach, chyba moich, cała strofa: *Do not go gentle into that good night, Old age should burn and rave at close of day; Rage, rage against the dying of the light.* Słów tych słuchałem kiedyś w archiwalnym nagraniu BBC, recytował je sam Dylan Thomas. Mówię sobie: W tę dobrą noc nie wchodzić jak baranek, starość powinna palić i szaleć u kresu dnia, wściekaj się, wściekaj na ginące światło. A może już śmiertelny mrok. I zaraz potem zmiana epoki. *Trecento*. W *Czyśćcu* boskie światło słońca oświetla drogę. Człowiek odnalazł w sobie boski płomień, który poprowadzi go do Boga.

Po wyjściu z piekła Poeta uświadamia sobie swój egoizm, a zatem to, co utrzymywało go w mroku nieświadomości. Jest więc gotowy oczyścić się. Duchy *Czyśćca* żyją jednak także w nocy. Proces oczyszczania jest w istocie szczególnie długi i trudny. Nadal jednak konieczne jest wsparcie rozumu. W dążeniu do boskości nie ma statycznych przerw, jest ona ciągłym poszukiwaniem, stałym pogłębianiem duszy, a temu człowiek tylko z największym wysiłkiem jest w stanie stawić czoło. Musi nadal wspomagać się tą oświeconą siłą umysłu, która z biegiem czasu coraz mniej jest przewodnikiem, coraz bardziej towarzyszem. Dante, a więc i Ludzkość, w rzeczywistości rozwija

w sobie inną siłę – siłę bezwarunkowej Miłości. Ona to w najczystszej formie objawia się w figurze świetlistej Beatrycze na szczycie czyścicowej góry.

Po wejściu do miasta Dite, w szóstym kręgu piekielnej jamy, Dante i Wergiliusz stają twarzą w twarz z heretykami, którzy pokutują tu za swoją długoletnią rebelię przeciwko prawu boskiemu. Wśród tychże wyróżnia się dumna postać Farinaty degli Uberti. Florencki gibelin, zwycięzca bitwy pod Montaperti, w 1260 roku, rozmawia teraz z Poetą o jego przyszłym wygnaniu.

Dante. No dobrze. Wróćmy do ostatniego tygodnia kwietnia. Benito Mussolini, który pozostał przy życiu zaledwie kilka dni po oficjalnym wyzwoleniu Włoch, potrafił recytować z pamięci obszerne fragmenty, jeśli nie całe *Pieśni* Dantego. Galeazzo Ciano słyszał ponoć kilkakrotnie, jak jego teść recytował właśnie tę pieśń trzeciej księgi, dziesiątą, *O Tosco che per la città del foco vivo ten vai così parlando onesto*. Nie wiem, czy to prawda. Il Duce zgotował niejedno piekło na ziemi. 25 kwietnia 1945 roku ruszył z Mediolanu, wraz z grupą faszystowskich oficerów, wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Como, w sadach przekwitły już, tej wiosny szczególnie pięknie, drzewa owocowe, ruszył w kierunku Szwajcarii, wschodni brzeg był ponoć bezpieczniejszy, mniej partyzantów, relatywnie mówiąc, dziś to potwierdzają źródła, chciał, i jego ludzie chcieli, i niemieckie kolumny chciały, udać się, że tak powiem, docelowo, do Niemiec, w drodze przez Austrię, niemiecką oczywiście, ale niezupełnie, to znaczy, jeżeli nie będzie za późno, a było za późno, 20 kwietnia Stalin, nie pytając aliantów, desygnował Karla Rennera na szefa rządu tymczasowego. Austria nie była już niemiecka, na pewien czas zostanie rosyjska, więc jednak do Szwajcarii. Mussolini wmieszał się w szeregi jednego z uciekających oddziałów niemieckich sił przeciwlotniczych.

Kiedy partyzanci pięćdziesiątej drugiej brygady Garibaldiego w miejscowości Dongo o godzinie szóstej trzydzieści zatrzymali jeden z oddziałów, pozwolili przeciwlotnikom kontynuować odwrót pod warunkiem wydania Włochów. Przywódcę Italii w niemieckiej ciężarówce, w niemieckim mundurze podoficera i w niemieckim hełmie rozpoznał partyzant Giuseppe Negri, znany jako Blondyn. *Biondino*. Mussoliniego aresztowano, zatrzymano, z polecenia zastępcy komisarza Urbano Lazzaro, o pseudonimie Bill. Tyle nazwisk i nazw własnych zachowanych w tysią-

cach dokumentów, pełnych nazwisk i nazw własnych, choć przecież pośród morza świadectw i zeznań nie można dzisiaj, zresztą nigdy nie było można, ustalić najważniejszego – kto właściwie oddał strzał, który zakończył życie Mussoliniego. Niektórzy twierdzą, że po rozpoznaniu i zdemaskowaniu, dyktator nie sprawiał wrażenia przestraszonego, nie widać po nim było strachu, zachowywał się raczej jak osoba autystyczna, jakby się dzisiaj powiedziało.

W ostatniej drodze wodzowi towarzyszyła kobieta zwana Clarettą, jej brat lekarz też był niedaleko. Clara Petacci, chyba najmłodsza z haremiku Mussoliniego, dwa miesiące wcześniej obchodziła trzydzieste trzecie urodziny. Według świadectw niektórych, miała podobno upraszać się o własną śmierć, chciała umrzeć razem ze swym bohaterem, niejako na ochotnika, nie proszona. Il Duce urzekł ją był już praktycznie w dzieciństwie, na długo przed ich pierwszym spotkaniem, w szczególnych zresztą okolicznościach – na nadmorskim szlaku, tak zwanej via del Mare, szosie łączącej Rzym z Lido Ostii, białą Lancią Astura z Clarettą na pokładzie wyprzedziła czerwona Alfa Romeo Zagato, Gran Turismo oczywiście, prowadzona przez samego Imperatora, można sobie wyobrazić z jaką brawurą. Już w dzieciństwie ją urzekł, urodzony dominator, dla nastolatki charyzmatyczny aż do szpiku kości, a teraz, na rzymskiej szosie, przypadek z udziałem dwóch pojazdów mechanicznych pozwolił jej zrealizować marzenia, do końca, jeśli nie od razu zrealizować, to na pewno pójść drogą na skróty – choć musiała wykazać się cierpliwością, to przecież w końcu udało się jej go uwieść. To spotkanie z wyprzedzeniem odbyło się w roku pańskim trzydziestym drugim, 24 kwietnia! Ach, te daty!, tyle wciąż zbieżności – ale tu akurat dowodzą powinowactwa losów dwóch dusz, miłosego przeznaczenia, przynajmniej w jej wypadku – bo wodzowi ten związek w pewnych okresach trochę ciążył i mocno go krępował. Ale umierać chciała razem z nim, u jego boku.

Dwadzieścia kilometrów od Dongo, w stronę Mediolanu, w Giulino, miejscowości z faszystowskim *flairem* połączonej, w 1928 roku z miejscowością Mezzegra (podobnie jak połączono wtedy liguryjskie miasteczka Oneglia i San Maurizio, nazywając Imperią), dzisiaj Giulino di Mezzegra nosi nazwę Tremezzina (przejeżdżałem tamtędy w zeszłym roku), brygada Garibaldiego oddała Mussoliniego i Clarettę w ręce przybyłych na wieść o tym zatrzymaniu wysłanników CLN, Narodowego

Komitetu Wyzwoleńczego. Jeden z nich, Walter Audisio, znany jako Pułkownik Valerio, wziął na siebie odpowiedzialność za rozstrzelanie dyktatora, jego kochanki, tudzież grupy towarzyszących oficjałów i bliskich. Do dziś krążą różne wersje tego, kto zastrzelił, włącznie z tą, że dokonali tego członkowie alianckich sił specjalnych, cudzoziemcy.

Następnego dnia, 29 kwietnia, około godziny czternastej, ciała Mussoliniego i Petacci, wraz z ciałami kilku osób rozstrzelanych dzień wcześniej w Giulino, dotarły do Piazzale Loreto w Mediolanie, miejsca skądinał znanego mi z kilku spacerów, kiedy zatrzymywałem się w okolicach Corso Buenos Aires. Ciała bez życia były najlepszym potwierdzeniem, że dyktator i kilku z jego kliki rzeczywiście odeszli już w zaświaty. Choć nie w niepamięć. Na te ciała bez życia tłum ludzi wreszcie odważnych rzucił się z gniewem, tak mocnym, że doszło do aktów profanacji. Strażacy najpierw próbowali rozprędzić spontanicznie rosnący tłum, następnie, aby chronić ciała przed dalszymi napaściami, najlepszym wyjściem wydało się im, strażakom, powieszenie rozstrzelanych ofiar egzekucji. I odbyło się to w sposób przerażający, zwłoki zostały powieszono nogami do góry. Petacci, jeśli dobrze pamiętam archiwalne nagrania filmowe, była jedyną kobietą, więc naprędce czymś unieruchomiono spódnicę na wysokości kolan, tak by ciekawscy nie ujrzeli części intymnych. Mogli się teraz napatrzeć, wódz, któremu przez długie lata salutowały tłumy, teraz powieszony został, a raczej zawieszony, jak u rzeźnika, pod zadaszeniem stacji benzynowej Esso, w miejscu, które niespełna rok wcześniej było sceną publicznej egzekucji, dokonanej przed faszystów.

Dzień później, 29 kwietnia, osiemset dwadzieścia dziewięć kilometrów od Mediolanu, w linii prostej, położył kres swemu życiu inny dyktator. Wraz z nim popełniła samobójstwo jego, jakbyśmy teraz powiedzieli, długoletnia partnerka życiowa, Eva Braun. I jednodniowa żona. Hitler i Braun zabili się w berlińskim bunkrze dzień po skromnej ceremonii ślubnej. Na uroczystość legalizacji związku trzydziestotrzylatka stawiała się w uroczej sukieneczce koloru nieba, z koliań pereł na szyi. O takim ślubie i pewnie o takiej śmierci Claretta, również trzydziestotrzyletnia, mogła tylko marzyć w te chaotyczne dni nad jeziorem Como. Obie kobiety urodziły się w lutym 1912 roku. Zbieżność dat i wciąż te liczby, czy ja z tym nigdy nie skończę, pytam się na autostradzie, już blisko zjazdu do Monaco.

Teraz (czyli wczoraj) włączam radio i wysłuchuję w programie katolickim po francusku ewangelii według Marka. Nad jeziorem Galilejskim do Chrystusa przyprawiono głuchoniemego. Chrystus włożył mu palec w uszy, śliną dotknął jego języka, spojrzął w niebo, westchnął i powiedział: Otwórz się (*Effatha!*), wtedy ten zaczął mówić i słyszeć. Potem, choć Jezus przykazał mu milczeć, rozповідаł o tym wszystkim wokół.

Dość późno na tę ewangelię dzisiaj, mówię sobie i od razu coś zaczyna się rwać, zmieniam program, teraz kolej na France Inter, po ostrych zakrętach na wąskiej szosie w górnym odcinku mojej drogi, pokonawszy bez obrażeń odcinek autostrady, przebiegającej z grubsza równoległe do morza, opuszczając autostradę, siedem kilometrów od celu, czyli rue Mozart w Nicei, słucham wiadomości o przygotowaniach do pogrzebu papieża w sobotę. To z powodu pogrzebu w Rzymie, w Gnieźnie przesunięto o dzień naprzód uroczystości upamiętniające tysiąclecie koronacji króla Bolesława Chrobrego. W skali całego milenium, trzech tysięcy sześciuset pięćdziesięciu dni, a z latami przestępnymi licząc, nawet odrobiny więcej, w ciągu dziesięciu lat, pomnożonych przez sto, coż znaczy jeden dzień?

Jestem więc już blisko celu. Jakiego celu? Celu podróży, przynajmniej tej, krótkiej, nieważnej, nic nieznaczącej. Nic nieznaczącej? No, niewiele, mówię sobie i stwierdzam, że nagle wszystko wokół zrobiło się brudne. Wjazd do Nicei autem nie należy do przyjemności, najpierw wjeżdża się w dzielnice nędzy, relatywnie rzecz jasna, w porównaniu jednak z bogatymi częściami bliżej centrum i gdzieś tam w nim samym, w samym centrum, są to dzielnice nędzy. A przez nie, z konieczności, przeprowadzono główne arterie tej metropolii, jakiś czas temu oczywiście, ale już wtedy byle jak, przeciętnie, jak to się tu określa, nawet bardzo przeciętnie, czyli niechlujnie – i to jest słowo-klucz do Nicei. Nie dla tych, rzecz jasna, którzy tu przyjeżdżają turystycznie. Ci bowiem, przebrnąwszy przez tę niechlujność, jeśli przybędą tu drogą lądową, a ściślej mówiąc autem lub autobusem (bo jeśli przyjadą koleją, to przelotnie ujrzą inną niechlujność), zobaczą tu rzeczy bardzo sympatyczne, nawet piękne. Miasto otwarte na morze, pełne robiących wrażenie rezydencji, zieleni, kwiatów. No właśnie, to trzeba przyznać, tego nie można odmówić, Nicei, myślę, wjeżdżając do tej lepszej Nicei, na tak zwanych rogatkach tak zwanej *ville fleurie*. Miasto ukwiecone, to prawda, nie będę zaprzeczał, myślę, prze-

jeżdżając bajecznie i rozkosznie ukwieconą aleją. Kwiaty z każdej strefy klimatycznej, egzotyczne, ale i nasze, swojskie, róże i goździki. No właśnie, myślę w święto narodowe Italii, jadąc ukwieconą aleją, goździki!

25 kwietnia to również dzień goździków, święto Portugalii, tam też świętują wyzwolenie, od swoich, w Rzymie mija osiemdziesiąt lat, w Lizbonie w ubiegłym roku od rewolucji minęło lat pięćdziesiąt. Również w Portugalii świętują dziś oswobodzenie własnego kraju od rządów dyktatora, myślę, zjeżdżając w kierunku morza przez ukwieconą aleję. Nie miał może na sumieniu aż tyle co Il Duce, ale zdecydowanie wystarczy, żeby iść do piekła. Pewno tam jeszcze gnije, pomyślałem, zasłużył sobie. Rewolucja goździków odbyła się z minimalnym przelewem krwi, niektórzy historycy ręką za to głową, dzień 25 kwietnia oznaczył zwieńczenie, łagodne, ale jak by nie było, krwawej dyktatury. Jej ostatnią fazę przyspieszył konkurs piosenki – odbyła się, że tak powiem, w białych rękawiczkach, wojskowych. Dyktatora już cztery lata wcześniej pokonał zawał serca. W 1968 roku António de Oliveira Salazar pożegnał się z polityką, następnie, dwa lata później, także ze światem. Portugalia miała cztery lata na przeprowadzenie przemian demokratycznych. Dyktaturę małego kraju na skraju Europy pogrążył portugalski kolonializm na dalekich kontynentach. Mozambik, Kongo, Angola, nawet Gwinea, piękne, dźwięczne nazwy, ale same już nazwy odległych krajów sugerują, że utrzymanie ich było nie do utrzymania.

*Big Brother* Salazara, jego sąsiad, nazywał się Francisco Franco. Rodzicom nie wystarczyło nazwisko Franco, musieli też dać mu podobne imię. Podwójnie nazwany odszedł w większej od Salazara niesławie i to po prostu mu się należało. Dokładnie pół wieku temu. Znowu ta zbieżność dat, lat przynajmniej, zbieżność nazwisk i imion. A teraz padnie jeszcze jedna, dużo ważniejsza data, dzisiaj, dwudziestego piątego kwietnia dwudziestego piątego roku, nie ma już innego Francisco. Jakże innego pod każdym względem. Odszedł dwudziestego pierwszego kwietnia i tę datę na zawsze zapamiętam. Na zawsze? Dobrze, nie czepiajmy się słów.

„Właśnie wylądowałem w Italii”, napisał 25 kwietnia kolejny polityk z wielkim ego, samochwalca, z wiadomym zmysłem moralnym. Jednak, jak wiadomo, palec Boży ochronił go przed kulą zamachowca, która drasnęła mu ucho i zapewniła miej-

sce w raju, na razie ziemskim – jeszcze nim pierwszy naród świata namaścił go na swego bossa. Donald Trump wylądował w Rzymie, by wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych papieża Franciszka.

Jorge Mario Bergoglio trafił do szpitala już czternastego lutego. W klinice Gemelli spędził długie tygodnie. Mimo że wydawane regularnie komunikaty określały stan papieża jako krytyczny, od czasu do czasu cechował je umiarkowany optymizm. Trzeciego marca podano, że może samodzielnie oddychać, ale niespełna dobę później konieczne było podłączenie aparatury wspomagającej. I tak w tę i z powrotem, nie trzeba było wspomagania nocą, albo tylko nocą było ono wymagane. Według profesora Alfieriego z Gemelli, Franciszek wiedział, że może umrzeć, że „może nie przeżyć nocy”. Papieski medyk powiedział też, że papież ma zmęczony organizm, ale i jasność myśli – głowę pięćdziesięciolatka, słowa profesora. Że cały czas zdaje sobie sprawę ze wszystkiego.

Dziewiętnastego marca płuco Franciszka było pod kontrolą, cztery dni później opuścił szpital i pojawił się na moment na balkonie, pozdrawiając i błogosławiąc zgromadzone na placu tłumy wiernych, i zapewne też niewiernych. Szóstego kwietnia podano komunikat, że podjął misję papieską, na razie w ograniczonym wymiarze. W Wielką Niedzielę Franciszek zaskoczył zgromadzone na placu Świętego Piotra tłumy, pozdrawiając je z wehikułu papieskiego. W wielkanocny poniedziałek nad ranem, o piątej trzydzieści było jeszcze ciemno, uczynił gest pożegnany w kierunku czuwającej nad nim siostry zakonnej, która wezwała profesora. Alferi mógł już tylko stwierdzić udar mózgu. Franciszek przeżył noc, o siódmej trzydzieści pięć, kiedy wydał ostatnie tchnienie, nastał już dzień. Zmarł, kiedy zrobiło się jasno. Przeżył noc z nami, choć nie przeżyje już naszej nocy powszedniej, myślę, dojeżdżając już do garażu.

Wszystkie te zbieżności, dat, miejsc, nazwisk, słów, po co to? Tak naprawdę, po co o tym myślę? Te rozliczne echa rozbrzmiewają pewnie tylko w mojej głowie, nie dziwiłbym się, gdyby tak było. Ale czy są wiarygodne? Czy cokolwiek znaczą dla kogoś innego? Czy inna głowa nie uznałaby ich za arbitralne, dowolne? Posklejane, wszystko w tych moich rozmyślaniach na drodze z, na szlaku do, tak dziwnie splecione, to z tamtym, tamto z owym. Najpierw myśli mi się zbieżność dat, mam na-

dzieję, że same daty mi się nie mylą, potem kontekst osób, a szerzej nazw, i jeszcze miejsca, wszystkie te korespondencje, w sumie wątle, może są dosyć wątpliwe... Najpierw coś zauważam, arbitralnie zauważam, potem coś innego, potem to łączę, sukcesywnie łączę, łączę jedno z drugim podług mnie tylko do głowy przycho-  
dzącego wzoru, potem buduję na tym interpretacje, na nich nadbudowuję nadin-  
terpretacje, z nadzieją, że złożą się z tego tłumaczenie, jeśli nie wytłumaczenie,  
to jakaś częśćka. Czy nie naciągam rozumowania, czy nie przeciągam struny, ow-  
szem, przeciągam, i co z tego? Chyba wolno. Węższa interpretacja, szersze tłuma-  
czenie, jeszcze szersza interpretacja. Kij, kij, marcheweczka. I w końcu wnioski. Ale  
nie za daleko, nie idące za daleko, niezbyt daleko idące, przede wszystkim nie iść  
za daleko, mówię wciąż sobie, to zbyt wielkie ryzyko, może się źle skończyć, skoń-  
czyć nieszczęściem, katastrofą, na szczęście nie w sensie antycznym. Co to jest za  
daleko?, pytam, otwierając drzwi garażu, wczoraj, dwudziestego piątego kwietnia  
dwudziestego piątego roku. Zbieżności daty i miejsca, dat i miejsc, i osób, w moim  
ich ujrzaniu w zbieżności, to dopiero początek. To dopiero początek, powtarzam  
sobie w myśli, lub myślach, zamykam drzwi garażu wyraźnie zmęczony, zmęczyła  
mnie ta kręta i długa droga kwietniowa. Ten szlak na złamanie karku, świetlisty,  
w ciemność nocy.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

## Komora (14)

Umacnia się dzięki wytrwałości, a wytrwałość pomaga mu przekraczać siebie.  
Wielki tłum. Dwunastu i ktoś jeden.  
Wszystko, co jest w nim.  
Trwoga i drżenie. I fortyfikacje.  
W przeciwnościach. Z Nim. Jedno.  
Na pustkowiu, osobno.  
Widziany.  
Idący na wezwanie.  
Ten sam i inny.  
Przemieniony.  
Z tchnieniem życia.  
Pod jednym i drugim drzewem.  
Bez Ducha i napełniony Duchem.  
W porozumieniu, razem, rozważając i czyniąc.  
Wyrzucając zło, na ile jest to możliwe.  
Czysty i nieczysty. W toku.  
Nie służący, ale zjednoczony, idący w tym samym kierunku. Wolny.  
Wzruszony i zimny jak głaz.  
W biedzie i w niezwykłej mocy.  
Idący!  
W zjednoczeniu, choć przecież skręcający na boki.  
Gdzie będący? Słyszający głos i nieidący za nim.  
Znający dobro i zło. Wydalony i umieszczony tam, gdzie powinien.  
Nie jak ci przekłęci, którzy pokładają nadzieję w sobie, dzikie krowy na stepie,  
ale nad płynącą wodą, zakorzeniony przy strumieniu.  
Pytany, odpowiadający i zadający pytania.

Niedomagający się znaku, bo go widział nie raz.  
Wypełniając wszystko, na ile mógł.  
Jak w arce. Z głosem i głosami. Na zewnątrz i w sobie, w środku.  
Słuchając i nie dając za wygraną, z bojaźnią i z respektem.  
Strzegąc się kwasów i za wszelką cenę starając się rozumieć, nie w ośpieniu.  
Nie w sidłach i nie w pułapce, bo korzystając z oczu i uszu, wpatrując się i wsłuchując, każdego dnia. Ze znakiem przymierza w głowie i nad głową.  
Nie w jednej mowie z tamtymi, nie z jednakowymi z nimi słowami.  
Zapierający się samego siebie i naśladowający.  
W podwojonej współpracy. Za życia i po życiu, jak na pustyni.  
Skoncentrowany na nim, tak jak on skoncentrowany jest na mnie.  
W obecności i wzajemności.  
Mierzący i przyjmujący odmierzone.  
W wierze, czyli w świetle, świadczenie.  
Z duchem niemyim i dzięki wierze od niego wyzwolony.  
Nie zasklepiiony w sobie, ale skupiony na nim. Niebojący się pytać, kiedy nie rozumiem.  
Wiedząc, że jest to prawda nie dla wszystkich, ale dla bliskich i najbliższych.  
Odkrywając siebie w Nim, nie na pokaz i nie chcąc niczego innego.  
Głos, który rozbrzmiewa w słowie. Spójność słów i głosu, głosu i czynów.  
Ja, głos i czyny – mieszkanie słów.  
Mądrość działa w duszy.  
Ci, którzy są przeciwko nam, i ci, którzy są z nami.  
Sól i ogień – smak i moc.  
Drugi ja i drugi ty.  
Być człowiekiem prawdziwym, zgodnym w myślach z rzeczywistością.  
Feniks odradzający się z popiołów.  
W świetlistym kręgu mandorli.  
Wyzuty ze wszystkiego, oprócz Niego.  
Kres i nie kres.  
W Nim. Wytężając siły na to, co przede mną. W górę i naprzód, w niewyobrażalnym pędzie, w świetle, stopiony, złączony już na zawsze.  
Walka ze złym duchem. Czystość, brud, odnowa i siła, moc.

Nie odebrane, przywrócone. Słuchający i mówiący. W ukryciu i nie w ukryciu.  
W środku, za zamkniętymi drzwiami, widziany – już lepiej, znacznie lepiej, naj-  
lepiej jak można.

W miejscu, w którym wszystko ma. W pustce i w pełni. W trwaniu, w nadziei  
i czuwaniu.

Zapierając się samego siebie, na ile jest to możliwe, ale coraz bardziej.

Nie tracąc siebie i jak się okazuje, nie ponosząc szkód.

Na skraju i jak pestka, w środku.

Im bardziej bezsilny, z tym większymi możliwościami.

Krzyczący na całe gardło i nieprzestający.

Czyż nie wypełniam zadania?

Może nie zawsze z pasją, ale zawsze na nią gotowy. Będący.

Celnik, komora, głos i światło.

Wdzięczność za to, co się dostało i za to, co razem się przeszło.

Przyłgnąłem do niego i uratował mnie, postawił w narożniku.

Nie zaniechałem chyba ani jednej z tych wielkich rzeczy, które dostałem. Mo-  
głem zrobić więcej, lepiej, na wyższej wysokości, tak, ale żadnej nie zaniechałem.

Przecież to nie tylko monolog, przede wszystkim dialog – stapanie się, łączenie,  
działanie, stwarzanie na różnych płaszczyznach i w różnych wymianach, w różnym  
czasie.

Wołanie o pomoc i ratunek. W skrusze, w największym upadku.

Słowo i jego moc zmiany, działające wewnątrz i na zewnątrz.

Coś bezcennego za coś naturalnego – święta wymiana.

„Wstań i idź...”, „...wstał i poszedł...” – oto moja idea.

Powtarzam coś nie raz, bo to nie raz się powtarza.

Jest ważne. Tworzy rytm i daje siłę, światło.

Wcale nie odwrócony od złego postępowania i nieprawości, ale liczący na litość  
i błagający o nią, w ciemności.

W doli i w niedoli, w oboim żywiole. Z duchem skruszonym i ze skruszonym  
sercem.

Czy zastanawiałeś się kiedyś głębiej, co to znaczy?

Nie, że na coś zasługujemy, ale że przyjmujemy. Otwórz się!

Jak Jonasz, posłany do ludzi, których nie uznaje za godnych miłosierdzia, sam miłosierdzia doświadcza, przekonując się, że myślał źle, a więc był w sidłach złego.

Mnoży się moc w jego duszy, nie przez niego, ale dzięki współdziałaniu, które podejmuje.

I widzi, kto i co jest prawdziwą mocą i że on tylko korzysta, dzięki otwarciu i działaniu.

W niepojętej bliskości. Przyjmujący i wyrażający. Bez osłonek, coraz bardziej.

W lęku, w głębokim śnie i – w ogniu.

Przepoławiając, rozcinając, rąbiąc i układając w nowe stosy, naprzeciw siebie, w walce z napastnikami mroku i w ciemności. Dym jak mgła i ogień, przesywający żar, łączący, w ruchu, i głos.

Naśladowanie, mając wzór wysoki, wyższy i najwyższy, na wysokości.

A losem tamtych, zagłada. Chodzą w glorii tego, czego powinni się wstydzić. Dążą na zatracenie.

Czerń i lśniąca biel. Sen i przebudzenie. Obłok, lęk i głos. Sam i nie sam. Zagubienie i bliskość. Dziękczynienie.

Na równej drodze, bez wstydu na twarzach, z Nim.

Nie wiedząc jak, bez ludzkiej logiki, w cudowny sposób.

Rozumiejąc i nie rozumiejąc, w pustce i w pełni.

Wsluchany, zasłuchany, idący.

Nie dziki i suchy, ale nad strumieniem, nawodniony.

Jak na jednym i drugim skraju wielkiej przepaści zionącej lękiem i przerażeniem, strachem i nadzieją.

Mówiąc do siebie i nie tylko do siebie, słysząc głos i odpowiadając, nie będąc, i będąc, w świetle Jestem.

Zanurzony, nasycony i kochany.

Spisujący ku pouczeniu, na kresie czasów, uważny i uważający.

Nauka i wymiar duchowy. Historia życia, która jest nauką, z której wyciągamy duchowe wnioski.

Gdy na świecie, tuż obok, trwa trzecia wojna w kawałkach.

Brak wody i brak Boga – to śmierć.

Pragnienie i bliskość, ożywienie.

Tożsamość sztuczna i prawdziwa tożsamość.

Oczyszczenie i łaska jedności.  
Z tym, którego realność i cudowność nigdy nie tracą aktualności.  
Moje kroki umocnione Jego słowem.  
Pilnowanie tego i umacnianie, pamiętanie i utrwalanie jego mocą, jako świadectwo i nadzieja – dla innych.  
Słowo jako narzędzie – i moc.  
Cudowny łącznik i zwornik, posłaniec, litera i duch.  
Coś, co wydaje się niewyobrażalne, niemożliwe, fantastyczne, wypełnione i spełnione. Dające życie.  
Ktoś, kto sam niewiele może – Ktoś, kto może wszystko. Mały – wielki. Drobiną – kolos. Nic – coś.  
Tylko słuchanie głosu i chodzenie drogami, które on wskazuje.  
Każdego dnia, bezustannie.  
Słuchanie, usłuchanie i nadstawianie uszu.  
Przyjmowanie pouczeń. I wierność. Póki jest choćby najmniejsza szansa.  
Jego słowo wysłane, czeka na nas. To nie my czekamy.  
Dla każdego, w każdej chwili jest możliwe usłyszenie głosu, słowa i otworzenie się.  
Zły duch w człowieku, który był niemy. Gdy wyrzucony wyszedł, zaczął mówić.  
Moc Belzebuba i moc Jezusa.  
Rzeczywiste moce.  
I znaki z nieba.  
Kto nie jest z nami, jest przeciwko, a kto nie zbiera, ten rozprasza.  
„...całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą”.  
Letni idzie na rozkurz, bez miłości nie ma sensu.  
Kochany i kochający jest nowym stworzeniem, zjednany i pojednany. W słowach, w duchu i w sercu. Przez posłannictwo. Przyjmujący posłańca i sam wysłany, nie sam z siebie.  
W mieście gęsto i ściśle zabudowanym i na drodze.  
Nie rozpamiętując w złych i w złym, ale w radości i w świetle.  
Pamiętając, jak wybawiałeś i ocalałeś, nie pozwalające zniszczyć wrogom, zamieniłeś w taniec żałobne lamenty.

Jakże o tym nie pamiętać? To fakty i zapisy dziejące się przez dziesięciolecia.  
Długo nie widziałem znaków, nawet ich specjalnie nie szukałem, ale potem zobaczyłem, że były – dla mnie głuchego i ślepego, który był jak martwy, chociaż bardzo żywotny i aktywny.  
Duch tchnięty do wnętrza i postępowanie.  
Rwący wąski potok i rzeka, której nie można było przejść.  
Sen: sadzawka z krążgankami, jak ta przy Owczej Bramie, i ja, leżący na jej brzegu i niemogący do niej wejść.  
I znowu: sam z siebie nic.  
Dopiero wtedy, gdy posłany, nie z własnej woli.  
Dokonujący wyboru, nie obojętny.  
Wypełniający to, co dostałem do wypełnienia.  
W drodze, przyjmujący dar, obecny.  
Ożywiany przez słowo, nie raz w beznadziejnej sytuacji.  
Nie sam.  
Podejmujący trud. W pragnieniu. Razem.  
Przeszkody, blokady i zatory.  
Kogo słucham i za kim idę?  
Ile czasu marnuję i potem, ile go tracę, żeby wrócić do punktu, z którego zбочyłem.  
Czy robię to sam od siebie – w jednym i w drugim przypadku?  
Nieustanne działanie i nieustanne odnawianie się.  
Pustoszenie, żeby jak najbliżej być z Nim.  
Pozyskać Go i być w Nim.  
Nie pisanie na piasku, ale na kamieniu.  
Idź i czyń!  
Nie sądz innych, bo nie jesteś sędzią.  
Przecież nie raz upadasz i nie raz jesteś podnoszony.  
Nie raz wchodzisz w zło i nie raz jesteś z niego wyprowadzony.  
Ten, kto idzie w świetle, nie idzie w ciemności.  
Ten, który jest z niskości, nie jest z wysoka.  
Kimże jesteś? – pytają.  
Otoczeni złotymi posągami i posążkami.

Złoto to czy tombak?  
Chwała czy hańba?  
Wrzuceni w otchłań rozpalonego pieca.  
Nie sami od siebie. W wolności wewnętrznej.  
W mocy lub w niemocy.  
Wybawieni lub potępieni.  
W pętach otchłani i w sidłach śmierci, lub w świetle i blasku.  
Coś stające się kimś. Coś i ktoś.  
Idący naprzód, zdążający do celu.  
Słuchający i mówiący, pobudzony i niecofający się.  
Patrz, czego już dokonałeś i co jeszcze masz do dokonania?  
Co dostałeś i ile z tego przekazałeś i przekazujesz innym?  
W odczuwaniu, myśleniu i działaniu.  
Tak jak on. I jak On.  
Tą energią i mocą.  
Nie na swoją chwałę.  
W setnych powtórkach, z różnymi niuansami, odcieniami, uzupełnieniami,  
opuszczeniami, oświetleniem i mrokiem, akcentami, prześwitami, przemianami.  
W ruchu.  
Nie z głowy, ale z głowy i serca.  
Doświadczając bezsilności i samotności, gęstniejącej ciemności i bezradności.  
W lamencie, że na darmo i na nic.  
I ocalenie, pomoc i opieka.  
W świecie wewnętrznych przeżyć.  
I na zewnątrz.  
Rozumiejąc i nie rozumiejąc.  
Znowu w drodze.  
Słuchając i patrząc.  
Idąc w Jego rytmie, Jego krokami.  
Na drodze i w największej głębi, w środku.  
Nie do wiary – do przeżycia.  
Na ile ktoś, patrząc na to, co przeżywam, może otrzymać choćby wiązkę światła  
na swojej drodze?

Ilu ich jest? Trzech? Dwóch? Jeden? Nikt? Słabi i grzeszni. Tak jak ja.  
On nas wybrał, obdarował i zaopatrzył.  
Jak przeżywam to powołanie?  
Pascha. Misterium. Spotkanie.  
Dar. I przekazanie daru.  
Wyjście z niewoli na groźną bezładną pustynię. Rzeczywistość wyzwolenia.  
Byli tam, byłem z nimi, także wewnątrz, w środku. Teraz On, wielka moc, działa –  
ocala i otwiera.  
Na pamiątkę.  
Przejdźcie i powróć.  
W Nim. My.  
Co we mnie rodzi?  
Co i jak.  
I co z tego czynię?  
Czy tylko siedzę za stołem, czy jak ona, którą bardzo kochałem i Kocham, służę.  
Bezładna pustynia i Brama wejściowa, która prowadzi do środka.  
Pyta, choć przecież wie.  
Co to jest prawda? – pytają. Nie znają odpowiedzi?  
Nie znajdują w sobie żadnej winy?  
Jesteś czy nie jesteś z nami? – pytają. Jesteś naszym przyjacielem czy nie?  
Kto jest ich królem? Kogo czczą?  
I czego w efekcie dokonują?  
W miłości? Na jaki wzór?  
Kogo przyjmują, a kogo odrzucają?  
W tym świetle, pod sklepieniem, na ziemi, nad wodami.  
Pod słońcem, księżycem i gwiazdami, w mijających dniach i nocach, porach  
roku i latach, w blasku i w ciemności.  
Będąc stworzonymi na Jego obraz.  
W tej Wielkiej Głębi pustych przestrzeni, stworzeń i komór.  
Każdego dnia nowe stworzenie. W łasce. Słowo, tchnienie, głos. Według nadziei.  
W przyłgnięciu.  
Na próbę. Ogień i drwa. Ołtarz. Posłuszeństwo.  
Śmierć i przejście. Dar i walka.

Woda, przymierze, litość.  
Zjednoczenie i to, które dopiero nastąpi.  
Płacz i wesele, żałobny lament i taniec.  
Przyczyna i skutek. Słowo, jego docieranie i działanie, dokonanie i powrót.  
I to jest! Nieodbierane? Na co czekają? Na jakiegoś bożka?  
I na co liczą? Na swoje siły? Na swoją niewystarczalność?  
Przecież wiedzą, że są słabi, krusi i niewystarczalni. A jeśli nie, to tym gorzej dla nich.

Nie znają drogi, na której wszystko się realizuje i spełnia?  
Kto jest ich pieśnią i mocą?  
I kto będzie ich zbawieniem?  
Nie widzą, że schodzą do Otchłani?  
Nie widzą blasku światła i nie widzą ciemności?  
Nie wiedzą, co znaczy naprawdę być szczęśliwym?  
Nie znają słów, ich rytmów i toków, które żyją, przemieniają się, przemieniają, świecą?

Poznaj je, wprowadź w głowę, w serce i w ducha.  
Nie wiesz, kto jest tym Słowem?  
Weź i czytaj.  
Nadstaw uszu i słuchaj.  
I wtedy odtworzysz się, przez wewnętrzną przemianę, z nową głową, nowym sercem i nowym duchem.

Życie stare i życie nowe, prawdziwe wesele.  
Posłuchaj, wejdź w głębokie milczenie – i słuchaj.  
Czysty i odnowiony, dopuszczony i obdarowany.  
To historia każdego z nas, każdego dnia.  
Przez działanie, tworzenie, aż do zbawienia.  
Zanurzając się i powstając, w złączeniu w jedno. Tak jak Jonasz.  
To nie jest czcza gadanina, którą słyszy się dokoła.  
Wybierz i idź, nie marnuj czasu!  
Działając tam, gdzie działałeś, i robiąc to, co robisz.  
Tak jak ja, ze środka, w literaturze.  
Przechodząc ze śmierci do życia.

Wyśmiewany za to i niszczone, ale już bez ich starego zakwasu.  
Idący i biegnący. Wracający w zrozumieniu.  
Na podstawie wskazań i wskazówek.  
Do nowego życia.  
Przechodząc.  
Wcale nie po kruchej kładce.  
W nowe życie, w pełnię.  
Osłabiony, przekraczając jeszcze te ostatki.  
Tak jakby płód opowiadał o swoim życiu. Nie mając pojęcia, co spotka go na  
ziemi, po tamtej stronie.  
Co robić? W tej bolesnej pustce, w tej tragedii zdolnej stać się misterium.  
Działający w ich słowie i przekształcający je na swoje, nie integralne i osobne,  
ale jego, żeby iść dalej.  
Pozwala się prowadzić, aż do godziny dziewiątej.  
Idziesz ze mną?  
Idź!  
Co mogę powiedzieć więcej?  
Podzielony i dzielący się.  
W wierze, która daje tę pełnię.  
Całym swoim życiem.  
Nie ja i nie sam.  
Głoszący.  
W tym rogu, w narożniku.  
W biedzie i kryzysie, i w chwale.  
Tak jak na początku, wcielając.  
Nie odtrącony, ale dojrzewający.  
Mimo wściekłych ataków raz po raz.  
Żywiąc się niesfałszowanymi i niezatrutymi pokarmami.  
Chory i dręczony – w kontynuacji dzieła.  
W misji.  
Słyszając, doznając zachwycenia i wykonując zadanie, zapisując w księdze.  
„Napisz więc to, co widziałeś, i co jest, i co potem musi się stać” (Ap, 1,19).  
Klucze śmierci i Otchłani.

Gdy jesteś okłamywany, atakowany, poniżany, niszczoney, nie wchodź w to, ale otwórz się na przestrzeń, którą otwiera przed tobą Bóg, wejdź w nią i idź, a nie tkwij w tym diabelskim bagnie, w które cię wciągają.

To ty masz mieć inicjatywę w swoim życiu, nie oni.

Ziarno, siewca i plon.

Praca owocna i praca bezowocna.

Dwie strony medalu.

Bądź gotowy na najbardziej skrajne możliwości. Umieraj dla samego siebie, aby naprawdę stać się sobą, w całej pełni.

PIOTR SZEWC

## Z powodu i bez powodu (77)

Bez tytułu i daty (LXV)

*Zamiast wstępu*, czytam w tej czy innej książce tak zatytułowany rozdział. Dlaczego otrzymuję coś zamiast? Zamiast, czyli gorzej? A to dlaczego? Wolałbym coś naprawdę, żaden towar zastępczy. Jednak wielu autorów proponuje coś zamiast. Gdy zaszczeka jeden pies, zaraz odzywają się psy w całej wiosce. No ale to inna społeczność, inna kategoria.

Jeśli „Czytelnik”, z kawiarnią oczywiście, w latach osiemdziesiątych i w stanie wojennym przypominał ul, to jego królową była Irena Szymańska. W tamtych latach, podówczas student i przyszły autor, pojawiałem się w „Czytelniku”, żeby wypić dobrą kawę, czasem zjeść obiad, a zwykle, by spotkać się z pracującą w „Czytelniku” jako redaktorka Adrianą Szymańską (zbieżność nazwisk przypadkowa). Jego najważniejszą, w moim rozumieniu, postacią, przemożną i władczą, dla mnie zawsze miłą, była właśnie ona, Irena Szymańska. Julian Strykowski ironicznie i nieco złośliwie wypowiadał się o słynnym kawiarnianym stoliku. Gdy bez złych intencji zauważyłem, że to przecież śmietanka towarzyska, odparł: – Kwaśne mleko.

Po *Ciemnych światłach* (2021) – wierszach z ruchu, z przemieszczania się, z korytarzy i wagonów warszawskiego metra – Anna Nasiłowska napisała *Wiersze stacjonarne* (2024). Mniej w nowym tomie ruchu, pośpiechu, zmian, więcej osadzenia w tym, co jest w życiu codziennym, swoistej stacjonarności, kłopotów czy nawet problemów osobistych, które pojawiły się za sprawą choroby, a więc pobytu w szpitalu i późniejszej rehabilitacji. W tle i obok – obok, to znaczy bardzo blisko – pandemia i wojna w Ukrainie. Bardzo to wszystko poważne, a nawet dramatyczne; reporterskie w takim stopniu, w jakim poezja potrafi zapisać rzeczywistość, której poeta

jest świadkiem, i najgłębiej osobiste, prywatne: „co robię? / żywię nadzieję / pasę się nieróbstwem / nurzam się w bieli / skupiam się w sobie / i osadzam w materii / nieświadomie / nie chodząc dochodzę / do siebie” (w chorobie). Krok po kroku i wiersz po wierszu. I naraz – cóż za niespodzianka! Nazwałbym ją poetyckim, wielkiej urody kwiatkiem, zarazem przejawem empatii i delikatności: „Kochanie, boli? / Zakryję ci kwiatuszek / żeby ci głupio nie było / i zaraz przemyję. / Nie martw się / szybciosem zrobimy!”.

Rok 1975, może 1976. Na Orzeszkowej Antek Szwedziuk, starszy ode mnie o jedenaście lat (mówiłem do niego pan), kładzie na adapterze fonomaster płytę *Machine Head* Deep Purple (płyta ukazała się w 1972 roku). Rosną we mnie emocje, nie mogę się doczekać pierwszych taktów *Smoke on the Water*. Antka odwiedziłem w mieszkaniu na parterze kilka razy, prosiłem, żeby odtwarzał mi tę właśnie płytę, bo przecież nie miałem do niej innego dostępu. Dziesięć czy może więcej lat później wyjechał do Ameryki, tam zmarł w roku 2015. Miał brata i dwie siostry; poznałem młodszą, Marię, na którą domownicy mówili Marlena. Antek podobny był do ojca, Wincentego, którego po latach zobaczyłem na zdjęciach; Wincenty Szwedziuk, po wojnie był najbardziej znanym w Zamościu hodowcą gołębi rasy zamojskiej, zmarł w roku 1969 (wtedy jeszcze mieszkałem w Tomaszowie). A Marlena po ukończeniu studiów na polonistyce UMCS mieszkała na piętrze dużego drewnianego domu na Spadku. Od niej otrzymywałem – uczeń szkoły średniej – wskazówki odnośnie lektur poetyckich i usłyszałem o Kamieńskiej, Nowaku, Białośzewskim, Herbercie jako wybitnych przedstawicielach poezji współczesnej... Od Marleny usłyszałem o powieści *Konopielka*, po czym jak najszybciej do książki dotarłem i ją przeczytałem.

Warto zanotować, bo sprawa wydaje się z różnych powodów znacząca: 28 listopada 2024 roku na Uniwersytecie Wrocławskim odbył się „wykład mistrzowski” doktor habilitowanej Anny Barcz pod tytułem *Ile feminizmu w hydrofeminizmie? Kultura (po)nowoczesna a żywioł wody*. Nie byłem na tym wykładzie, dowiedziałem się o nim skądinąd, ale jego wyłuszczone w tytule tematy sprawiły, że poczułem się poruszony.

Przeszłość niby – niby? – linearna, a przecież we fragmentach, w okruchach. Przeszłość moja – prywatna, związana z najbliższymi mi ludźmi, miejscami, zdarzeniami... A każdy okruczek ważny, chce, bym o nim pamiętał. Na przykład ten, że mama nie miała spodni, nigdy w nich nie chodziła. Tylko spódnice, sukienki. Daje mi to do myślenia i budzi pytanie o przyczynę czy przyczyny. Mam przypuszczenie, ale pewności żadnej.

Obraz budzi wiersz, a rytm go dyktuje.

## ARTUR SZLOSAREK

### Notatki do zapomnianych podróży (23)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Palinurus to imię sternika Eneasza, wybrańca losu, jak również – pseudonim eseyisty, krytyka i wydawcy, Cyrila Vernona Connolly'ego. Zacząłem go czytać, może lepiej: podczytywać, lecz nie ze względu na to, co napisał, to stało się później, ale z tego powodu, że jego fotograficzna podobizna, zdobiąca okładkę *Niespokojnego grobu*, w wydaniu Penguin Modern Classics, niepokojąco przypominała mojego dziadka, ojca ojca, i zarazem: zdeklarowanego wyznawcę Schopenhauera. (Odziedziczyłem po nim pierwszy tom *Świata*, dawno i pięknie wydany, do którego prawie nie zaglądam, bowiem „gotycka czcionka”, jaką go wydrukowano, nie została skrojona na moje oko).

„Czym jest arcydzieło? Pozwólcie, że wymienię kilka. Będą to *Ody* i *Listy* Horacego, *Eklogi* i *Georgiki* Wergilego, *Testament* Villona, eseje Monteskiusza, *Bajki* La Fontaine'a, maksymy La Rochefoucaulda i La Bruyèra, *Kwiaty zła* i *Dzienniki intymne* Baudelaire'a, poematy Pope'a i Leopardiego, *Iluminacje* Rimbauda i *Don Juan* Byrona. Takie zestawienie ujawnia głównie jego twórcę. Ale co ma ze sobą wspólnego, jeśli chodzi o ideę przewodnią, tych dwunastu wymienionych pisarzy? Miłość do życia i natury; brak wiary w postęp; zainteresowanie, jeśli chodzi o ludzkość, ale z domieszką pogardy. Wszystko to, co mieści się w określeniu, jakim obdarzył Palinurusa pewien krytyk: że ten »mocno stąpa po ziemi«. Mimo tego, to i tak oni są bardziej dojrzały i mniej romantyczny niż on. Te arcydzieła (głównie wysokie szczyty wtórnego zasięgu) odzwierciedlają albo to, kim chciałby być, albo takie ja, do którego nie chce się ze strachu przyznać. Pragnąłby napisać *Kwiaty zła* albo *Sezon w piekle*, lecz jednak bez konieczności stania się Rimbaudem czy Baudelairem, to znaczy, nie przechodząc przez udręki duchowe, choroby, biedę.

Jeśli chodzi o odczucia, te dzieła sztuki mieszczą w sobie maksimum emocji zgodnych z klasycznym wyczuciem formy.

Przyjrzyj się temu, jak zostały one napisane. Wiele z nich to krótkie, napięte formy, owoce zrodzone przez skłonne do refleksji, kontemplatywne natury; prozy albo poezje, cechujące się wielką urodą formalną i ekonomią frazy. Nie ma żadnych powieści, sztuk czy biografii na tej liście, poezję zaś wyróżnia skłonność do spekulatywnego ujmowania życia. Zostały wybrane przez tego, który najbardziej poważa sztukę, będącą efektem destylacji, wykrystalizowaną z jasnej, ciekawej i namiętej wyobraźni. Wszystkich tych pisarzy łączy rodzaj wspólnoty, *jusqu'au sombre plaisir d'un cœur mélancolique*: zmysł perfekcji i wiara w ludzką godność, związana z przestrzeganiem śmiertelności jako tragedii rozgrywającej się na skraju Otchłani.

Możemy wnioskować zatem, że kompilator powinien zacząć pracować w oparciu o takie właśnie modele. Jakkolwiek niekorzystne byłyby warunki dla powstania dzieła, mogącego dać się porównać z klasycznym, może przynajmniej poprobować tego, jak się tworzy na poziomie intencji, zbliżonych do Świętej Dwunastki. Natchnij duchem co przyziemne, Palinurusie, i za wysoko nie mierz!'

Palinurus, *The Unquiet Grave*

To „francuskie” zdanie powyżej jest z *Pochwały rozkoszy* La Fontaine'a, ale nie podejmuję się wyklądać tego, czym może być ta „mroczna przyjemność”, ani nie zamierzam przekraczać granic, za którymi rozciągają się zakłete rewiry „melancholijnego serca”... Czy chodzi tu o to melancholijne serce ze skłonnością do palpacji, stawiające znaczki na papierze, jak dziecko pierwsze kroki we mgle? Znaki, które same się przeciskają przez tkanki języka, jakby zawsze najważniejsze było to, czego nie da się dotknąć – choćby zapomnieniem, jeśli już nie palcem. Jakby to na fresku Fra Angelico z klasztornej celi florenckiego klasztoru San Marco, Maria Magdalena faktycznie i nieodwołalnie przyznawała się pod ścianą płaczu do tego, że niczego nie rozumiała ze świata.

„Wkrótce nastąpi koniec świata. Jedyłą przyczyną, dla której świat mógłby trwać, jest jego istnienie. Jakież to nikły argument w zestawieniu z tymi, które wieszczą jego zgubę, na przykład takim: cóż świat ma jeszcze właściwie do zrobienia? – Bo

zakładając, że materialnie istniałby nadal, czyż będzie to istnienie godne tego miana i słownika historycznego? Wcale nie idzie mi o to, że świat podbiją kręćta i komiczna anarchia republik południowoamerykańskich, że powrócimy być może do stanu dzikości i szukając pokarmu, będziemy przemierzać ze strzelbą w rękę zarosłe trawą ruiny naszej cywilizacji. Nie – bo taka przyszłość i podobne przygody dowodziłyby jeszcze pewnej energii życiowej, śladu pierwszych wieków. My, nowy przykład i nowe ofiary nieubłaganych praw moralnych, zginiemy przez to, czym zdawaliśmy się żyć. Mechanika nas tak zamerykanizuje, postęp doprowadzi do takiej atrofii ducha, że wszelkie krwawe, świętokradcze i wynaturzone marzenia utopistów okażą się niczym wobec konkretnych rezultatów, jakie niedługo osiągniemy. Proszę ludzi myślących, aby mi powiedzieli, cóż jeszcze pozostało z życia. Co do religii, nie sądzę, by warto było o niej wspominać i szukać jej ostatków, bo w tej dziedzinie zgorzenia nie można już wywołać inaczej, niż trudząc się dowodzeniem, że Bóg nie istnieje. Własność praktycznie znikła wraz ze zniesieniem prawa starszeństwa; a przyjdzie czas, kiedy ludzkość, jak mściwy ludojad, wydrze ostatni kąsek tym, co uważają się za legendarnych spadkobierców rewolucji. Zresztą nie będzie to żadnym nieszczęściem.

Wyobraźnia człowieka bez specjalnego wysiłku może tworzyć republiki czy inne wspólnoty, nawet godne chwały, jeśli przewodzić im będą wybrańcy, swego rodzaju arystokracja. I to bynajmniej nie przez instytucje polityczne objawi się powszechny upadek, czy też powszechny postęp; mniejsza o nazwę. Nastąpi przez upodlenie serc. Czyż mam wyjaśniać, że resztki praworządności szamotać się będą w uścisku ogólnego zbydlęcenia, a rządy dla utrzymania władzy i stworzenia pozorów porządku uciekną się do środków, które przeraziłyby naszych współczesnych, tak przecież zahartowanych?”

Charles Baudelaire, *Dzienniki intymne*, przełożył Ryszard Engelking

Baudelaire zostaje wydalony na cztery miesiące przed maturą z liceum Ludwika Wielkiego. (Maturę zdaje eksternistycznie). Potargał kartkę od kolegi i ją połknął, by „ciało pedagogiczne” nie dowiedziało się, w czym rzecz („wolę być surowo ukarany niż zdradzić sekret kolegi”), co mi, prawdę mówiąc, bardzo imponuje. Baudelaire był rówieśnikiem Norwida. Mniej więcej w tym samym czasie Schopenhauer dochodzi do przekonania (musiało być bardzo wiele dwutlenku węgla w powie-

trzu tamtej epoki!), że „prawem ludzi jest głupota”. Teraz tamten dwutlenek węgla, wskutek jakiejś reakcji alchemicznej, przeistoczył się w dwutlenek chaosu, ciekawe więc, jak zareagowałby mój imiennik na takie na przykład doniesienia mediów, jak to z 12 kwietnia bieżącego roku o inwazji mrówek z obszaru śródziemnomorskiego, które atakują domostwa obywateli Republiki Federalnej Niemiec i – powtarzam newsa za „Tagesschau” – „paraliżują Internet i powodują przerwy w dostawie prądu”, czemu zaradzić ma specjalnie zainicjowany „projekt badawczy”? Złośliwi ośmielają się twierdzić, że kres tej inwazji mogą położyć tylko rakiety typu taurus, a jeśli nie one, to na pewno, jak oświadczył świeżo upieczony kanclerz w Satyriconie, drastyczne podniesienie cen energii, zmuszające bezwolną masę przerobową do wymiany działających systemów grzewczych na systemy niedziałające. Wiemy z historii, że czarne mrówki żyją zgodnie w słoju z mrówkami czerwonymi, ale kiedy ktoś tym słojem potrząśnie, rzucają się sobie do gardeł. Zapewne wiedział o tym i Schopenhauer, z pewnością jednak nie znał obrazu *My dinner with Andre*, który nakręcił w 1981 roku Lois Malle. Jednak, ośmielałam się twierdzić, ten kameratealny i nudnawy film, nie wiadomo z jakiej to niejasnej poczęty inspiracji, wszedłby na jego listę dzieł wartych pogłębionej refleksji, obok, bo ja wiem?, strzelam: sybilińskich lamentów królowej Saby. Ciekawe, jakie miałyby dzisiaj zdanie o nas, kiedy to (będę złośliwy) najzdolniejsi, najmądrzejsi, najprzystojniejsi i najodważniejsi przedstawiciele rodzaju ludzkiego, jak Mark Zuckerberg, właściciel Facebooka, Instagrama i WhatsAppa, dokonują „największej kradzieży dzieł w historii ludzkości”, jak donosi „Gazeta Wyborcza”, po to, by tymi dziełami żywych tudzież umarłych, Świętej Dwunastki rodem z Palinurusa, czy Przekłętej, wystawionej jako wzór przez kogoś innego, nakarmić głodną wiedzy sztuczną inteligencję, przez co, kiedy ta stanie się już tym wyczekiwany od stuleci Nowym Bogiem technokratów, wprowadzającym sprawiedliwe talony, przewidziane na królestwo z tej ziemi, będzie mogła w jednym mgnieniu i bez błędu odróżnić na rampie dobrego od złego, ziarno od plewy, zdolnych do pracy od niezdolnych do niej, *useless eaters* od gry komputerowej. „Jak długo miłośnicy mądrości nie będą mieli w państwach władzy królewskiej, albo ci dzisiaj tak zwani królowie i władcy nie zaczną się w mądrości kochać uczciwie i należycie, tak długo nie ma sposobu, ażeby zło ustało” – ale to już mówi ojciec założyciel – w opusie pod tytułem *Państwo*. Więc tę mądrość zdobywają... A poeci? No cóż... „Wystarczą mierni, za to użyteczni”. Tak jakoś albo

mniej więcej. Na pewno nie będzie to już jednak Baudelaire w Honfleur. Bo kto bogatemu zabroni?

Może więc w tym semantycznie niestabilnym przedstawieniu o nieprzerwanym rozwoju oraz mocnych podstawach, drogi Palinurusie, owym wyprorokowanym dziecięciem, które ma narodzić się z dziewicy, o czym informuje nas Ekloga IV – „mesjańska” – jest właśnie Mark Zuckerberg? *Iam nova progenies caelo demittitur alto* – że to właśnie on, nie kto inny, jako ten oczekiwany „nowy potomek z niebios wysokich zstępuje”? Ale jakie to mocne podstawy, zapytasz może? Przyjrzyj się rewersowi banknotu jednodolarowego. To chyba jedyny taki przypadek, kiedy słowo poety uwiarygodnia środek płatniczy. *Novus ordo seclorum*, nowy porządek wieków, któremu sprzyja Bóg – *annuit coeptis*. Pytanie, dlaczego to akurat Publius Vergilius Maro? Może ekumeniczny duch w maszynie coś na ten temat podpowie?

ANDRZEJ ZAWADA

## Dziennik lektur (5)

styczeń–luty 2023, fragmenty

„Miejcie ucho na rzeczywistość.  
I swoich małych cieniów na mapie nie uważajcie za lądy”.

Kazimierz Wyka

2 stycznia

Do notatek z 2022 roku winienem napisać komentarz, dookreślić, jak widzę rosyjską inwazję na Ukrainę, sięgając do doświadczeń drugiej wojny światowej. Wykorzystuję przecież wiedzę odziedziczoną, pamięć emocji, jakie towarzyszyły rozmowom rodziców i krewnych. Ten podkład, fundament przyszłej postawy wobec świata, wobec polityki i historii, przez kolejne dziesięciolecia obrastał lekturami, obserwacjami bliskiego i dalszego otoczenia, filmami, dokumentami wszelkiego rodzaju, czasem rozmowami.

Dalej trzeba byłoby umieścić odwołania do własnych spostrzeżeń politycznych i historycznych. Fakty uzupełniać dłuższą, również pożyczoną perspektywą. Mówiąc o swoistej „pożyczce”, mam na myśli utrwalone w piśmie dziedzictwo intelektualne przeszłości – przez analogię do pożyczonego krajobrazu, pomysłu stosowanego w projektowaniu ogrodów. W tym aspekcie pouczający jest esej Henry’ego Jamesa *W bezpiecznym kręgu. Uwagi o wojnie* („Przegląd Polityczny” 2022, nr 175/176, przełożył Jacek Gutorow). Angielska tożsamość wyspy, jak skrótowo określam tu brytyjskie przekonanie o własnej niezwykłości, jest przeciwieństwem polskiej – i słowiańskiej – postawy pogranicza, ufundowanej na pesymizmie. Powinienem to może rozwinąć.

Pamiętać również, że pożytek z analogii z drugą wojną, i niewystarczalność tego podobieństwa wobec różnic technicznych i mentalnych (zmiana struktury społecznej, logika masy krytycznej, zapaść klimatyczna i tym podobne), nie objaśniają teraźniejszości w pełni.

3 stycznia

Ciekawą i wnikliwą analizę eseju Jamesa przedstawia towarzyszący jej szkic Jacka Gutorowa. Wiele także dają do myślenia publikowane obok esencjonalne uwagi Sigmunta Freuda o bezwstydnym i amoralnym przemoc państwowej, refleksje wynikające z obserwacji początków pierwszej wojny – Freud opublikował je w roku 1915.

„Państwo toczące wojnę – czytamy tu między innymi – pozwala sobie na każde bezprawie, na wszelką przemoc, do której prawa odmówiono by jednostce [...]. Państwo domaga się od swych obywateli całkowitego posłuszeństwa, całkowitej ofiarności, ale za sprawą nadmiaru tajności i cenzury pozbawia ich prawa do informacji i swobody wyrażania przekonań, co powoduje, że głos intelektualnie uciśnionych indywidualności cichnie w obliczu każdej niekorzystnej sytuacji i wszelkiej absurdalnej plotki” (przełożył Robert Reszke, „Przegląd Polityczny” 2022, nr 175/176).

Nowy numer „Przeglądu Politycznego” znakomicie poszerza spojrzenie na prowadzony przez Rosję terrorystyczny podbój Ukrainy. Wnioski z tych lektur nie mogą być budujące, lecz samo przypomnienie, czy raczej ponowne odkrycie dawnych tekstów, pomaga zrozumieć dzisiejszą sytuację.

9 stycznia

Uparty deszcz. Pogoda jak trzydzieści lat temu, kiedy na początku stycznia jechałem do Holandii na Rijksuniversiteit Groningen. W porozumieniu z Holendrami skierował mnie tam profesor Czesław Hernas, dyrektor i dobry duch wrocławskiej polonistyki.

Jechałem w ulewnym, marznącym deszczu, najpierw A4 w kierunku Berlina, dalej A2 do Hanoweru. Porywisty wiatr urwał mi lewą wycieraczkę, zjechałem na pas awaryjny i zdołałem w jej miejsce założyć prawą. Lód na szybie utrudniał obserwację drogi, fiat 125p ledwie wyciągał sto trzydzieści kilometrów na godzinę, co parę sekund wyprzedzało mnie kolejne auto pędzące w tej ulewie i mgłę co najmniej sto siedemdziesiąt, dodatkowo oblewając mi szyby błotem. Po południu wymęczony silnik zaczął kaszleć i szarpać, zjechałem z autostrady do Hildesheim, gdzie miałem nocować, a Hartmut Werner, serdeczny człowiek i na szczęście mechanik samochodowy, z trudem naprawił szwankujący rozrząd – ten rozsypał się dopiero po kilku miesiącach, gdy wróciłem z wyprawy do Lille, przez Gandawę i Brugię.

Jedne kadry z tamtych czasów i miejsc zmieniły się w spłaszczony, dwuwymiarowy album z nieostrymi, częściowo nawet zagubionymi fotografiami, a inne wciąż widzę z bliska i wyraźnie.

Pocztówka

*Hebban olla vogala nestas bagunnan hinase hic enda thu...*

Tak brzmi jedyny zachowany fragment staro-zachodnio-dolnofrankońskiej pieśni miłosnej (prawdopodobnie XI wiek), odnaleziony w 1934 roku i uważany za najstarsze zdanie napisane w języku niderlandzkim. Tak zgodnie twierdzą różne podręczniki historii niderlandzkiej literatury.

*Hebban olla vogala nestas bagunnan hinase hic enda thu...*

W przekładzie na polski brzmiałoby to mniej więcej tak: „Wić gniazda zaczęły już wszystkie ptaki, ale nie ja i nie ty...”.

Jakiś mnich utrwalił to najpierw po łacinie, ale zaraz poniżej spróbował przytoczyć ten fragment w oryginalnym brzmieniu. Zupełnie jak inny mnich, który jakieś półtora czy dwa stulecia później zapisał w *Księdze Henrykowskiej*: „Day ut ia pobrusa, a ti poziwai...”.

Z początku myślałem, że zdania te zasadniczo różnią się od siebie, bo podczas gdy autor holenderskiego wyśpiewuje swej damie miłość jak dworski *minnesinger* (pewnie nim był), autor zdania polskiego – ponoć Czech, ale nie zapuszczajmy się teraz w tę niepewną ścieżkę – więc autor polskiego zdania, dobry gospodarz i mąż, proponuje swej niewieście, że wyręczy ją w pracy. (Kronikarz pisze, że kobieta ta była leniwa – lecz z tego duktu lepiej też zawróćmy i trzymajmy się głównego traktu).

W odmienności tych dwu zdań chętnie dopatryłbym się symbolicznej różnicy kultur i z przyjemnością rozwijałbym to porównanie, wzbogacając je o coraz to nowe elementy. Kulturę, na którą patrzymy z zewnątrz, skłonni jesteśmy idealizować. Wstępna wiedza, z jaką do niej przychodzimy, głębsza czy płytsza, zwykle jest stereotypowa, wyprowadzona z cudzego doświadczenia i uproszczona w przekazie. Często zresztą nasze własne doświadczenia porządkujemy nieświadomie według tych stereotypów, bo zawsze przyjemniej jest myśleć, że się rozumie, niż błędzić w chaosie obrazów i znaków, do których odczytania nie mamy klucza.

Żeby to wszystko sobie przemyśleć, nie pozostałem przed niebieskim monitorem hewletta-packarda, który służył mi za notes w cichym gabinecie, znajdującym

się w gmachu zwanym Harmony, należącym do zespołu budynków Rijksuniversiteit Groningen. Posłuszny wspomnianemu wyżej prawu poznania wybrałem się nad jezioro. Zrobiłem to tym chętniej, że posłuszeństwo temu prawu wynagradzane jest przyjemnością estetyczną. Wsiadłem na rower – Holandię najlepiej widać z siodelka roweru – i po kilkunastu minutach jazdy asfaltową ścieżką wzdłuż kanału znalazłem się nad jeziorem.

Wypatrzyłem miejsce na cyplu pod wiatrakiem i usiadłszy na ławce, zawczasu tam ustawionej dla takich jak ja marzycielskich mieszczuchów, mogłem do woli patrzeć na szarzejącą od nadchodzącego zmierzchu wodę, po której bezszelestnie przesuwała się żaglówka. Na granatową tasiemkę drzew po południowej stronie, na nasyconą złotem tarczę słońca, które wybierało się zachodzić.

Znad mokrych łąk zaczynały wznosić się mgły, beżowa krowa z rudym cielęciem stały nieruchomo za moimi plecami, czekając na gospodarza, który zabierze je do ciepłej obory. Jak zwykle głośno kłóciły się o coś mewy i tuż obok ciężkim ślizgowym lotem wpadła do wody dzika gęś, pokazując mi na sekundę wzór pieprzowego i cynamonowego upierzenia. Daleko na północnym brzegu, pod czerwonałą pięcioguldenówką słońca, popielata sylwetka miasta Groningen zmieniała się w delikatną koronkę. Patrzyłem na to wszystko z apetytem i rozkoszowałem się przyjemnością bycia wewnątrz pocztówki.

Literatura wciąż tu spełnia, jak w siedemnastym wieku malarstwo, rolę powszechnego lustra, w którym Holender ogląda się na tle rodzinnej okolicy.

Dla wszystkich moich tutejszych znajomych, od których wyciągałem opinie o współczesnej literaturze – a w większości nie są oni niderlandystami – książka stanowi oczywisty składnik codzienności. Na pytanie o ulubionych i cenionych autorów odpowiadali tytułami nie tylko powieści, ale również esejów, felietonów i reportaży. Kiedy rewanzowali mi się pytaniem o autorów, w których książkach przegląda się polska aktualność, moją dyplomatyczną odpowiedź o tradycyjnej dominacji poezji w naszym piśmiennictwie poprzedzała może za długa chwila namysłu. Dla społeczeństwa, które nigdy nie musiało uzależniać swego przetrwania od romantycznych poematów czy powieści historycznych, najnowsza książka któregoś z własnych autorów pozostaje jednym z interesujących tematów konwersacji w domu przy popołudniowej kawie, w ogródku piwiarni czy na przyjęciu u znajomych. Pisarz, choćby nie wiem jak nowatorski, pozostaje portrecistą ich życia

i nadal intrygujące jest tu pytanie: czy widzi to życie podobnie jak my? Czytają, sprawdzają i dyskutują, bo wciąż jest ważne, czy nadal odnajdą siebie wewnątrz pocztówki.

13 stycznia

Uniwersytet Warszawski odwołał wykład doktor Hanny Machińskiej, do niedawna zastępcy Rzecznika Praw Obywatelskich, osoby ze wszech miar godnej szacunku. Zrobił to cichcem sekretariat uczelni, telefonicznie informując zaproszonych gości, że odczyt się nie odbędzie „z przyczyn technicznych”. O tym, że wydarzenie skasowano, sama zainteresowana została poinformowana „przez osobę pośredniczącą”. Coś mi to przypomina...

W styczniu, czy może w lutym 1979 roku, Ryska Institutionen, instytut slawistyki szwedzkojęzycznego uniwersytetu Åbo Akademi w fińskim Turku, gdzie byłem wykładowcą, zorganizował dla grupy studentów kilkudniową wycieczkę autokarową do Moskwy i Leningradu. Naszym przewodnikiem był szef instytutu, znakomity i niezapomniany profesor Kurt Johansson, Szwed z Uppsali. Istotny punkt programu stanowiła wizyta na moskiewskiej slawistyce. Termin był ustalony i szczegóły omówione. Gdy wsiedliśmy do autokaru, który miał nas zawieźć na spotkanie, oznajmiono nam, że nastąpiła zmiana programu i pojedziemy do muzeum – już nie pamiętam którego. Kiedy Kurt, zaskoczony jak my wszyscy, zapytał rosyjską „przewodniczkę”, zapewne agentkę, o powód tak nagłej zmiany, usłyszeliśmy, że „siewodnia uniwersitet zakryt dla remontu”. Jego Magnificencji oraz gremium kierownikowi UW dedykuję ten poręczny komunikat – zwrot „z przyczyn technicznych” nie brzmi dość akademicko.

Życzenia

Michał N., profesor fizyki na Uniwersytecie Warszawskim i mój dobry znajomy, opowiadał o ślubie jednej z doktorantek. N. nie był człowiekiem przesadnie religijnym. Ślub odbywał się w którymś z warszawskich kościołów, Michał poszedł z kolegą, także profesorem, grzecznie stanęli pod ścianą. Zjawili się też studenci, doktoranci. Celebrans, ujrawszy nową publiczność, chwycił wiatr w żagle i jął besztać wyznawców *in vitro*, groził piekłem zwolennikom aborcji, od których – jego zdaniem – aż się roi, miotał gromy na źle wychowywaną młodzież, co nie

dość gorliwie uczęszcza na religię. Siwemu proboszczowi zdawało się może, że jest reinkarnacją Piotra Skargi.

Po wszystkim, na schodach kościoła, profesorowie złożyli świeżej męźatce stosowne życzenia, a Michał N. dodał: „i tylko prosilibyśmy, żeby – kiedy będzie Pani brała następny ślub – nie był to już ten sam ksiądz”.

2 lutego

Od listopada mamy okres przejściowy, to nie zima i nie wiosna. Rośliny w tym się pogubiły, mają pączki i zawiązki listków. W karmnikach rozpychają się wróble, sikorki są dwie lub trzy, chyba te same, które zdarza mi się widywać latem. Przypuszczam, że nie przyleciały z północy, gdzie też jest cieplej. Nie pojawiły się zięby ani gile. Nie widać kwiczołów, które zjadały jabłka leżące w trawie albo w śniegu; dziwna jest nieobecność ptaków za oknami. Rzeczywiście, nowa pora – niezima i niewiosna.

Zupełnie jak klimat polityczny i poczucie rzeczywistości w naszym kraju: nie wojna i nie pokój. Odkąd Rosja najechała Ukrainę, żyjemy w tego rodzaju zawieszaniu. Daje się odczuć egzystencjalny niepokój.

I może to jest prawdziwe znaczenie tego słowa – jeszcze nie wojna, ale już nie pokój. Czy to chciał powiedzieć Tadeusz Różewicz w 1947 roku? Jeżeli nawet któryś z krytyków w ten sposób zrozumiał tytuł debiutanckiego zbioru wierszy, nie mógł tego napisać. Nie pokój panował w kraju, ale też nie całkiem wojna – stan, jaki przypada państwom przegranym i podbitym. Brak otwartej wojny to jeszcze nie pokój. Ciekawe, czy w wierszach z *Niepokoju* znalazłbym potwierdzenie tej interpretacji.

## Liczy się światło – poza tym nic nowego

Powyższy tytuł, to tytułem wyjaśnienia, jest złożeniem dwóch fraz, wyjętych z dwóch różnych wierszy, które przełożył z angielskiego na polski jeden z najwybitniejszych tłumaczy specjalizujących się w trudnej sztuce poezji, Andrzej Szuba – sam będący wśród poetów, nie tylko przez niego tłumaczonych, poetą wyjątkowym. Pierwszą frazę wyłowilem na potrzeby tego tekstu z wiersza Lawrence’a Ferlinghettiego pod tytułem *Światło*, drugą zaś z utworu Briana Pattena pod tytułem *Nasze życie stało się takie puste*. W pierwszym przypadku wiersz świeci światłem podwojonym, najpierw łodzi, potem zaś zapisanego tekstu – i dlatego może „nocą przywabiać ryby”, podczas przedłużanej przez pismo do dnia dzisiejszego podróży pary zakochanych w trzech komplementarnych wymiarach: faktycznym, zapisywanym i symbolicznym. Fraza druga, przepisana tutaj przeze mnie, pochodzi z lirycznej miniatury, przywołującej w czytelniczkiej pamięci ważne napięcia, właściwe dla dawnej poezji chińskiej lub dla haiku, w których nierzadko zapis *widzialnego* stawał się opisem *przezuwanego* albo, jeśli ktoś woli, na odwrót. Mamy więc tutaj ryby, wywabiane przez światło łodzi z ciemności wód „toskańskiego archipelagu”, tam zaś

chińską różę, rozkwitającą po roku od jej zasadzenia przez tych samych, być może, kochanków. I niech tak zostanie... Niby nic nowego, ale przecież zmusza do wejścia w przestrzeń pogłębionego namysłu, wstrzymania oddechu, wycofania, do poszukiwania oraz kontemplacji, jak miniatury poetyckie, tworzone przez Andrzeja Szubę właśnie. I tutaj też wyznam – to nie *Świat Hoppera* jako taki, czyli wybór „wierszy wczesnych i późnych” Lawrence’a Ferlinghettiego, wzbudził moje zainteresowanie w pierwszym odruchu, lecz fakt, że inkryminowanego wyboru (wraz z przekładami) dokonał autor *Postscriptów*, tego poetyckiego dzieła osobnego *in progress*, nazwany przez poetę Krzysztofa Siwczyka – nieobojętnie, niebanalnie i być może trafnie – „dawcą oddechu”, przy którym to dziele lubię się na dłużej zatrzymać, z różnych, także najważniejszych powodów.

Jeśli uznać za bliskie stanu faktycznego twierdzenie, że poeta podejmuje się translacji głównie po to, by odnajdywać u innych wersje nienapisanych wierszy własnych, to w przypadku translatorskich wyborów Andrzeja Szuby katalog takich wierszy jest zaiste imponujący. Mieści się w nim bowiem – dokonam tu z konieczności skrótu – zarówno poezja Emily Dickinson, mam wrażenie, czytając *Postscripta*, szczególnie mu bliska jako źródło zachwianej inspiracji, Walt Whitman, którego Szuba przekłada na polski bodaj najwytraw-

niej, T.S. Eliot, Ezra Pound, William Carlos Williams czy Edgar Lee Masters. Znajdą się też w tej „antologii osobistej”, by posłużyć się znanym tytułem Szuby i Tadeusza Sławka, Ginsberg i Ferlinghetti. Zaiste, razem i osobno, niezwykle to krainy i bardzo wciągająca lekcja – „geografii wyobraźni”. Andrzej Szuba, tłumacząc wiersze, udziela nam też lekcji polszczyzny z górnego rejestru, oczyszczonej, mocnej i wolnej od pośpiechu, która oddycha miarowo i pochyla się nad każdym słowem.

Nie inaczej jest w *Świecie Hoppera*, jeśli chodzi o nastrój, skupienie i namysł – w tym jakże osobistym moim zdaniem wyborze wierszy Ferlinghettiego, który podarował czytelnikom Andrzej Szuba, i który – jako że nie znam wcześniejszego wyboru poety z 1993 roku, powtarzam za wydawcą – „prezentuje mniej znane oblicze autora”. (Edward Hopper, jeden z moich ulubionych malarzy, jeśli chodzi o sceny miejskie, był drugim powodem, dla którego sięgnąłem po ten tom wierszy). Nie wiem też, jakie jest to bardziej znane oblicze Lawrence’a Ferlinghettiego, tego – i tu znów pojawi się słowo od wydawcy – „anarchisty o liberalnych i lewicowych poglądach”, bowiem od czasów głębokiego liceum, kiedy to natrafiłem na jego wiersze w pionierskiej antologii WL-u pod tytułem *Wizjonerzy i buntownicy* Teresy Truszkowskiej, zapamiętując z nich tylko jego włoskie nazwisko, z Ferlinghettim do czynienia nie miałem (będąc w owym czasie, co podaję jako ciekawostkę przyrodniczą, mniej lub bardziej zawziętym czytelnikiem poezji Allena Ginsberga,

którego autor *A Coney Island of the Mind* był redaktorem i wydawcą). (Dla porządku: wolałem *Kadysz*). Przyszło mi więc za sprawą tłumacza i kuszącego tytułu *odkryć* w wieku dojrzałym amerykańskiego poetę. Ale łatwo mi to nie przyszło, gdyż słabo wierząc w prawdziwe wartości stojące za bajecznym sukcesem słowa rozpisanego na wersy, musiałem najpierw oswoić się z myślą, że Lawrence Ferlinghetti (z niecałą czterdziestką na koncie) drugi tom wierszy sprzedał w ponad milionie egzemplarzy. (Łatwiej udało mi się wcześniej przełknąć, czytając pośmiertne wspomnienie, fakt, że przekroczył setkę). (A przecież, z tego, co wiem, palił papierosy!) (Tyle lat pociągnęła siostra mojej babci, ale ona nie paliła!) Do tego doszła legenda wydawcy – i *City Lights*. Więc ten Ferlinghetti wydawał mi się mocno podejrzany... Jakoś za bliski patryjarchów. (Nie można też napisać w ciągu życia pięćdziesięciu tomów wierszy, że tylko tę formę uwzględnię, bo niby o czym – o życiu?) Trochę więc trwało, zanim się z głosem Ferlinghettiego, zapośredniczonym przez Andrzeja Szubę, oswoilem – dlatego śmiem twierdzić, że moja opinia (tu suspens) będzie bardziej wiarygodna niż opinie czytelników w innej pozycji startowej względem poety.

Na *Świat Hoppera* składają się wiersze „wczesne”, do których należy wybrać z tomu *Pictures of the Gone World* tudzież *A Coney Island of the Mind*, odpowiednio z roku 1955 i 1958, a więc pierwszego (tłumacz posłużył się rozszerzoną o osiemnaście wierszy edycją z 1995 roku) i drugiego zbioru poety, oraz wiersze „późne” – z to-

mów *European Poems and Transitions. Over All the Obscene Boundaries* (z roku 1998), najobszerniej w *Świecie Hoppera* prezentowane, i *When I Look at Pictures*, wydanej w roku 1990). Pierwszą linijkę („Tak”) dzieli więc od ostatniej w polskim tomie („jak byśmy nie znali melodii”) trzydzieści pięć lat. Ale czy to ten „goły arlekin” z inicjalnego utworu mówi w wierszu finalnym, że

przyjdzie czas  
albo nie przyjdzie  
kiedy będziemy wiedzieli  
dlaczego żyjemy i dlaczego kochamy –

tego już nam malarka Berthe Morisot, szwagierka Édouarda Maneta, na obraz której patrzy w myślach nasz poeta, słuchając przy tej okazji „Pucciniego z szafy grającej”; nie pomoże w tym semantycznym złożeniu odgadnąć. Musimy poradzić sobie sami – jak w życiu doczesnym. I tak jest dobrze.

Co mnie w tym tomie urzekło albo wciąż urzeka, gdy go wertuję na nowo? Figura poety jako *voyera*, który nie może się nasycić podglądaniem toczącego się przed jego oczami życia wraz z jego urokami i nieprzeniknioną istotą? Piękno do podziwiania, jak Lady Godiva z obrazu Johna Colliera? „Ciała twarzą w dół” na plaży w Ostii, na które się patrzy z balkonowego cienia, bo „w pełnym słońcu / jak trupy / unoszą się na gorącym piasku”? Piękno do przerażenia, którego reżyserii podjął się Michael Powell pod tytułem *Peeping Tom? Świadectwo* wystawiane „nudzie wieczności” – niemal „widocznym

głosem”, który „płyne przez Cimabueński błękit”? (Pamiętajmy, że poeta był również malarzem). „Lekko drwiący uśmiech” dojrzałości, z jakim wsluchuje się w echa (własnej) młodości, podróżując po ziemi (pociągiem i samochodem) i po niebie (samolotem), po miastach, konkretnych i równocześnie: halucynowanych, na starym kontynencie, który go ukształtował, jak ojciec pochodzący z Brescii, którego nie poznał, i doktorat o mieście, symbolu w poezji współczesnej, który napisał dawno temu na Sorbonie? „Tajemnica tych masek / musi pozostać tajemnicą / jakby chodziło o życie” – to jedna z możliwych odpowiedzi. A jakaś inna, równie możliwa co wiarygodna? Niech będzie może ta, z arlekinem pojawiającym po raz drugi w *Świecie Hoppera* w roli znaczącej, choć tym razem jednak nie jest on „goły”, lecz „wieczny”:

Przez całe lata nie myślałem o śmierci.  
Teraz oddech  
wiecznego arlekina  
każe mi spojrzeć w górę tak jakby  
był tam jakiś suspendowany Ktoś  
kto mógłby przerobić mnie w anioła  
na statku rzeczonym grającego na pianinie.

Umówmy się: ten „suspendowany Ktoś” (i od dużej litery) nie brzmi dobrze po polsku – może „zawieszony” byłoby, tak po kuglarsku, zręczniej? Ale czy nie tak musi się po prostu spowiadać „gliniany lunatyk”, który „powrócił / po wielu latach nieobecności”, by na paryskim bruku

wypatrzyć „damę w kapeluszu jak szufla do węgla”, która dla niego (glinianego lunatyka) przechodzi ulicą – i na dodatek, jakby tego było w poezji mało – „czarny pudel / także biegnie za nią / jak cień”? (Pamiętajmy, że w wywiadzie, udzielonym Christopherowi Bollenowi przed piętnastu laty, Ferlinghetti podkreślał, że „poezja winna stawić czoła wyzwaniom czasów apokaliptycznych, nawet jeśli miałyby sama brzmieć apokaliptycznie”, z czym się tu zgadzam, chociaż widać jak na dłoni, że poecie w późnych wierszach bliżej do pogodnej odmiany „tragicznego optymizmu” niż do *hardcoru* Świętego Jana z Patmos). (Jest tutaj jednak pewien apokaliptyczny rys. Jakieś pęknięcie w dobrej orkiestracji. Otóż w cyklu „Canti Romani”, z którego Andrzej Szuba wybiera cztery pieśni z jedenastu, co potwierdza moje przypuszczenie o bardzo osobistym charakterze omawianego wyboru, w pieśni dziesiątej, o incypicie „W przystani hydroplanów w Ostii” słyszymy:

Aie! Aie!  
Krzyk z zaświatów  
domaga się pomsty  
za wszystkich poetów świata  
którzy tu z nim zginęli.

Chodzi tu o śmierć Piera Paolo Pasoliniego. Jeśli pominąć ten rodzaj, w wielu innych miejscach też żywej u Ferlinghettiego, *jankeskiej egzaltacji* w (nad)używaniu języka inkluzywnego, to przecież, pamiętając o tym bestialskim morderstwie w noc Wszystkich Świętych w 1972 roku, trybie

życia twórcy *Salò, czyli 120 dni Sodomy*, jego wyborach artystycznych i pozostawionym dziele, to niespokojnie możemy się tu zgodzić z punktem widzenia wiersza, choć do takich wniosków dochodzimy okrężną drogą, czytając choćby pisemne świadectwa Oriany Fallaci). (Skądinąd: podobna mi się u Ferlinghettiego jego antysystemowość, co też króciutko zaznaczam, bo trudno tego w zarysowanym kontekście nie uczynić).

A więc, wracając do przerwane go wątku, w tomie urzekł mnie najbardziej wybór z cyklu „Canti Toscani”. Jeśli ktoś rozmaczał kiedyś w oliwie, by dały się pogryźć, kawałki twardego chleba wyrwane z bochna upieczonego w Monteroni, pogryzał przy tym *pecorino*, sięgając równocześnie tłustymi dłońmi po butelkę z Bolgheri (Campo al Coccio), kiedy to po upalnym dniu zrywał się na wzgórzu lekki wiatr, w jednym błysku będzie wiedział, o co Ferlinghettiemu i Szubie tak naprawdę chodzi, gdy zabierają się za wiersze. Nawet jeśli Ben Shaun nie uzna tej sceny za godną uwagi i nie uwieczni jej na kliszy, to od dawna nieżyjący Cavallini Primo będzie od nas i tak przyjaźnie machał ręką. Do końca naszej biblioteki i pamięci.

Jeśli poezja jest w stanie przywoływać takie obrazy i skojarzenia, a ta jest, czego się po niej nie spodziewałem, to *chapeau bas*. Niech więc będą wybaczone jej słabości.

Artur Szlosarek

Lawrence Ferlinghetti, *Świat Hoppera. Wiersze wczesne i późne*, wybór i przekład Andrzej Szuba, Wydawnictwo Znak, Kraków 2024

## Zaniknąć i przemilczeć wszystko

O Andrzeju Szubie i jego twórczości – własnej oraz przekładowej – nie mówi się dostatecznie często, a jeśli już, to raczej ściszym tonem i skrycie. Ten stan rzeczy poświadczony jest przez temperament, postawę życiową, a także wartości, którymi kieruje się autor kruchych, ulotnych, gnomicznych i enigmatycznych, na ogół trzywersowych, zapisków – określanych przez niego samego strzępami lub równoległe postscriptami. Lakoniczna liryka znaczą strukturę wielu książek, również tej ostatniej, zatytułowanej *Przeddzwonnie* (zawiera sto czterdzieści tekstów). Pisane od 1986 roku krótkie utwory tworzą najważniejszy cykl poety, który zdaniem Mariana Kisiela: „nie poddaje się żadnym uogólnieniom” – jest epifanią – „wiedzie poetę do intymnej eksploracji duchowości”. Wyrte z milczenia będącego językiem duszy (Charles du Bos), wiersze-miniatury powstają z języka kwantowego – rozmaite „wartości są zagęszczone i wzbogacone” (Gaston Bachelard) – gromadzą w sobie wiekuiącą Tajemnicę prowadzącą nierzadko z ciemności do światła, przestrzeni istnienia wyższego bytu: „z dnia na dzień / wyraźniej i tylko / światłość cię zaciemnia” (*Postscriptum MXXXVI*).

Szuba jako jeden z niewielu polskich poetów współczesnych zarysowuje mapę ludzkiej duszy, wykorzystując do tego proste, bezpośrednie zdania – mówi o prawdziwym poznaniu, swoistego rodzaju

imponderabiliach, do których drogę wyznaczają mu kontemplacja i doświadczenia wewnętrzne. Tożsamy sposób myślenia o poezji w ujęciu krytycznym przedstawia w *Promieniowaniu tła* Paweł Próchniak. Pisze on: „Wiersz jest miejscem tajemnicy. W jego granicach »wypatroszone ze znaczenia metafory« i »zwietrzałe figury mowy« odsłaniają scenę, na której trwa przedstawienie – sztuka rozpisania na głosy słów, spektakl drobin języka iskrzących od semantycznego potencjału. I jednocześnie te same metafory i figury tworzą realnie obecną rzeczywistość, w której otwiera się »możliwość spojrzenia w głąb« – możliwość wejścia w »dal kulis«, wychylenia się poza horyzont znaczenia dostępnego filologii. Poezja domaga się takiego czytania, które ożywia kulisy znaczeń, »nadaje znaczeniu sens« i jest ruchem transgresyjnego przejścia »od znaczenia do pełni znaczenia« – od partytury wiersza do muzyki sensu, od płynnego śladu do rzeczywistej obecności czegoś, czemu wiersz pozwala uobecnić się lub zaistnieć”.

Dzięki transgresji, a także dzięki *licentia poetica* podmiot tych wierszy może „dopraszać się łaski / zdań słów / w końcu liter” (*Postscriptum CMLXXXVII*), czyni to za pomocą zredukowanego do minimum języka, który multiplikuje się i tonie w „nadznaczeniowości” czy – ujmując to inaczej – w wieloznaczności. Cechująca gnomiczną twórczość kontemplacja języka powoduje, że on sam – język – pozostaje „śladem i nieskończonym przekraczaniem granic samego siebie” (Giorgio Agamben). W *Przeddzwonnym* ten, który pisze, zatra-

ca się, zanika w słowie (i sobie), wyrazem tego są *Postscriptum CMXCIX*: „ze słów / bez klamek / jak wyjść” oraz *Postscriptum CMLI*: „gdy ciało i słowo / będą już / nie na miejscu”. „Słowa błądzą i zwodzą. Niejedna epistemologia wyklucza, by miały one dostęp do rzeczywistości”, pisze w *Poezji myślenia* George Steiner. Jednak później dodaje, że tak naprawdę „język musi wystarczyć”. Myśl amerykańskiego krytyka odzwierciedlają dwie miniatury, pierwsza brzmi: „nie / opisuj / bo jest” (*Postscriptum CMLXXXV*), natomiast druga, stojąca niejako w opozycji, przekonuje, że „nie ma nic / w tych jedenastu słowach / i jest całe życie” (*Postscriptum CMLXXV*). Posiadające status kreowania rozmaitych światów („wybuchłych” i „wchłoniętych”, nawiązując do formuły z liryku Ryszarda Krynickiego *Ile światów*), jak również obejmujące mistykę dnia codziennego, często „pyszne”, „nieporadne”, ale też „doskonale pakowne” słowa, kierują nas w stronę komunikowalnego milczenia oraz ciszy sakramentalnej tudzież transcendentalnej (echo myśli Kanta wybrzmiewa regularnie). Usytuowane – paradoksalnie – na granicy niewyrażalności litery, słowa, zdania, w końcu wiersze stanowią schronienie, cichą i bezpieczną przystań, notuje Szuba: „a słowo po to / by się w nim / skutecznie ukryć” (*Postscriptum MXXI*), „przygodziłeś się / tym słowom / tym literom” (*Postscriptum CMXXXV*), „o to że nic / tak skutecznie nie milczy / jak słowa” (*Postscriptum CMXXII*).

W kwestii najnowszej książki poetyckiej Andrzeja Szuby, jego radykalnej postawy wobec zastanej rzeczywistości objawia-

jącej się między innymi w werbalnej powściągliwości, wypowiedzieć zdążyli się w ostatnim czasie dwaj młodszy od niego o pokolenie poeci. Wojciech Bonowicz w krótkim felietonie na łamach „Tygodnika Powszechnego” (2024, nr 50) pisze, że autora *107 strzępów* (obok Piotra Matywickiego) postrzega jako poetę-mędrca, jego utwory zaś określa mianem myśli-wierszy. Poeta i publicysta poświęca uwagę recepcji twórczości swoich mistrzów-mędrców, zauważa, że ich „książki z rzadka bywają recenzowane czy nominowane do nagród – dodaje – nie są zresztą przeznaczone do czytania, raczej do przebywania z nimi”. Z kolei Krzysztof Siwczyk na popularnonaukowym portalu tygodnika „Polityka” (Pulsar) – w tekście noszącym znamiona noty recenzyjnej – kreśli portret Szuby w kontekście pamiętnego spotkania z Ronem Padgettem na Festiwalu Miłozsza w 2018 roku, nazywa go „pustelnikiem z ulicy Granicznej”, „najbardziej niewidzialnym z poetów i tłumaczy”, zauważa też, że polski pisarz „daje czytelnikom to samo, co Padgett, tylko robi to innymi środkami wyrazu: umożliwia oddech i współodczuwanie”. Przywołane komentarze mają nie tyle ugruntować obraz osobnej twórczości autora *Karnetu na życie*, ale zaprosić do lektury oszczędnych wysłowień „po-piśmie”. Pełne czułości, poetyckiej wrażliwości głosy i glosy mogą być dla czytelników – *stricte* medytacyjnych liryków – cennym palimpsestem i znakomitym tropem ułatwiającym (od)czytywanie spiętrzonych, pełnych metafizyki, znaczeń i sensów, które za (po)mocą kilku słów (po)nad nicłość

wznosi Szuba. Przykładem niech będzie finalny utwór odnotowujący wątpliwość lub pytanie dotyczące istnienia – czy ujmując rzecz w Heideggerowską formułę – bycia-w-świecie: „być / żeby nie być / za prawdę żeby nie być” (*Postscriptum MLVIII*).

Tom *Przeddzwonne* oddaje ducha medytacji, filozoficznego namysłu nad pozornie banalnymi sprawami życia codziennego, opowiada się za modelem sensualistycznego poznania. Książka niczym spichlerz gromadzi starannie wyselekcjonowane teksty, wśród których najwięcej dotyczy fenomenu ciszy i milczenia, ale osobny (równie potężny) kopiec wzniesiony ze słów zajmują wiersze zwracające uwagę na podstawowe problemy ontologiczne (w tym topos nicości, niebytu, istnienia i jego braku), które w swoim doświadczeniu poetyckim wyraża autor wyboru *Dzieci frezje zające*. Motywy te od wielu lat funkcjonują w kontekstualnym (nawiązującym nierzadko do cytatów, wierszy i książ), poetyckim świecie Andrzeja Szuby. Towarzysząca twórczości własnej praca translatorska wywiera nań określony wpływ, trudno jednak odnaleźć bezpośrednie związki, które są dla tej poezji istotne, ale jej nie definiują. Zwiąże wyraził to w ankiecie „Kwartalnika Artystycznego” (2014, nr 2) *Moi mistrzowie* sam poeta. Wypowiedź jest na tyle krótka, że warto ją przytoczyć w całości: „To, że nie umiem – na szczęście – nie pisać krótko, zawdzięczam angloamerykańskiej grupie poetów-imagistów sprzed stu lat, której przewodził Ezra Pound. Ci z kolei byli za-dłużeni u japońskich twórców poetyckiej

bizuterii sprzed wieków, więc to właściwie oni, orientalni mistrzowie, odpowiadają za moją werbalną powściągliwość”. Szuba, nie będąc obojętnym na odgłosy z zewnątrz, zaprasza do swoich utworów różnych pisarzy, artystów, przypomina i upamiętnia ich w aforyzmach. W książce znajdziemy co najmniej kilka utworów poświęconych różnym twórcom, w tym Czesławowi Miłoszowi, Williamowi Carlosowi Williamsowi, pojawiają się również nawiązania do tekstów kultury (Beckett, Picasso, Chagall i inni).

Z liczącego już (ponad tysiąc!) zapisków cyklu podejmującego wspomniane wyżej tematy, na szczególną uwagę zasługują wiersze-apoftegmaty, których punktem odniesienia są rozmyślenia natury eschatologicznej, frapują także gnomy nawiązujące do tradycji i symboli wyrosłych na gruncie kultury chrześcijańskiej, w szczególności Biblii. Co prawda o doświadczeniach religijnych, poszukiwaniach Boga w poetyckiej twórczości Szuby powiedziano niemało, to nowe wiersze stanowią asumpt do powtórnych odczytań aluzji, dialogów i zapisów rozmów z „Tym, który jest”. Oto kilka przedstawień Boga z omawianego tomu: „który jest jak i / co nie ma / początku i końca” (*Postscriptum MVI*), „bo jest / wszystkim / co nie istnieje” (*Postscriptum MVII*), „nie dość że jest / to jeszcze go nie ma / znać że wszechmocny” (*Postscriptum MI*). Podmiot rozważnie poszukuje i przekazuje swoje prawdy objawione, wchodzi w dialog z Absolutem, który w odsłonie tych miniatur widnieje „na liście zaginionych” (*Postscriptum CMLX*), przemawia „sło-

wem / nierzucającym cienia" (*Postscriptum CMLVIII*), pozostawia zaś „mądrość / nie-stawianych pytań" (*Postscriptum CMLXII*). Daleki od spisywania proroczych wizji, pocużeń, nakazów i zakazów, poeta stara się konsekwentnie projektować różne (możliwe w postsekularnych czasach) wyobrażenia na temat wiary, duchowości, transcendencji, które są efektem jego olśnień. Rozgrywająca się w tych wymiarach akcja sięga nierzadko poza nasz horyzont, toczy się w przestrzeniach dotykających centralnego punktu – *sacrum* – prowadząc nas w głąb prawdziwego poznania. Zarówno w nowych, jak i dawniejszych lirykach Szuby wyszczególnić można myśli dawnych Ojców Kościoła, do głosu dochodzą koncepcje nicości metafizycznej w ujęciu Mistrza Eckharta i Pseudo-Dionizego Areopagity, równie często odtwarzane są sceny z Pisma Świętego. Przykładem niech będą dwa osadzone obok siebie wiersze-paralele. W pierwszym cytuje Szuba fragment z Ewangelii według Świętego Jana: „i pisał palcem na ziemi« / pisał tak / jak się milczy" (*Postscriptum MXLVII*) – przywodzi on na myśl inny, znany już wiersz poety „Schyliwszy się, pisał palcem po ziemi". Drugi utwór przedstawia historię Zacheusza z Ewangelii Świętego Łukasza (opisuje ona niskiego zwierzchnika celników, który pragnąc ujrzeć wchodzącego do Jerycha Jezusa, wspiął się na drzewo): „bo nie było i nigdy nie będzie / sykomory odpowiednio wysokiej / aby można było go ujrzeć" (*Postscriptum MXLVIII*). Nawiązujące do zdarzeń biblijnych utwory wydają się pretekstem do pogłębionej analizy własnej jaźni i wni-

kającej weń Słowa. Twórczość ta sytuuje się bowiem w sferze metafizycznej, a nawet mistycznej, w poezji – pisze Georges Bataille – jest to okrojony obszar, związany mimo wszystko z domeną słów. Jak dodaje autor *Teorii religii*: „Domeną doświadczenia jest wszystko, co możliwe", natomiast „jeśli poezja wprowadza obcość, to jedynie środkami dobrze znanego".

Koda? W przypadku twórczości takiego autora, jakim jest Andrzej Szuba, wszelkie podsumowania mogą okazać się przedwczesne. Istotne, aby słowa były przeżywane, rezonowały i zamieszkały w nas, jak „w krajobrazie który żyje / w umyśle czytelnika" (*Cokolwiek to jest*) – jak pisze w liryku przełożonym przez Szubę Ron Padgett. Pozostaje zatem uważna lektura, czytanie wierszy od deski do deski (i na wrywki), czas na bycie z tekstem zakorzenionym w Słowie, zadawanie pytań implikujących wątpliwości i lęki (są to bowiem „namiastki obecności"). Przede wszystkim zostaje nam pokorne wsłuchiwanie się – w milczeniu – we wszystko to, czego nie słyhać: „a to czego nie słyszysz / to przeddzwonne / przeddzwonne" (*Postscriptum MCXCIII*).

Karol Maluszczyk

Andrzej Szuba, *Przeddzwonne*, Górnoląskie Towarzystwo Literackie, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk", Katowice 2024

## Życie opowiedziane

Nigdy nie dość przypominania postaci Józefa Czapskiego! Dlatego z prawdzi-

wą radością wypada przyjąć wznowienie przez Wydawnictwo Próby książki: Józef Czapski, *Świat w moich oczach. Rozmowy przeprowadził Piotr Kłoczowski*. Pierwsza edycja, trudno dostępna, ukazała się nakładem Éditions du Dialogue i Apostolicum w 2001 roku. Obecna, jak pisze wydawca, „została uzupełniona o fragmenty rozmów – czasem linijki, czasem akapity – pominięte w pierwszym wydaniu. Ich przywrócenie stało się możliwe dzięki odnalezieniu w archiwum Wojciecha Karpińskiego oryginalnego maszynopisu rozmów”. Całość uzupełniają wspomnieniowy esej Piotra Kłoczowskiego pod tytułem *Skrawki*, drukowany poprzednio w skróconej postaci w „Zeszytach Literackich” (1993, nr 44) tuż po śmierci Czapskiego, *Słowo wstępne* do pierwszego wydania oraz wybór zdjęć przedstawiających malarza i pisarza w różnych okresach jego życia.

Od razu muszę się skorygować: malarza i pisarza? Przecież Czapski brał także udział, jako żołnierz i oficer, w wojnie polsko-bolszewickiej, był sowieckim więźniem, dokumentalistą zbrodni katyńskiej, redaktorem „Orla Białego”, oficerem w Armii Andersa, współzałożycielem i długoletnim pracownikiem „Kultury”, autorem esejów o rosyjskich filozofach, wybitnym krytykiem sztuki i literatury. Postacią zbyt złożoną, by ją łatwo opisać i przyszpilić. Rozmowy z Piotrem Kłoczowskim raz jeszcze, z całą wyrazistością uzmysławiają, jak dalece w różnych okresach swojego długiego życia przebywał równocześnie w co najmniej dwóch odrębnych i rozmaicie się dających zdefiniować światach. Na początku, w czasach

dzieciństwa i młodości, w świecie kultury rosyjskiej, w której się wychował, i polskiej, którą odkrył dosyć późno. W Paryżu dwudziestolecia – w kręgu artystycznej bohemy i w sferach arystokracji, z którą był spokrewniony. Szczególnie zapada w pamięć scena, kiedy Czapski, razem z innymi kapistami klepiący biedę w nędznym mieszkaniu, jest zapraszany na obiad przez księcia Radziwiłła i jedzie karetą do jego pałacu. Podczas drugiej wojny światowej Czapski obracał się wśród oficerów z najbliższego otoczenia generała Andersa, a równocześnie – utrzymywał bliskie kontakty z prostymi żołnierzami. W latach emigracji – mieszkaniec Maisons Laffitte stał się łącznikiem pomiędzy zespołem „Kultury” a intelektualistami francuskimi oraz gośćmi Jerzego Giedroycia przybywającymi z PRL.

Jego życiorysem można by obdzielić wiele osób! Jego biografia przypomina *roman pitoresque*, powieść awanturniczą pełną niezwykłych przygód, raptownych zwrotów akcji, zdumiewających spotkań, cudownych ocalań. On sam niczym Kandyd uniknął wielu śmiertelnych niebezpieczeństw. Kiedy owładnięty Tołstojowskim pacyfizmem pojechał do ogarniętego rewolucyjnym wrzeniem Petersburga, by szerzyć wśród Rosjan ideały pokoju i braterstwa ludzkości. Kiedy znalazł się w Starobielsku, ale nie podzielił losu zamordowanych w Katyniu oficerów. Kiedy, szukając ich, wysłany do Stalina, spotykał się z wysokimi notablami sowieckimi. Powiada z prostotą: „przecież nie było nic prostszego, jak mnie zlikwidować i napisać do generała Andersa, że

wielkie nieszczęście się stało, bo pański przedstawiciel zginął”. I dodaje: „Nie wiem dlaczego, ale tak było, że ja wszędzie suchą nogą przechodziłem”.

Czapskiego w tych rozmowach porywa spontaniczny żywioł narracji. To urodzony gawędziarz w dawnym stylu! Wielką zasługą Piotra Kłoczowskiego jest już to, że ten talent autora *Wyrwanych stron* utrwalił. Czapski snuje swoją opowieść ze swadą, polotem, barwnie, wplata w nią anegdoty, spostrzeżenia przenikliwe i uwagi banalne, środowiskowe plotki i myśli głębokie, nie dbając zanadto o ich hierarchię, chcąc, by pozostały splecione ze sobą, jak to w życiu bywa. Z wyjątkową otwartością mówi o stosunku do rodziców i do siostry, o swoich związkach uczuciowych i przygodach erotycznych. A zarazem jego szczerość oraz socjologiczna intuicja sąsiadują z talentem do kreślenia portretów – plastycznych w wyrazie, pełnych wewnętrznej dynamiki, rozwibrowanych psychologiczną prawdą, zabarwionych zarówno sympatią, jak i delikatną ironią. W ten sposób portretuje między innymi członków grupy kapistów: Pankiewicza, Cybisa, Waliszewskiego. Ale także Jerzego Giedroycia i Konstantego Jeleńskiego.

Szczególnie frapująca jest galeria arystokracji, wobec której, zachowujący pewien sentyment członek rodu spowinowaconego w całej Europie, nie pozostaje bezkrytyczny. Obdarzony wprost fenomenalną pamięcią, Czapski tropi powikłane związki swojej klasy społecznej, ujawnia jej sekrety i przestępstwa, kpi z jej snobistycznych upodobań, krytycznie odnosi się do

objawów moralnego zepsucia i degrengolady. Jawi się jako archeolog świadomości własnej i zbiorowej. Kiedy czytałem jego wspomnienia o przedwojennym Paryżu, przecierałem ze zdumienia oczy. Ten Paryż tak naprawdę niewiele się różnił od obrazów, które kreślili Proust, a nawet Balzac! Podobne były mariaże zawierane dla zdobycia tytułu przez bogatą burżuazję – tym razem nie francuską, lecz amerykańską – ze zbiedniałymi rodzinami arystokratycznymi. Podobne niezbyt uczciwe formy zdobywania pozycji i bogacenia się, wspięcia się na szczyt i zasłużenia na poklask, co nierzadko kończy się gwałtownym upadkiem. Świat sztuczny, zamknięty pod kloszem, groteskowy w pogoni za ulotnym blichтром, karmiący się iluzjami, a przecież w swej istocie do głębi tragiczny. Czapski staje się przewodnikiem po krainach, po których prawie ślad nie pozostał.

Niektóre opowieści o losach bliskich przyjaciół malarza przypominają fabuły podrzędnych romansów. Na przykład dzieje Aleksandra „Saszy” Rzewuskiego. Jak powiada Czapski z odcieniem ironii lepiej urodzonego i doskonale wtajemniczony we wszelkie koligacje: „Jego ojciec był z lewej ręki jakiejś gubernatorowej rosyjskiej. To była tajemnica nad tajemnicami. Ale cesarz pozwolił mu nosić nazwisko Rzewuskiego, tyle że nie wolno mu było używać tytułu”. Tenże Rzewuski zgromadził niemały majątek, tworząc artystycznie bezwartościowe, zabarwione erotycznie grafiki, które schlebiali gustom bogatych arystokratek i Amerykanek. Cyniczny w zdobywaniu pieniędzy i wykorzysty-

waniu zadurzonych w nim kobiet, potrafił jednak okazać serce, opiekując się Czapskim i jego siostrą podczas ich choroby. Po śmierci ukochanej niani wpadł w rozpacz i stracił chęć życia. Wówczas Czapski zawiózł go do Jacques'a Maritain'a. Po rozmowie z nim Rzewuski doznał prawdziwej duchowej przemiany: sprzedał wszystkie majątności, odprawił służbę i wstąpił do klasztoru, w którym dokonał żywota.

Równie barwna, a może nawet barwniejsza jest postać Jana Tarnowskiego. „Król życia. Największy filozof z filozofami, największy malarz z malarzami”, zniewalający wszystkich osobistym urokiem, „jednego dnia mógł się pokazać jako arcyarystokrata, który rozmawia tylko z wyższymi sferami, a wieczorem siedzieć na dworze w kawiarni, rozchełstany, jak jakiś ordynarny Francuz”. Z równym wdziękiem i swobodą stawał się utrzymankiem bogatych starszych kobiet. A równocześnie był znanym w swoim środowisku kleptomaniem, przed którym dyskretnie ostrzegano gospodarzy przyjęć. Uprawiał kawę na plantacji w Kenii, a kiedy zbankrutował, wrócił do Paryża, a następnie wyjechał do Chin, skąd przywiózł wagon cennej porcelany. Jak powiada Czapski: „Okazało się, że on w Chinach kontynuował to swoje złodziejstwo. Ten cały wagon to były rzeczy częściowo kupione za grosze, a częściowo ukradzione”. „Król egoizmu” i cynik umiał się jednak zdobyć, jak przyznaje Czapski, na gesty prawdziwej hojności i ofiarności. Pod koniec życia zamieszkał z siostrą w Szkocji w pięknym domu podarowanym mu przez lorda. „Zrobił się na Szkota. No-

sił wielkie wąsy i buhaje kupował”. Ale i ta rola szybko mu się znudziła. W Edynburgu, gdzie zmarł, zajmował się, uchodząc za specjalistę, handlem chińskimi artykułami.

Już samo wymienienie nazwisk wielkich ludzi, których Czapski poznał wówczas osobiście, przyprawia o zawrót głowy! Byli wśród nich wybitni artyści, pisarze i filozofowie. Czapski spotykał się między innymi z Picassem i Degasem, z Cioranem dyskutował na temat poezji Valléry'ego, znał dobrze Maritain'a, Malraux, Camusa i Cocteau, serdecznie przyjaźnił się z Halévy'm. Zawsze otwarty, ciekawy ludzi, pełen dla nich szacunku i autentycznego zainteresowania, w rozmaitych światach poruszał się ze swobodą, umiając nawiązywać znajomości i przyjaźnie z przedstawicielami różnych warstw i środowisk społecznych. Cechowała go, czego również ta książka jest świadectwem, ujmująca, niemal dziecięca prostolinijność połączona z przenikliwą inteligencją, głęboka mądrość ukryta pod pozorami naiwności.

Dlatego pewnie nie znalazł wspólnego języka z Witoldem Gombrowiczem, z którym się spotkał, jak wspomina, w przedwojennej Warszawie. Scenka jest wyjątkowo zabawna, a zarazem niezwykle wymowna: „Bardzo mnie zirytował, ciągle robił grymasy. Pamiętam, że w jednym ze swoich artykułów opowiada o takim hrabi, który się szczycił rasową pęciną, stale ją wystawiał itd. I ja węszyłem, że on przyszedł do mnie po prostu po to, żeby ze mnie małpę zrobić. Nic nam nie wychodziło: ja mówiłem o malarstwie, on o pisarstwie – malarstwo w ogóle go nie obchodzi, ale musi mieć

piętnaście tysięcy złotych, bo on musi robić koktajle. Wtedy mówiło się *five o'clock*".

Owe „koktajle” były Gombrowiczowi potrzebne, by „widywać ludzi”. I nie przypadkiem. Pierwowzorem hrabiny Kotłubaj – wyjaśnia dalej Czapski – co dla Gombrowiczologów jest niezwykłą gratką, była Maria Krasieńska, „jedna z rzadkich pań, która się niby interesowała sztuką, a jednocześnie zajmowała się biednymi dziećmi”. Wydawała obiady, na które zapraszała również Gombrowicza. Dalszy komentarz Czapskiego świadczy, jak dalece nie rozumiał istoty pisarstwa autora *Ferdynurka*, jak obce mu były filozofia gry oraz groteskowy zamysł we wspomnianym opowiadaniu: „on zrobił z niej taką hrabinę, która hodowała dzieci i z tych dzieci gotowała doskonałe potrawy...”

Czapski podkreśla, że snobizm i uprzedzenia arystokracji były mu całkowicie obce, nade wszystko czuł się malarzem. Wypowiada się też na ten temat w sposób nie tylko kompetentny, ale i oryginalny, jako członek tego samego artystycznego bractwa. Warte uwagi są jego opinie o obrazach Cézanne’a, Degasa, Matisse’a, Chagalla i Soutine’a. Ale, wypada przypomnieć, jako malarz Czapski został spełniony i doceniony dopiero pod koniec długiego życia. Jako pisarz nadal, moim zdaniem, nie doczekał się właściwej rangi, ginąc w cieniu takich tuzów literatury emigracyjnej, jak Czesław Miłosz, Witold Gombrowicz, Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Stempowski, Konstanty Jeleński. A przecież jego pisarstwo z upływem czasu nie tylko nie traci na znaczeniu, ale przeciwnie

budzi coraz większe uznanie i zainteresowanie. Już choćby jego niedawno wydany *Dziennik wojenny* uznać należy za dzieło wybitne, zaś wielotomowy *Dziennik*, do dziś znany jedynie we fragmentach, za wyjątkowe osiągnięcie tyleż pisarskie, co artystyczne. Zapiski codzienne i cytaty z czytanych dzieł towarzyszą w tym *Dzienniku* w sposób oryginalny i niepowtarzalny z kreślonym na marginesie scenom bieżącego życia, uchwyconym i zatrzymanym w momentalnym mgnieniu. W tych chwilach, kiedy zobaczone i przeżyte spleta się w nierozzerwalny węzeł z utrwalonym piórem lub pędzlem.

Nie przypadkiem szczególną uwagę Kłoczowskiego przykuwa sam proces rozdzenia się dzieła artystycznego. Pytanie, w jaki sposób silne emocjonalnie, jednostkowe doznanie znajduje malarską formę? Przykładem staje się dla rozmówców utrwalona przez malarza zobaczona na stacji metra czarnoskóra kobieta, w której Czapski dojrzał w rodzaju estetycznego jasnowidzenia nie tyle konkretną osobę, ile ucieleśnienie bolesnej, dotkliwej i ostatecznej samotności. W tym miejscu w rozmowie pada szczególnie ważne wyznaczenie: „Jeżeli chodzi o tę kobietę to jest współczucie. Jeżeli chodzi o mnie, to jest wieczna tęsknota za wyrażeniem tego współczucia, które jest we mnie, współczucia wobec grozy życia. Przyjrzyj się światu. Jest kulą ziemską nieoddychalną. A jednocześnie są takie dziwne rzeczy, że wielki ból... czego? ...istnienia? Życia? Osobistego zakochania nawet? Ból wzrasta i odkrywa pewne warstwy w człowieku, o których on nie wie, że

są. To jest nowe odkrycie świata. Zawsze jedyne. Nie ma reguły.

Gdzie indziej dodaje, cytując wiersz Norwida: „jeżeli spotyka cię nieszczęście, niezależnie jakie, to odruchowo je ludzie odsuwają, gdzieś w głąb wciągają. »Nie ma go«. Nieprawda! Wyzwoleniem z cierpienia, takiego czy innego, jest pogłębienie go w świadomości, a nie odwracanie oczu. Takie jest moje doświadczenie”.

W pewnym miejscu stwierdza: „Wiesz, dobra rozmowa jest, kiedy nie umie się człowiek wypowiedzieć, ale właśnie w tym »niezrozumiałym« komunikuje się wzajemnie. Spotkanie tej niebywałości przeżycia, jego niewypowiedzalności, to jest wielki skarb i wielka rzadkość. To jakaś współdzwicznosc na pewne nuty. Ta współdzwicznosc przekracza granice wieku, doświadczeń, formacji”.

Przełamanie „niewypowiedzalności”, komunikacja w „niezrozumiałym” są w tych rozmowach możliwe jedynie dzięki temu, że Czapski spotkał wyjątkowego rozmówcę. Jak powiada na zakończenie rozmów: „Trudno jest znaleźć człowieka, z którym tak się mówi, jak ja teraz z tobą. To jakaś współdzwicznosc na pewne nuty”. Bo też z Piotrem Kłoczowskim odczuwał głębokie, niewymagające słów, wewnętrzne porozumienie, ową „współdzwicznosc na pewne nuty”. Trafił na osobę wybitnie inteligentną, wrażliwą i czytaną. Znakomitego znawcę literatury i malarstwa. Kogoś, z kim był serdecznie zaprzyjaźniony, kto zdobył jego zaufanie, a zarazem znakomicie znał cały jego pisarski oraz artystyczny dorobek, a także środowisko

emigracyjne. Kto śledził jego wywody z bystrą uwagą, domagał się uściśleń i dopowiedzeń, ograniczając swoje komentarze do minimum, a zdobywał się na dialog czy polemikę tylko wtedy, gdy miał coś ważnego do powiedzenia. Nade wszystko starał się w spontaniczne i wielowątkowe opowieści interlokutora wprowadzić pewien ład i przejrzystość, zachować w nich chronologiczny porządek. Piotr Kłoczowski, za co winni mu jesteśmy szczególną wdzięczność, świadomie ograniczając się do skromnej roli wysłannika innego czasu, utrwalił w tych rozmowach bezcenne świadectwo jednego z ostatnich przedstawicieli bezpowrotnie minionej epoki.

Aleksander Fiut

Józef Czapski, *Świat w moich oczach. Rozmowy przeprowadził Piotr Kłoczowski*, Wydawnictwo Próby, Warszawa 2024

## Gabinet lektury

Jon Fosse to pisarz niezwykły – jest w nim pewność, wie, czego chce, jakby go ktoś prowadził, od lat, i on wie, co to jest.

Rytm, powtórzenia słów, fraz, ale i sytuacji, wydarzeń, w kolejnych nawrotach, wyrazistych, posuwających naprzód i jednocześnie umieszczonych w chmurze niedopowiedzeń.

Znaczenie i brak znaczenia i potem wynikające z niego dopowiedzenie czy rozszerzenie tego, co wiedziało się przedtem, w bezpośrednim kontakcie z tekstem.

Modelowe historie i wydarzenia – przedstawiane w poezji, prozie i dramacie,

w różnych odsłonach, wersjach, wariantach i zasłonach.

Na scenie jakby rozgrywał się wewnętrzny świat postaci, niewidoczny, ale mający decydujący wpływ na to, co się dzieje i co widzimy – za kurtyną i z podniesioną kurtyną.

To, co było, ma decydujący wpływ na to, co jest i co w takich lub innych przeobrażeniach będzie lub ewentualnie może się stać.

Wszystko to jest zwykłe, jakby dobrze znane, a przecież niezwykle, tajemnicze, absorbujące.

Ważne są słowa, każde z nich, i to, czego się nie mówi, milczenie i cisza.

Samotność wynikająca z niezrozumienia i traumatycznych przeżyć i zwyczajność, zwykłość, które stają się coraz bardziej niezwykle, nie wiadomo czy bardziej bliższe czy obce.

Widzimy to, co jest główne, podstawowe i decydujące: miłość i jej brak, wierność i zdradę, życie, śmierć i ich wymiar.

Wielkie wrażenie robią asceza i prostota słownictwa, hermetyzm i otwarcie języka, jego oddanie, ale i obcość, przeplatające się pasma głosu i ciszy, i duża rola interpunkcji, która zredukowana jest prawie do minimum.

Słowa i frazy wracają raz po raz, jakby nabierając ostrości, podkreślając swoje znaczenie, odsłaniając i rozszerzając sens.

To odwołanie do pisarskiej strategii i praktyki Becketta, który, jak pamiętamy, nie raz wypowiada się o języku w niezwykle ważny sposób.

W mowie noblowskiej zatytułowanej *Język ciszy* Fosse mówi o swoim miejscu

w sobie, o języku literackim, samotności, głosach w pisaniu (dwu- i wielogłosie), o wyrażaniu tego, co niewypowiedziane, duchu całości, który przemawia z bliska i z daleka i stwierdza: „W mojej dramaturgii słowo *pauza* jest bez wątpienia najważniejszym i najczęstszym wyrazem – długa pauza, krótka pauza, po prostu pauza. / Pauzy te mogą pomieścić szalenie dużo, ale też bardzo mało. To, że czegoś nie można wyrazić, że nie chce się tego wyrazić, albo że najlepiej daje się to wyrazić, nie mówiąc niczego”, dodając, że pisanie upodabnia się do muzyki i jest jak modlitwa.

W wywiadzie powiedział, że jako młody pisarz został zapytany publicznie, po co pisze. Odpowiedział: „Dla Boga”. Wspomina: „W katedrze w Kolonii widziałem ludzi w środku dnia, którzy byli głęboko pogrążeni modlitwie. Zbliżyli się do Boga na swój własny sposób, zgodnie ze swoją katolicką tradycją. Czuję coś bardzo podobnego, kiedy piszę, kiedy myślę o świecie w skoncentrowany i szczery sposób”.

W *Ktoś tu przyjdzie*, pierwszym tekście, który napisał dla teatru, występują trzy osoby: On, Ona i Mężczyzna i wszystko dzieje się w starym domu z widokiem na morze, który stoi na odludziu, na urwisku (to miejsce wielu jego utworów). On i Ona chcą w nim być, „daleko od innych domów / i innych ludzi”, razem ze sobą – sami razem.

„Będziemy razem sami / w sobie nawzajem”, mówi Ona, On to powtarza i wiele razy to powtarzają. Ale Ona czuje od początku, że „ktoś przyjdzie”, a nawet, że „ktoś tu jest – w tym ślicznym starym domu nad czarno-białym morzem”.

„Jesteśmy sami razem”, mówi On, a Ona powtarza, że już ktoś tam jest i ktoś przyjdzie i w tych powtórkach nagle dodaje: „Nigdy nie będziemy razem”, chociaż On mówi: „jesteśmy razem ze sobą? Sami / razem w sobie”.

Wydaje się, że słyszą kroki. I zjawia się Mężczyzna, były mieszkaniec tego domu, który im go sprzedał i mieszka niedaleko. Są na odludziu i on chce z nią czy z nimi spotykać się, żeby byli towarzystwem. Zaprasza do siebie na kieliszek i mówi, że będzie ich odwiedzał, a On wie, że „nigdy nie pozwoli / mnie i tobie / być we dwoje”.

Patrzmy na powtórzenia słów i fraz i widzimy, jaka w tym jest ich siła. Nie ma miłości między nimi? Co przeżyli? Kłamstwa? Zdradę? Obojętność? Ona mówi: „I teraz będziemy razem / będziemy sami / razem w sobie / I nikt tu nie przyjdzie [On znów wygląda przez okno. Ona patrzy na niego. / Bez przekonania] Będziemy razem [Bardziej przekonana] Tylko ty i ja [jeszcze bardziej] Nikt inny [Całkowicie przekonana] Nikt nie przyjdzie”, na co On odpowiada: „Znów tu jest”.

Oglądają pokoje, przyglądają się zawieszonym na ścianach zdjęciom. Ona wtula się w jego bok i mówi: „Chcemy odpoczywać / w sobie nawzajem” i On odpowiada: „No i odpoczywamy / w sobie nawzajem”. Ale ciągle nasłuchują, są wystraszeni i zmartwieni, czują, że tamten będzie zawsze przychodził. Słyszą pukanie do drzwi i zjawia się Mężczyzna, rozmawiają, daje im swój numer telefonu, a odchodząc mówi, że jeszcze kiedyś wróci. On ma do niej pretensje, jakby do cze-

goś między nią a Mężczyzną doszło i przeczuwa, że dalej będą ze sobą w kontakcie.

Chodzi po podwórzu tam i z powrotem, siada na ławce, przychodzi Ona, siada obok niego i głaszcze go po policzku.

Bardzo to precyzyjnie napisane, uściślo-  
ne didaskaliami. To, co jest podane, i to, co jest do dopowiedzenia, wymyślenia, chyba w takich samych proporcjach. Napięcie dopowiedzeń i niedopowiedzeń, jakaś intensywna gra przeszłości i terażniejszości, to, co dokładnie widziane, i to, co niewidzialne, mocno i wyraziście obecne – nieobecne.

Podobnie, a nawet bardzo podobnie jest w pozostałych sztukach. Jak u Bergmana: psychodramy połączone z religijnym wymiarem i metafizyczną perspektywą.

*W Imieniu* Młoda dziewczyna w ciąży, przyjeżdża nagle do rodzinnego domu, w którym nie czuje się dobrze. Właściwie trudno jest streszczać, bo to, co najważniejsze, dzieje się wewnątrz nich i bardziej w tym, czego nie mówią, niż w wypowiedzianych kwestiach.

Przyjeżdża jej Chłopak, który jest przedstawiony jako ojciec dziecka. Ona ma do niego pretensje, mówi, że nie chce tam zostać, bo zwariuje. Zarysowuje się sytuacja i krąg osób. Zjawia się Siostra, z pozdrowieniami od Bjarne, jej przyjaciela z dawnych lat, przychodzi Matka. Chłopak prawie cały czas czyta książkę. Dziewczyna ma mu za złe, że nie słucha, co do niego mówi i że go nic nie obchodzi, jest bliska płaczu. On mówi do jej Siostry, że nie chciałby mieć z nią dziecka. Zjawia się małomówny Ojciec.

Co to jest? Na pewno nie komedia. Ale czy tragedia? Dziwna rozmowa Dziel-

czyzy z Chłopakiem, który mówi do niej, że chyba go nie lubi, i pyta, czy nie chce, żeby wyjechał, a ona odpowiada, że bardzo nie chce tam być. Dziwnie ze sobą rozmawiają. Zastanawiają się, jakie imię będzie mieć dziecko. On proponuje, że Bjarne, na co ona reaguje w zdumiewający sposób. Chłopak mówi o jeszcze nienarodzonych dzieciach, ich oczekiwaniach, pragnieniach i lękach, że są ludźmi, tak jak zmarli i jak ci, którzy żyją teraz.

Przychodzi Bjarne, Dziewczyna ożywia się, zaczyna z nim flirtować, a on głaszcze ją po brzuchu. Powstaje dwuznaczna sytuacja i zaczyna robić się jednoznaczna. Chłopak jest bierny, prawie wcale się nie odzywa, wreszcie wychodzi, oni zostają sami, kładą się i obejmują. Gdy wraca, Dziewczyna okazuje mu obojętność, on bierze torbę i wychodzi z domu. „Pewnie wróci – śmieje się – A jeśli odszedł na dobre / to będę mogła dać mojemu synkowi na imię Bjarne”.

Bjarne wychodzi. Dziewczyna patrzy w mrok. „[*Pauza. Wyciemnienie. Kurtyna*]”.

W *Dziecku* występują cztery osoby; są bezdomni, samotni, opuszczeni. Włóczą się po mieście, zbierają butelki, piją piwo, palą papierosy. Lapidarne dialogi – anty Ibsen, więcej niż Bergman. Kwestie jednowyrazowe, pauzy, uśmiechy, spojrzenia, gesty, zaniechania; brak znaków interpunkcyjnych.

Przy wiacie, w której siedzą, jest kościół i Agnes i Fredrik, który wcześniej zapytany przez Arvida, czy wierzy w Boga, odpowiada: „Ani wierzę, ani nie wierzę. / Ale coś w tym jest”, mówi do niej, że nie

pamięta, kiedy ostatnio był w kościele, ale modli się do Boga i ona proponuje, żeby weszli do środka i pomodlili się razem i że będzie to dzień ich ślubu.

Zamieszkują ze sobą, z okna widzą wiatę na przystanku autobusowym, w której przesiadywali, planują wyjechać z miasta i osiąść w starym domu nad morzem, dowiadujemy się, że ona jest w ciąży. On jest zazdrosny o Arvida. Ona mówi: „Teraz / jesteśmy tylko ty i ja / Prawda / [*Błagalnie*] Tylko ty i ja” i dodaje z lekką ironią: „Jesteśmy teraz porządnymi ludźmi”.

Odwiedza ich jej matka. Fredrik widzi przez okno, że Arvid siedzi w wiacie, pyta Agnes, czy to on dzwonił, wypomina jej wizyty u niego, mówi, że z nim mieszkała, a teraz: „jesteś i z nim i ze mną”.

W trzecim akcie akcja dzieje się w szpitalu. Fredrik czeka na rodzącą Agnes, dowiaduje się, że są poważne komplikacje, ale szanse są i trzeba mieć nadzieję. Pielęgniarka stara się go uspokoić, pociesza, że będzie dobrze, że trzeba być dobrej myśli. Zapytana, czy szanse są duże, odpowiada, że nie, prawie żadne. Jest noc. On mówi, że wynajęli stary dom nad morzem i bardzo chcieli mieć dziecko. Opowiada w skrócie ich historię i mówi, że dziecko jest jak życie, najważniejsze i że nie da się tego nazwać. Pyta ją, czy wierzy w Boga, a ona odpowiada, tak jak on kiedyś, że coś w tym jest i zaraz dodaje, że tak, wierzy i on opowiada jej, jak to się stało, że zaczął wierzyć. Nagle mówi: „Dziecko umrze” i z jej odpowiedzi domyśla się, że jest to patologiczna ciąża.

Przywożą Agnes, poród jest opóźniony. Rozmawiają, w świadomości i nie-

świadomości spraw. On wychodzi zapalić papierosa, a Agnes mówi: „Jeśli dziecko umrze ja też nie chcę żyć”. Przynoszą wyniki, trzeba przyspieszyć poród, dla jej bezpieczeństwa.

I znowu są ze sobą, stoją między wiatą a wejściem do kościoła. Agnes pyta, czy ksiądz pochował dziecko, Fredrik odpowiada, że tak. „Bo to było dziecko”, mówi ona. „Tak”, odpowiada i po chwili: „To było dziecko”, „Tak”, potwierdza ona i on mówi: „Zawsze będę je kochał”; „Ja też”, mówi ona. To była dziewczynka: urodziła się i umarła, widzieli ją i nie zapomną aż do śmierci; on mówi: „Zawsze będzie we mnie żyła / I ja będę żył w niej”. Chcą iść, ale stoją w miejscu. Widzą Arvida, chwilę z nim rozmawiają i odchodzą. „[*Stopniowo robi się coraz jaśniej*]”.

Jednak Beckett jest bardziej wewnętrzny – lepiej przenika do środka, współgra, współbrzmi, wypełnia i dopełnia.

W *Matce i dziecku* występują dwie osoby. Byli i są rozdzieleni, prawie wcale się nie widują. On przyjeżdża po latach, właściwie nie wiadomo po co, na krótko. Jest jej jedynym dzieckiem. Opiekowali się nim babcia i dziadek, potem ojciec. Ona robiła karierę, była skupiona na sobie, nie na nich. Pyta go o jego życie, jakby bez większego zainteresowania, a on nie kwapi się z odpowiedziami. Jest milczący i lapidarny, to ona mówi – ale co z jej mówienia wynika?

Widocznie nic nie chce powiedzieć, tak jak on. Pyta o jego sprawy, o jego ojca, „mówi, żeby mówić”, przecież nie mogą

siedzieć i milczeć. Matka i syn, czy jak on to określa: matka i dziecko.

Wie, że nie chciała, żeby się urodził. Mówi, że nie wie, czy jej nienawidzi, jej i wszystkich kobiet. Chce już iść, ona go zatrzymuje, prosi, żeby nie odchodził jeszcze, został choćby chwilę. Wspomina matkę, z którą nie miała dobrych relacji, była głęboko wierząca, ona nie. Chłopak mówi, że babcia była szczerą, mówiła o Jezusie, o aniołach, o Bogu i myślała o nim, skupiała się na nim i wierzyła, że On mu pomoże. „Była dla ciebie ważniejsza ode mnie”, mówi ona, on to potwierdza i mówi, że lata, kiedy mieszkał u niej i u dziadka, to były najlepsze lata jego życia – ilu z nas mogłoby to powiedzieć! Ona tłumaczy się, stara się jemu i sobie wyjaśnić swoje postępowanie i wreszcie mówi, że kochała go bardziej niż siebie i że są do siebie bardzo podobni, „bardziej podobni niż ci się wydaje”.

Przywołuje *Szklaną menażerię* Tennessee Williamsa i chce z nim zatańczyć, robią kilka tanecznych kroków i on nie chce. Wychodzi. „Po co przyjechałeś?” – pyta. „Żeby cię odwiedzić”, odpowiada z korytarza.

Syn. Wokół ciemno i czarno. Pusty wzrok ojca, smutna matka. Mówią o umieraniu, wyludnianiu się okolicy, braku perspektyw. To, co za oknem wydaje się koszmarnie, ale i to, co w środku, za zasuniętymi zasłonami, też jest napięte i smutne.

Syn już od dawna nie odzywał się, podobno był w więzieniu, ich jedyne dziecko. Codziennie o nim rozmawiają, nie wiadomo po co. I chcą, i nie chcą, żeby ich odwiedził,

on nie chce z nimi mieć nic wspólnego. Pił, grał na gitarze, wyjechał i jakby przepadł.

I nagle przyjechał, jest podchmielony, wywiązuje się drętwa rozmowa, nie jest zbyt rozmowny, ale i oni nie. Przychodzi ich jedyny Sąsiad, z pobliskiego domu, przynosi butelkę whisky. Piją. Powstaje spór między nim a Synem o to, czy był w więzieniu. Syn chwytą go za poły kurtki i gwałtownie nim potrząsa, aż osuwa się na podłogę i leży bez ruchu. Wzywają lekarza i okazuje się, że nie żyje.

Następnego dnia szykuje się do wyjazdu, spieszy się, nie chce słyszeć o zostaniu na parę dni. Bierze torbę i wychodzi. Przyjeżdża autobus. Wsiada i odjeżdża. „[*Stopniowe wyciemnienie. Czarno*]”.

Wszystko to jest podobne, melancholijne, smutne: jakby te same miejsca, ci sami ludzie, te same słowa, pauzy, milczenie, mrok i ciemność.

W *Noc śpiewa piosenki* są Młoda kobieta, Młody mężczyzna, Ojciec, Matka i Baste. Kobieta ma pretensje i żal, złości się. On jest pisarzem, wszystko poświęcił literaturze, ale nikt nie chce wydawać tego, co pisze. Przychodzą z wizytą jego rodzice, zobaczyć ich dziecko, przynoszą prezenty, zapraszają do siebie, ale bez odzewu, wychodzą. „Poza-stanawiali się do kogo jest podobny / a do kogo nie jest / i poszli / Pewnie nie wierzą / że to ty jesteś ojcem”, mówi kobieta. Do starczą list z wydawnictwa o odrzuceniu maszynopisu. Ona wychodzi, jak mówi, na spotkanie z Marte, jej dawną przyjaciółką, on zostaje z dzieckiem. Wraca późno, ożywiona, po alkoholu, opowiada, jak było z Marte, ale on wie, że nie była z nią, że było

inaczej. Najpierw się wypiera, ale przyznaje się, mówi mu, że jest coraz gorszy i że nie powinien pisać. Przyznaje, że odwiedził ją Baste, że cały wieczór była z nim, była u niego w domu, on i ona. Potem mówi, że żartowała, że jednak była z Marte, ale on wie, że kłamie. Proponuje, żeby poszła do Bastego i ona do niego idzie, w środku nocy, nie słysząc, jak on mówi, że żartował. Wraca z Bastem i zaczyna pakować swoje rzeczy, informuje, że się kochają i wyprowadza się do niego. Przyznaje, że śpią ze sobą i Baste mówi, że teraz będą razem, ona potwierdza i mówi, że nigdy go nie opuści, zawsze będzie z nim! Ale po chwili dodaje, że żał jej odchodzić od tamtego, że jest jej ciężko, smutno i przykro i mówi do Bastego, że będzie teraz na swój sposób ojcem dla jej dziecka, ale zaraz, że tamten jest w porządku, był miły, dobry i choć taki nieudacznik, nie może od niego odejść, kocha Bastego, ale nie może odejść, nie wie. On żąda, żeby na coś się zdecydowała, ona odpowiada, że nie wie i wtedy słyszą strzał. Wychodzi z pokoju i wraca. „Zastrzelił się?”, pyta Baste, ona mówi: „Prawie nic nie zostało / z jego głowy” i zaczyna płakać. Słyszą płacz dziecka. On idzie po pomoc. „[*Ciemność*]”.

*Letni dzień*. Stary duży dom na wzgórzu nad fiordem. Otwiera krótki dialog i długi, podzielony na wersy z gwałtownymi przerywaniami monolog Starszej kobiety, która stoi przy oknie, chodzi po pokoju i wspomina to, co było już wiele lat temu, przeminięło i niedługo zniknie wraz z nią. W domu jest tak, jak było wtedy, prawie nic się nie zmieniło i jest ona, widząca i słysząca to, co było tu, wiele lat temu. Asle i Młoda ko-

bieta, rozmawiają, a ona mówi, że pamięta wszystko, jakby to było przed chwilą, chociaż było tak dawno temu. Asle chce wypłynąć swoją małą drewnianą łódką na fiord, na którym pływa często godzinami, i ona ma o to do niego pretensje. Żegnają się, wychodzi. I znowu monolog Starej kobiety, pocięty na wersy, wartki i spójny, uobecniający. Przypominają się monologi kobiet u Becketta, jednak inne, bardziej ascetyczne i zwarte, podszyte większym ładunkiem metafizyki. Ale w jednych i w drugich widzimy mocny związek zwykłego życia z czymś, co jest ponad nim, *meta*. Ona widzi Młodą kobietę, słyszy ją i jest jakby nią, a może nawet jest nią, czy choćby bardziej niż nią wtedy, gdy Asle jeszcze żył, gdy kolejny raz wypłynął na fiord. Widzimy i słyszymy raz jeszcze te same obrazy i słowa, powtarzane jak wystukiwany na werblu rytm. Młoda przyjaciółka mówi o nim, że odkąd go pamięta, był odludkiem, zatopiony w sobie, żyjący w swoim własnym świecie, niemający wiele wspólnego ze swoją matką, ale mocno związany z głęboko wierzącą babcią, u której mieszkał. Znowu ta sama historia.

Starsza kobieta i Młoda, są tu obok siebie, ale nie widzą się, chociaż wydaje się, że Starsza widzi Młodą. Zjawia się Mężczyzna, rozmawia z Młodą kobietą i jej przyjaciółką i znowu następuje monolog Starszej, wspomina tamten dzień, słuchanie fal, ich uderzeń o brzeg i to, że czuła, że „fale są mną / i zawsze będą mną” i że jest pusta, była pusta „jak fale / i ciemność”. I to się powtarza, ta przeplatanka, rozmowy i jej dominujący monolog.

Niedaleko od brzegu znajdują dryfującą pustą łódkę. Do Starszej przyjaciółki mówi, że niemal bez przerwy myśli o tym, że powinna się stamtąd wyprowadzić.

Jest sama. I znowu stoi przy oknie, otwiera je. „[Światło gaśnie. Ciemność]”.

W *Odwiedzinach* – „[Ciemno, nagle zapala się światło]”. Dziewczyna, Siv i jej Matka; ojciec wyprowadził się kilka lat temu. Pamiętaj, że nimi jest napięcie. Matka ma pretensje dotyczące jej zachowania i postępowania: rzuciła szkołę, nie pracuje, prawie cały czas siedzi w domu. Potem z Mężczyzną, partnerem Matki, jakby podobna płyta czy taśma: jej pretensje i żale, także dotyczące syna. Niespodziewanie zjawia się Brat, rozmawia z Dziewczyną. I znowu jakaś niemoc, z jednej i z drugiej strony. Dowiaduje się, że Mężczyzna dobiegał się do niej. Potem z nim rozmawia, daje do zrozumienia i ostrzega, wyciąga nóż i kieruje go w jego stronę, ale sprawa zostaje zażegnana.

Organizują przyjęcie urodzinowe Siv, na które jednak nikt nie przychodzi. Potem znika też Mężczyzna, nie przychodzi tak jak kiedyś. Matka wyczuwa, że coś było między nim a Siv. Chcą do siebie znowu się zbliżyć, robią plany.

Mieszkanie zostaje sprzedane. Dziewczyna wyprowadza się, towarzyszy jej Brat. „To było nasze dzieciństwo”, mówi. Gaśnie światło, drzwi zostają otwarte. „[Ciemność]”.

Jon Fosse, *Ktoś tu przyjdzie. Sztuki teatralne*, w przekładzie Haliny Thylwe, Moniki Grossman-Kliber, Elżbiety Frączak-Nowotnej, Agencja Dramatu i Teatru ADIT, Warszawa 2024

\*

Jon Fosse Nagrodę Nobla dostał za „nowatorski dramat i prozę, która oddaje głos temu, co niewypowiedziane”, a jego wiersze związane są z tą prozą.

Najważniejszą dla niego księgą jest od początku Biblia i od razu wiadomo, że jest to ktoś, kto wchodził na najwyższe szczyty i nie będzie zadowolony się mniejszymi, choćby były modne i popularne. Wśród najważniejszych dla siebie pisarzy wymienia między innymi Franza Kafkę, Knuta Hamsuna i Samuela Becketta.

Jest mocno związany z krainą swojego dzieciństwa – Vestlandem, nad fiordem Hardanger i pisze dialektem używanym w jego stronach, w języku nynorsk (nowo norweskim), gdy dziewięćdziesiąt procent Norwegów używa języka bokmål.

Gdy zacząłem go czytać, szybko otworzyłem filmy i filmiki z norweskimi fiordami z zachodniej części kraju, tym niesamowitym niebem i morzem, światłem i światłocieniem i byłem równie zachwycony. Od początku stał mi się bliski – znany i nowy, inspirujący. Prosty i skomplikowany, rozwijający w powtórzeniach, w rytmie, w melodii, ale też i aleatorycznie, znakomicie umacniający to, co znałem.

Szuka światła w ciemności, najwyżej jak można, i doznaje wewnętrznego poruszenia: „Wysłuchując się w samotność, wierzę w siłę słowa, które ją złagodzi. Ten, kto wierzy w sztukę, w Boga lub w życie takie, jakie jest, odnajdzie swój spokój”.

Prowadzi w głąbię i wyprowadza na powierzchnię. Wiedzie na szczyty i bezpiecznie sprowadza do codzienności, jej

problemów i zawiłości, które po tym, co się przeżyło, są już inne, w żadnym razie nie uproszczone, ale większe i rozjaśnione innym blaskiem. Jest to tak intensywne i prawdziwe, że możemy z nim się utożsamiać, stawać się wewnątrz i próbować na zewnątrz być jakby jego sobowtórem, czy nawet drugim ja.

Błądzimy w ciemności i szukamy światła – Boga i światła, które jest widzialne i niewidzialne, czarne jak smoła i połyskliwe białe jak najczystszy śnieg.

On przekazuje innym to niezwykle światło i zwykłą, choć zawsze tak niezwykłą wiarę w Boga, który jest jedyną ostoją udręczonego i wyobcowanego człowieka – oddaje to, co dostał, z pasją i z pokorą spełnia swój los.

Jest to w jego prozie, także w ostatnim opowiadaniu *Białość* i rzecz jasna w wierszach. I tak jak u Kafki czy Becketta trudno jest oddzielić u niego jedno od drugiego – poezja i proza stanowią jakby jeden stop.

W nowym wyborze mamy wiersze z pierwszego tomiku z 1986 roku – debiut prozatorski miał miejsce w roku 1983 – wiersze z lat dziewięćdziesiątych, te po konwersji na katolicyzm na przełomie stuleci i z pierwszych lat XXI wieku.

Opis krajobrazu: czerwony śnieg, czarny wiatr, żółta trawa, niebieskie góry, białe niebo, żółte powietrze; krzyk mew, zimno.

Czarny anioł z niebieskimi skrzydłami, czarny pies, czarna plama zamieniająca się w fiolet, popiół, czarny śnieg, biel, zielone słowo, zieleń, brązowy pies, błękitne niebo, białe, szare i czarne chmury, białe ściany, pasma bieli, żółci i czerwieni, białą

pies, żółta i brązowa trawa, złociste światło, gwiazdy, iskry, czerni i błękit.

Niektóre wersy są dziwne, a nawet dziwaczne, pewnie to sprawa przekładów, niekiedy z trudem przebija się przez nie.

Samotność, księżyc, deszcz, góry, niebo, zmęczenie. To, co niepojęte, i to, co wypowiadane, będące jego przeciwieństwem.

Znikanie, ruch. Biel, błękit, szarość i czerni. Błękit i pasma bieli, żółci i czerwieni. Cisza, ziemia i woda, krążenie. Przejrzystość, ciemność, niewinność i łaska.

kto to pisze, ja sam  
czy pisze to ktoś we mnie  
kto pisze moim piśmem  
we mnie, a może ja sam to piśzę

jeśli ja sam to piśzę  
to za każdym razem moje ja jest inne,  
bo

piśanie to ruch i zawsze  
ja sam to piśzę chociaż nie zawsze to  
ja jest mną

a może to jestem ja  
ale przecież za każdym razem piśzę  
inaczej

więc to nie mogę być ja

jeśli ja sam to piśzę  
to jestem sobą ale też i tymi wszystkimi  
innymi ja

które wtedy są tak wyraziste, bo  
tak właśnie jest: jeśli mam piśać  
i być blisko tego co nie jest  
to moje ja musi być wyraziste  
zauważalne w całej swojej niejedno-  
znaczności

a tak dzieje się tylko  
gdy coś zostaje bądź zostało napisane  
już wcześniej a potem znika  
każde dzieło, ma swoje własne ja  
bez tego ja piśanie traci swój ruch  
i swój kierunek

te tak różne ja, chociaż nadal zauwa-  
żalne  
te różne ja, które każde dzieło tworzy  
i które tworzą dzieło  
są czymś  
być może właśnie tym czymś o czym  
piśanie nam opowiada

Kwintesencja. Jakby hymn dla mnie,  
mój hymn.

Deszcz i słońce. Łódź w ciemnościach.  
Fale uderzające o brzeg. Sam, bez nikogo.  
Człowiek? Duch? Cisza, ciemność i niebie-  
skość.

Kamienie na nabrzeżu. Morze i ocean.  
Fale, ciemność. Łódź. I płynięcie. Milcze-  
nie. Cisza. Nic.

Światło i ciemność, jak dzień i noc, życie  
i śmierć. Na tej granicy. Uśmiech.

W ruchu. W środku. Głosy, czerni. Fale  
i spokój. Wiatr i morze. Zimno. „Tego nie  
da się opowiedzieć”.

I zastanawiasz się: czy to ja jestem tym  
wiatrem,  
nie tyle wiatrem, ile tym czym ten  
wiatr jest dla mnie,  
czy ten wiatr jest mną i czy my jesteśmy  
wiatrem i złocistym światłem  
czy też stoimy na zewnątrz?

Dawna miłość. Idą na spotkanie ze sobą.  
Jak kiedyś. I mijają się. Odchodzą od siebie.

Zawsze taki sam i zawsze różny ruch fal.

Patrzą na błękit. W szarości, w niewytłumaczalnej ciszy, niewytłumaczalnym ciepłe, widząc niewytłumaczalny błysk.

W mowie noblowskiej stwierdził: „dobry wiersz tworzy własne uniwersum. Ten, kto go przeczyta, wejdzie w tę przestrzeń, wiersz bowiem jest swego rodzaju komunią bardziej niż komunikacją”.

Sroga, pozbawiona blasku ciemność, czerń i ślące światło gwiazdy.

Pustka, noc i blask. Morskie fale i to, o czym nie sposób mówić i czego nie sposób pojąć.

Widzenie dziecka. Pieśń wiatru, który jest pieśnią, którą i my kiedyś będziemy.

Miłość i strach. Mgła. I wyspa.

Kamienie i „niebo / potężne niczym morze”. I cisza.

Jon Fosse, *Pies i anioł*, z norweskiego przełożyła Elżbieta Frątczak-Nowotny, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2024

\*

„Widzę Signe...”, tak to się zaczyna, opowieść Fossego z 2003 roku. Kto ją widzi? Ten, który mówi, czy może ona widzi samą siebie przez niego, są tu dwa głosy: zewnętrzny i wewnętrzny. Leży na ławie w izbie Starego Domu, widzi sprzęty, duże okno wychodzące na Fiord i słyszymy jej głos wypowiadający to, co myśli i czuje, a może jest to powtórzenie, kolejna wersja lub rekonstrukcja dokonywana przez tego, którego usłyszeliśmy od razu, w pierwszym słowie, na początku.

Patrzy, nie widząc i może mówi tak, nie mówiąc, jest, nie będąc, żyjąc wspomnieniami w czasie teraźniejszym. Została sama, z tym głosem w sobie i myślami w tym Starym Domu, w którym żyła z Aslem, aż nie zniknął i przepadł, w ciemności czarnego Fiordu, ponad dwadzieścia lat temu.

Patrzy na drzwi do sieni i w stronę okna i widzi ich: siebie i jego, a on jest ciemnością i ciemność jest nim, „ciężka, prawie czarna ciemność” i ciemność jest w jego oczach.

Rozmawiają ze sobą, w jakiś specyficzny, wyjątkowy sposób, choć dla nich pewnie zwykły, codzienny i zrozumiały.

On mówi, że dziś znowu wypłynie na Fiord, choć jest fatalna pogoda, ciemno, zimno i wiatr i niebawem pewnie zacnie padać, na swojej małej łodzi wiosłowej, na łódeczce. To niebezpieczne, gdy na Fiordzie wszystko jest tylko czernią w czerni, a nie jak latem błękitem w błękicie i światłem w świetle.

Dlatego wypływa, bo nie chce być z nią? – myśli ona. I znowu rozmawiają ze sobą, jest wtorek, koniec listopada, rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewięć.

Patrzy na Dużą i Małą Drogę, na Ścieżkę, Zatokę, Szopę na Łodzie, Górę, Niebo, Fiord i myśli, że Asle przepadł na zawsze i ona została sama, opuszczona i porzucona.

Wspomina ich rozmowę przed jego odpłynięciem na łodzi, którą zbudował dla niego Johannes z Zatoki, tak go nazywali, już umarł, łódź Aslego była jedną z ostatnich, jakie zbudował.

I myśli, „dlaczego musi stale widzieć, jak on wchodzi do izby? i dlaczego musi zawsze widzieć siebie, jak odchodzi od okna, idzie w głąb izby i staje na środku? dlaczego zawsze musi widzieć siebie, jak tam stoi i coś do niego mówi? i dlaczego musi słyszeć, co on mówi? co mówi ona? dlaczego tak się dzieje? dlaczego on tu ciągle jest? jego przecież nie ma, tyle lat minęło, odkąd przepadł, zniknął, ale ciągle jakby tu był, przecież ona widzi, że drzwi z sieni się otwierają, widzi go stojącego w drzwiach, widzi go wchodzącego do izby, słyszy go mówiącego to, co tak często mówił, tak jest i tak będzie, i chociaż on przepadł na zawsze, to ciągle tu jest, mówi to, co zawsze mówił, chodzi tak, jak zawsze chodził”.

W tym Starym Domu on mieszkał całe życie, najpierw z Ojcem, Matką i rodzeństwem, a potem z nią, która była jego żoną.

Widzi Fiord, fale mocno walące o Brzeg, Górę i ciemność i widzi, że stapiają się z nią, „stają się jednym” i siebie przy ognisku, które „znów jest na Brzegu, poniżej Szopy na Łodzie, tam, w Zatoce, i nagle ognisko się zmniejsza, zmienia się w pojedynczy płomyk, który lekko migoce na wietrze, w ciemności i ledwie go widać w tej ciężkiej ciemności, a ta ciemność jest tak samo ciężka jak on, myśli, i gęsta jest ta ciemność, teraz to tylko ciemność, czarność, a płomyk ledwie widać i zaraz już go nie ma, bo robi się czarno, ale za chwilę znów się pojawia i tych płomyków jest więcej, powiększają się, znów się zmieniają w niewielkie ognisko, a on myśli, że tam daleko, w Zatoce, tam, poniżej Szopy na Łodzie

pali się teraz ognisko, i zatrzymuje się, stoi i patrzy na to ognisko. I teraz ognisko jest duże. W dole, na Brzegu, płonie ognisko. A potem ognisko znów się do niego zbliża”. Jest zimno, na zboczach i drogach śnieg, lód skuwa Fiord – lód, śnieg i mróz. I widzi Aslego w żółtawobiałej czapce po jego Babci, żonie Olava, jego Dziadka, którą nosił, gdy był chłopcem, i jego – chłopca, jak idzie z Babcią i pomaga jej nieść torbę z zakupami. Pojawia się Ales, prababka Aslego, po której dostał imię, a właściwie to raczej po jej wnuku Aslem, bracie Dziadka Olava, który w wieku siedmiu lat utopił się w Zatoce. Zjawia się Kristoffer, syn Ales, pradziadek Aslego, męża Signe, ojciec jego Ojca, i ledwie dwudziestoparoletnia Ales, która była matką jego pradziadka Kristoffera, który był ojcem Dziadka Olava i Aslego, tego, po którym dostał imię i który utopił się, gdy miał siedem lat, „dostał taką piękną łódkę na swoje siódme urodziny i tego samego dnia utonął, kiedy się bawił łódką w Zatoce”.

I to wszystko dzieje się w głowie Signe, która leży na ławie w Starym Domu, otoczona starymi ścianami, z których odzywają się „jakby milczące głosy, w tych ścianach tkwi wielka cisza i ta cisza mówi coś, czego nigdy nie da się powiedzieć słowami, i on o tym wie, myśli, i jest coś w tych gładko wypowiedzanych słowach, w tej ciszy ścian, myśli i stoi tam i patrzy na ściany, no nie, co się z nim dzisiaj dzieje? dlaczego taki jest? myśli i przykłada jedną dłoń płasko do ściany i chyba czuje, że ściana coś mu mówi, coś, czego nie da się powiedzieć, ale co jest, po prostu

jest, a on myśli, że czuje prawie tak, jakby dotykał człowieka, prawie jakby coś się mówiło, tak jak mówi się coś, kiedy się dotyka człowieka, myśli i gładzi ścianę, i w tym gładzeniu kryje się niemal pieszczoła, gładzi palcami starą brązową boazerię i słyszy kroki i cofa rękę i widzi, że drzwi do izby się otwierają i w drzwiach stoi ona”, rozmawiają ze sobą i „niepokój w jej głosie miesza się z milczącym spokojem, którym przemawia ściana” i „widzi samą siebie, jak wchodzi do izby, i widzi, jak on wchodzi, i widzi, że tuż za nim idzie też Ales i ona też wchodzi do izby”.

Duchy zmarłych zaludniają to miejsce, są wspólnotą, rodziną, wzmocnieniem. Nawet ich imiona przenikają się i są ze sobą związane, tak jak Asle i Ales. I Fiord, znany od dziecka, widok na niego i możliwość wniknięcia w jego piękno i czeluść, zabawienia w nim, obecności i opuszczenia.

Ciemność, deszcz, wiatr i w Zatoce pusta łódź tłukąca się o kamienie przy Brzegu. Spalona w świętojańskim ognisku, przepadła tak jak on, w tej czerni, w ogniu, „nieduża drewniana łódź, wiosłowa, długa na piętnaście stóp, może na szesnaście, i wąska, ostro zakończona i z przodu i z tyłu, i cienka, cienki kadłub między tym, kto siedzi w łodzi, a morzem, falami, wielką głębią Fiordu, nieskończoną głębią, to ponad tysiąc metrów stąd, z góry, gdzie jest światło i ciemność, i powietrze, i w dół, w dół, w dół, w głąb Fiordu, aż do czegoś w rodzaju dna. I te cienkie deski w łodzi, po trzy z każdej strony, między tym, kto siedzi w łodzi, a morzem i wielką ciemnością pod nim, no i fale, takie jak wtedy”.

I leżąc na ławie, w tej w izbie, w Starym Domu, „widzi siebie jak podchodzi do drzwi do sieni i widzi siebie jak łapie za klamkę i widzi siebie jak stoi z ręką na klamce i myśli, stojąc i trzymając klamkę, dlaczego on nie przychodzi? i zawsze to samo, czekanie, czekanie, ale jego tak długo nie ma”.

Ognisko na środku Fiordu, a na Brzegu Babcia, fioletowe ognisko, w ciemności, ogień, iskry i blask. Jest siedemnasty dzień listopada 1897 roku i Asle na siódme urodziny dostaje od Ojca Kristoffera „malutką łódź wiosłową, półmetrowej długości, z dwiema ławeczkami i wiosłami, i czerpakami, i wszystkim, czego trzeba, i podaje łódkę Aslemu [...] Taki duży i mądry chłopiec jak ty, Asle, musi mieć swoją łódź, mówi”.

Asle, Kristoffer, Brita – to jakby Dzieci z Bullerbyn, tak jak wtedy, w dzieciństwie, a teraz tu, dla dorosłego. Kochana Lindgren, bliski Fosse.

Podwórze, Mała Droga, Ścieżka, Fiord. I Asle wpada do morza. Ma siedem lat i kończy się jego życie. Tonie, bawiąc się łódką w Zatoce. Kristoffer i Brita przynoszą jego ciało.

„Wiesz, matko, Asle od nas odszedł, mówi Kristoffer

Nie możecie tak stać mówi Stara Ales  
Niezbadane są ścieżki Pana, mówi

Aslemu jest teraz dobrze, jest u Boga w Niebie, więc się nie smućcie, mówi

Nie smućcie się, mówi

Dobry Bóg istnieje, mówi

I Stara Ales unosi do oka rękę z krótkimi pokrzywionymi palcami i bokiem palca wskazującego przeciąga wzdłuż oka

Dobry Bóg, mówi”.

I Signe stoi tam, w tym samym miejscu i na samym szczycie Wzgórza widzi chłopca, który stoi tam i patrzy w stronę ich Staroego Domu i na ramionach ma długą żerdź zrobioną z gałęzi. I biegnie w jej stronę i widzi, że jest bardzo podobny do tego Aslego, który utopił się i nagle zrzuca żerdź na ziemię i „jakby znika w tym chłopcu którego trzyma na rękach Brita”.

Stoi tam, tak jak dawniej, na Brzegu, na Pomoście i wypatruje go, swojego Aslego i widzi, jak zginął jego krewny, imiennik, widzi to bardzo dokładnie. I znowu zjawiają się Brita, Kristoffer i jego brat Asle i znowu widzi ciemność i deszcz, wiatr, płonąca łódź, Fiord, Stary Dom, i są mały Ales i jego Babcia, widzi siebie i ich, Alesa i zaraz za nim jego Babcie:

„Siadaj już do stołu, jedzenie zaraz będzie, mówi Babcia

Ty jesteś taka dobra, Babciu, mówi Asle

To ty jesteś takim dobrym chłopcem, mówi Babcia

Bo my dwoje się ze sobą przyjaźnimy, mówi Asle”.

I Babcia przynosi smażony boczek, jajka i ziemniaki z cebulą i dużą szklankę mleka.

I widzi Kristoffera z małą drewnianą trumną, Britę i płaczącą Starą Ales, wychodzą i zamykają za sobą drzwi, a ona leży w sieni, na tej ławie, patrzy i widzi Aslego jak wstaje od stołu:

„Dziękuję, babciu, mówi Asle

Na zdrowie, mówi Babcia

I Babcia wstaje, zabiera jego talerz, a on zabiera pustą szklankę

Pyszne było, mówi Asle

Bardzo ci dziękuję, mówi Babcia”.

Wychodzą, zamykają za sobą drzwi „i znikają, znikają na zawsze”, i widzi jak w drzwiach do alkowy staje Asle, „a ona patrzy na niego i przenosi wzrok z niego na pustkę” i ten, który na początku widział Signe, mówi: „i słyszę jak Signe mówi Jezu kochany, dopomóż mi”.

To jest jak piękna muzyka, zwyczajna i wzniosła, jak modlitwa: obecność i nieobecność, głos i milczenie.

Mówi: „Istnieją dwa języki: słowa, które napisałem, słowa, które można zrozumieć, a za nimi jest cichy język i to właśnie w nim może leżeć prawdziwe znaczenie. Tylko w ciszy można usłyszeć głos Boga”. W werdykcie uzasadniającym przyznanie Nagrody Nobla napisano, że w sztukach i w prozie „daje wyraz temu, co niewypowiedziane/niewysłowione”. Jak blisko stąd do Becketta i jego „nienazywalnego”.

Jon Fosse, *To jest Ales*, z norweskiego przełożyła Iwona Zimnicka, Wydawnictwo ArtRage, Warszawa 2025

Krzysztof Myszkowski

## Okiem Skorpiona

---

### Z obory we dwory, czyli cierpienia Polski ludowej wyemancypowanej

Moja babka – a raczej powiedzmy, babcia, bo jednak od słowa „babka” wolę słowo „babcia”, gdyż wydaje mi się ono ładniej-

sze, a którego chyba jednak nie lubi pani Joanna Kuciel-Frydryszak – nie była żadną chłopką. Była warszawską kupcową. Urzędowała w sklepie kolonialnym przy ulicy Chmielnej, gdzie prowadziła z mężem interes, który przynosił niezłe zyski. Szanowała ludzi tylko z Warszawy. Ludzie spoza tego miasta w ogóle się dla niej nie liczyli. A już służące pochodzenia wiejskiego zupełnie. Służące w domu mojej babci nie miały prawa wchodzić do domu drzwiami frontowymi, to znaczy główną klatką schodową. Przeznaczone dla nich było wejście osobne, od strony oficyny, gdzie do kuchni wchodziło się po schodach drewnianych. Do głównych drzwi mieszkania mojej babci wiodły – co babcia lubiła w swoich wspomnieniach dumnie podkreślać – schody z białego marmuru ozdobione uroczyście mosiężną poręczą.

A tu właśnie mam przed sobą sławną książkę pani Kuciel-Frydryszak, której tytuł brzmi *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*. Naszych? To znaczy czyich właściwie i w jakim sensie? Już samo to słowo zawiera w sobie element wykluczenia. Bo, niestety, książka pani Kuciel-Frydryszak już w punkcie wyjścia wyklucza ze swojego horyzontu moją babcię i mnie jako jej aktualnego wnuka. My należymy do innego świata niż opisana przez nią ojczyzna „naszych babek”, którego to świata, rzecz jasna, powinniśmy się raczej wstydić.

Słowo „nasze”, zręcznie użyte przez panią Kuciel-Frydryszak w tytule książki, buduje wspólnotę. Chodzi bowiem o „nasze” babki, nie o „wasze” czy „ich”. Hasło „Za wolność naszych babek i waszych” nie

może tu mieć zastosowania, bo chodzi tylko o jeden rodzaj babek, do którego moja babcia się, niestety, nie zalicza.

Czytając książkę pani Kuciel-Frydryszak, przypomniałem sobie moje młodzieńcze doświadczenia z dziewczynami pochodzenia wiejskiego. Wszystkie one miały kompleks niższości. Wiecznie porównywały się z koleżankami z miasta. I ciągle były spięte, bo nie wiedziały, jak się zachować, jaką sukienkę ubrać, jakie buty założyć, jaką szminką pomalować usta. Po prostu nie miały tej naturalnej pewności siebie, jaką miały dziewczyny z miasta, które, niestety, trochę z góry patrzyły na swoje wiejsko-miejskie koleżanki.

Książka pani Kuciel-Frydryszak sprzedała się podobno w nakładzie ponad pół miliona egzemplarzy, trafiła zatem w jakiś wrażliwy nerw, którego istnienia nie podejrzewałem. Sądziłem, że już dzisiaj nikt nie ma wiejsko-pochodzeniowego kompleksu, tymczasem okazało się, że myliłem się zupełnie. A sądziłem tak dlatego, że co jakiś czas odwiedzam wiejskie okolice i widzę tam domy wiejskie dużo lepiej wyposażone i z lepszym smakiem urządzone niż moje miejskie mieszkanie. I te wiejskie domy czasem bardzo przypominają szlacheckie dworki. A dziewczyny są tam ubrane tak samo jak dziewczyny z miasta albo nawet lepiej, co widać na wiejskich weselach. Jeżdżą też samochodami dużo lepszych marek niż moja toyota.

Pani Kuciel-Frydryszak okazała się w jednym punkcie mistrzynią świata. Świetnie rozwiązała literacką zagadkę, jak dobrze zarobić, przerabiając kompleks niższości

na kompleks wyższości, czyli świadomość głębokiego poniżenia na poczucie wywyższenia. Napisała książkę, która gra na tym kompleksie znakomicie. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Tłumy kobiet, nawet kobiet zupełnie młodych, które nie mają pojęcia choćby o realnej peerelowskiej martyrologii kobiet, zachwycają się napisaną przez nią opowieścią o martyrologii babek pochodzenia wiejskiego, które znosiły swoją kobiecą golgotę dawno, dawno temu. Nader skuteczne zerowanie na kompleksie niższości kobiet pochodzenia wiejskiego to tylko jedna sprawa w tej książce. Druga, znacznie poważniejsza, to zerowanie na mitologii feministycznej, to znaczy wykorzystywanie bez żadnych skrępołów powszechnej dziś narracji, która wmawia kobietom, że nadal, tak jak kiedyś, są bezwzględnie prześladowane przez patriariat. Kiedy takie kobiety zapytać: – A konkretnie jak pani osobiście jest prześladowana dzisiaj przez patriariat w Polsce? – odpowiadają natychmiast twardym schematem z feministycznych broszurek: – Ja osobiście nie jestem prześladowana, ale wiem, że kobiety są dzisiaj prześladowane. – Zaliczanie siebie do prześladowanych przez patriariat sprawia im wiele przyjemności, bo kobieta prześladowana z definicji jest lepsza od kobiety nieprześladowanej. I słuchając oświadczeń dzisiejszych pań, czasami możemy odnieść wrażenie, że status prześladowanej starają się one osiągnąć znacznym wysiłkiem intelektualnym, chociaż radzą sobie w życiu nieźle, a czasem nawet świetnie.

Bo napisana z talentem książka o „naszych babkach” jest ciekawa i wciągająca, tyle tylko że jej Autorka jest całkowicie uległa wobec Ducha Dzisiejszego Czasu, co jednym może przeszkadzać, a drugim nie przeszkadza wcale, a może nawet wręcz przeciwnie.

Nic zatem dziwnego – o czym świadczą recepcja książki Kuciel-Frydryszak – że czytelniczki tej książki wypowiadają opinię tak absurdalną jak twierdzenie, że tak naprawdę my, kobiety, wciąż mamy taką samą kobiecą golgotę jak „nasze babki”. One miały mocno pod górkę i my mamy mocno pod górkę. Rozsmakowywanie się w archeologicznych opisach martyrologii służących pochodzenia wiejskiego, którymi wzbiera opowieść o „naszych babkach”, umacnia w nich przekonanie, że ich udziałem jest ta sama kobieca męka. Oczywiście to są bzdury, jeśli porównamy rzeczywistą sytuację dzisiejszych kobiet z tą, którą opisuje pani Kuciel-Frydryszak. Tamte miały rzeczywiście pod górkę. Te zaś bardzo by cierpiały, gdyby nie uważały siebie za ofiarę patriarchatu. Rozkosz to prawdziwa mieć na kogo zwalić odpowiedzialność za swój własny los.

Taki to żer egzystencjalny dostarcza nam książka pani Kuciel-Frydryszak, za co kobiety są jej wdzięczne tak bardzo, że są gotowe intensywnie płacić za zanurzenie się w oparach kobiecej martyrologii. I tak przez Polskę naszą niesie się okrzyk walczącej emancypacji: – Jesteśmy dumne z naszych babek, które dumnie znosiły swój paskudny los, ale jesteśmy też dumne z tego, że jesteśmy

dumne z naszych babek, które dumnie znosily swój los.

Książka o „naszych babkach” wiejsko-miejskich płynie na wzbierającej dziś fali, którą można określić jako rewindykacyjne baśnie o „Polsce ludowej”, których napisano już sporo, przypominając nam nieuchronną prawdę, że większość dzisiejszych Polaków i Polek wywodzi się z pańszczyźnianych chłopów, nie zaś z jakichś tam mieszczańskich szlachciców. Cała sztuka polega na tym, jak ten kompleks niedobrego pochodzenia, który wciąż narywa w wielu Polakach, przeobrazić w dumę z ludowego pochodzenia. I to się, jak widać, udaje. Pani Kuciel-Frydryszak wygrywa dlatego, że gra na rozgrzebywaniu zadawnionego, bolesnego resentymetu, empatycznie budując w „nas” dumę z tego, czego się skrycie wstydzimy. Rozczulając się nad niewesołym losem „naszych babek”, my, kobiety Polskie, wdzięczność dla nich za to, że potrafiły to wszystko znieść i jeszcze

nas urodzić, zmieniamy w ikonę heroizmu najzupełniej własnego, bo wciąż jesteśmy krzywdzonymi bojowniczkami walki o lepsze kobiece jutro.

Na zakończenie dodam, że w obecnym patriarchalnym systemie, który w żelaznych kleszczach trzyma biedną Polskę, w sprawach rozwodowych w dziewięćdziesięciu procentach prawo do opieki nad dzieckiem jest odbierane ojcom, tym potężnym filarom niezwykniętego patriarchy. A o domową przemoc oskarża się wyłącznie mężczyzn, zapominając o tym, że „nasze babki”, nad których losem się czule pochylamy, czytając opowieść pani Kuciel-Frydryszak, potrafiły zbić dziecko na kwaśne jabłko różgą albo gołą ręką, a nawet pięścią, traktując to jako rzecz najzupełniej zwykłą, którą nie warto sobie zwracać głowy.

Joanna Kuciel-Frydryszak, *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

# N O T Y O A U T O R A C H

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. w 1952 roku w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował m.in. *Dziennik olsztyński 1989–1993* (2022) oraz *Lekcję poezji dla zaawansowanych* (2023). Mieszka w Olsztynie.

STEFAN CHWIN, ur. w 1949 roku w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował m.in. *Dziennik życia we dwoje* (2024) oraz *Mój Gdańsk* (2024) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 3; 2016, nr 4). Mieszka w Gdańsku.

MICHAŁ CZORYCKI, ur. w 1978 roku we Wrocławiu, historyk sztuki, italianista, krytyk literacki. Mieszka w Szwajcarii.

ALEKSANDER FIUT, ur. w 1945 roku w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Wyglądy i wglądy* (2022), z Elżbietą Jogallą i Elżbietą Tabakowską *Gry międzyludzkie Leona Neugera* (2022) oraz *Wariacje faustyczne* (2024). Mieszka w Krakowie.

JACEK GUTOROW, ur. w 1970 roku w Grodkowie, poeta, tłumacz, eseista i krytyk literacki, wykładowca na Uniwersytecie Opolskim; ostatnio opublikował przekład wierszy Simon Armitage *Mało brakowało* (2019) z Jerzym Jarniewiczem i wybór

wierszy *Invisible. Selected poems* (2021). Mieszka w Opolu.

MAREK KĘDZIERSKI, ur. w 1953 roku w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przeigrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

KAROL MALUSZCZAK, ur. w 1991 roku w Opolu, krytyk literacki. Mieszka w Opolu.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ur. w 1952 roku w Toruniu, prozaik, eseista; ostatnio opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020) i *Fragmenty murów obronnych* (2021). Mieszka m.in. w Toruniu.

PIOTR PIASZCZYŃSKI, ur. w 1955 roku w Olsztynie, autor wierszy, publicysta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Przerwę w podróży* (2014). Mieszka w Kolonii.

CHARLES REZNIKOFF (1894–1976), poeta amerykański, z wykształcenia prawnik, uczestnik ugrupowania obiektywistów, nowojorczyk. Przez ponad czterdzieści lat – od debiutanckiego zbioru wierszy *Rhythms* (1918) po *Inscriptions* (1959) – większość swoich książek drukował na prasie ręcznej w domu rodziców. Kilka ukazało się nakładem efemerycznych

ofcyn wydawniczych, a pierwszy niewielki wybór swych wierszy, *By the Waters of Manhattan* (1962), opublikował, mając lat blisko siedemdziesiąt. Bardzo znany, wciąż raczej środowiskowo, wśród poetów i znawców poezji, stał się w ostatnich latach życia, kiedy zbiorową edycję jego poezji rozpoczęło kalifornijskie Black Sparrow Press. Zasadnicze znaczenie miały dwa tomy jego wierszy zebranych – *Poems 1918–1936* (1975) i *Poems 1937–1975* (1977) – a także pierwsza kompletna edycja „recytatywu” *Testimony: The United States 1885–1915* (1978, 1979), na który składają się jego „wiersze sądowe”, skomponowane w oparciu o rejestry rozpraw z różnych stanów (pierwszą wersję tej książki Reznikoff napisał prozą i wydał w 1934 roku). Opublikowane w dwóch okazałych tomach, uchodzą za jedno z najbardziej oryginalnych dzieł późnego amerykańskiego modernizmu. Również w Black Sparrow wyszedł ostatni zbiór Reznikoffa, *Holocaust* (1975). Po polsku jego wiersze publikowane są – w czasopiśmie i antologiach – od lat osiemdziesiątych. Wybór jego poezji w przekładzie Piotra Sommera ukazał się pod tytułem *Co robisz na naszej ulicy* (2019). Znana jest też jego powieść *Muzykant* (2024; przełożyli Piotr Sommer i Marcin Szuster), a poświęcony Reznikoffowi numer „Literatury na Świecie” (2021, nr 5–6) ukazał się na pięćdziesięciolecie miesięcznika. Wybór z *Testimony* zapowiada Państwowy Instytut Wydawniczy.

MAŁGORZATA SOKORSKA, ur. w 1966 roku w Warszawie, autorka wierszy; ostatnio opublikowała tomiki *Upadł buk* (2022) oraz *Lato 2022* (2024). Mieszka w Warszawie.

PIOTR SOMMER, ur. w 1948 roku, jest m.in. autorem wierszy *Lata praktyki* (2022), przekładów wierszy *Tysiąc sztuk awangardowych* Kennetha Kocha (2019), szkiców o wierszach *Ładne rzeczy* (2020) i tomu prozy *Środki do pielęgnacji chmur* (2024).

PIOTR SZEWC, ur. w 1961 roku w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował tomiki poetyckie *Sekretne przejścia* (2023) oraz *Zielony anioł i inne okostochy* (2023). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZLOSAREK, ur. w 1968 roku w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Wagary w czyszcju* (2022). Mieszka w Berlinie.

ANDRZEJ SZUBA, ur. w 1949 roku w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował m.in. przekłady wierszy Edgara Lee Mastersa *Epitafia ze Spoon River* (2020; II wydanie) i Lawrence’a Ferlinghettiego, *Świat Hoppera. Wiersze wczesne i późne* (2024) oraz *Przeddzwonno* (2024). Mieszka w Katowicach.

GRZEGORZ WRÓBLEWSKI, ur. w 1962 roku w Gdańsku, poeta, dramaturg; ostatnio opublikował m.in. tomik wierszy *Niebo i jointy* (2024) oraz tom szkiców *Spartakus. Literatura, sztuka, estetyka. Szkice z pobytu na ziemi* (2024). Mieszka w Kopenhadze.

ANDRZEJ ZAWADA, ur. w 1948 roku w Wieluniu, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pracownię literacką* (2021). Mieszka we Wrocławiu i Dębnikach.

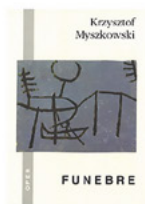
# Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego”



Grzegorz Musiał  
*Al fine*  
1997, nakład wyczerpany



Michał Głowiński  
*Czarne sezony*  
1998, cena 20 zł



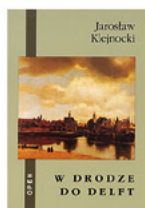
Krzysztof Myszkowski  
*Funebre*  
1998, cena 20 zł



Piotr Matywiecki  
*Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa*  
1998, cena 20 zł



Mirosław Dzień  
*Cierpliwosc*  
1998, nakład wyczerpany



Jarosław Klejnocki  
*W drodze do Delft*  
1998, nakład wyczerpany



Bożena Keff  
*Nie jest gotowy*  
2000, nakład wyczerpany



Grzegorz Musiał  
*Dziennik z Iowa*  
2000, cena 20 zł



Janina Kościalkowska  
*Biś me!*  
2000, nakład wyczerpany



Maria Danilewicz Zielińska  
*Biurko Konopnickiej*  
2000, cena 20 zł



Grzegorz Musiał  
*Kraj uzbrojonej miłości*  
2001, nakład wyczerpany



Jerzy Andrzejewski  
*Dziennik paryski*  
2002, nakład wyczerpany



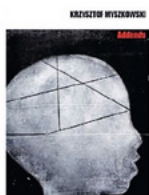
Tadeusz Nowakowski  
*Obóz wszystkich świętych*  
2003, nakład wyczerpany



Mieczysław Orski  
*Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*  
2002, nakład wyczerpany



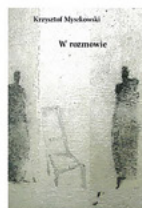
Kazimierz Hoffman  
*Znaki*  
2008, nakład wyczerpany



**Krzysztof Myszkowski**  
*Addenda*  
2017, cena 30 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*Puste miejsce*  
2018, cena 35 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*W rozmowie*  
2018, cena 25 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*Punkt wyjścia*  
2019, cena 40 zł



**Marek Kędziński**  
**Krzysztof Myszkowski**  
*Pulapka Becketta*  
2020, cena 35 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*Fragmenty murów obronnych*  
2021, cena 35 zł

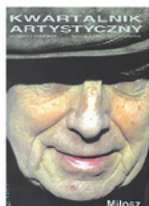
## Dodatki do „Kwartalnika Artystycznego”



**Zbigniew Herbert**  
2008, nr 2 (58)  
nakład wyczerpany



**Marek Kędziński, Piotr Dzumala**  
*Rue Samuel Beckett: Barbara Bray*  
2015, nr 4 (88)  
cena 12 zł



**Czesław Miłosz**  
2011, nr 2 (70)  
cena 12 zł



**Hanna Borawska**  
*Kwartalnik Artystyczny. Bibliografia 1993–2017*  
2017, nr 4 (96)  
cena 12 zł



**Marek Kędziński**  
*Giacometti*  
2013, nr 4 (80)  
cena 12 zł



**KRAJ ZAGRANICA**

**PRENUMERATA**



Książnica  
Kopernikańska  
w Toruniu

**Wydawca:**

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu

**Adres redakcji:**

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: [kwartalnik@ksiaznica.torun.pl](mailto:kwartalnik@ksiaznica.torun.pl)

[www.kwartalnik.art.pl](http://www.kwartalnik.art.pl)



Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

**Prenumerata:** Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty 2025:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 60 zł
- zagranicznej – 40 USD / 40 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł + koszt wysyłki Poczta Polska  
(list ekonomiczny – 8 zł; paczka krajowa – 17 zł)
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny”

**Projekt okładki:** Ewa Bathelier

**Korekta:** Beata Antczak-Sabala, Katarzyna Dunajko

**Skład:** Karol Cyranowicz

**Druk i oprawa:**

Machina Druku sp. z o.o.

ul. Kociewska 26f

87-100 Toruń

[www.machinadruku.pl](http://www.machinadruku.pl)



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu  
Promocji Kultury

Samorząd Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski  
Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego  
w Toruniu

Dofinansowano z budżetu  
Samorządu Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego

# N O W E K S I A Ź K I

Biuro Literackie

Ida Börjel, *Telefon do domu*, przekład Justyna Czechowska, Kołobrzeg 2025

Marcin Sendeccki, *Węgierskie morze*, Kołobrzeg 2025

Perrine Le Querrec, *Warglify*, przekład Jakub Kornhauser, Kołobrzeg 2025

Instytut Badan Literackich PAN

Maria Konopnicka, *Listy do Nikodema Erasmu Iwanowskiego 1887–1889*, opracowanie Monika Rudaś-Grodzka, Warszawa 2024

Oficina Literacka Noir Sur Blanc

Sławomir Mrozek, *Opowiadania zebrane*, tom 1, Warszawa 2025

Oficina Wydawnicza ASPRA-JR

ks. Janusz Adam Kobierski, *Po imieniu*, Warszawa 2025

Państwowy Instytut Wydawniczy

Pilar Adón, *O bestiach i ptakach*, przekład Katarzyna Okrasko, Warszawa 2025

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Tomasz Jastrun, *Oddani istnieniu. Wiersze wybrane*, Warszawa 2025

Krystyna Prendowska, *Oko pamięci*, Warszawa 2025

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział Kraków

Bożena Boba-Dyga, *Fastryga*, Kraków 2025

Mariusz Sambor, *Rzeka/Taniec*, Kraków 2025

Wydawnictwo Austeria

Jarosław Mikołajewski, *Marsala*, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2025

Wydawnictwo Karakter

Marek Bieńczyk, *Rondo Wiatraczna*, Kraków 2025

Wydawnictwo MG

Gilbert Keith Chesterton, *Latająca gospoda*, przekład A. Cylkowska, Warszawa 2025

Paweł Jasienica, *Polska anarchia*, Warszawa 2025

Bolesław Prus, *Lalka*, Warszawa 2025

Maria Rodziewiczówna, *Jerychonka*, Warszawa 2025

Bruno Schulz, *Sanatorium pod klepsydrą*, wydanie ilustrowane, Warszawa 2025

Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe*, wydanie ilustrowane, Warszawa 2025

Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury

*Odwracanie porządku. Wybór wierszy z lat 80. XX wieku*, opracowanie i posłowie Piotr Śliwiński, Poznań 2024

Jindřich Štyrský, *Wiersze i sny*, wybór, przekład i posłowie Anna Wanik, komentarze Bohuslav Brouk, Karel Teige, Darek Foks, Poznań 2025

Wydawnictwo Ossolineum

Stanisław Barańczak, *Wiersze*, wstęp, wybór i opracowanie Dariusz Pawelec, Wrocław 2025

Anne Carson, *Dekreacja*, przekład Maciej Topolski, Wrocław 2024

Wydawnictwo Warstwy

Maciej Robert, *Mniejsza o ludzi*, Wrocław 2025